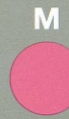
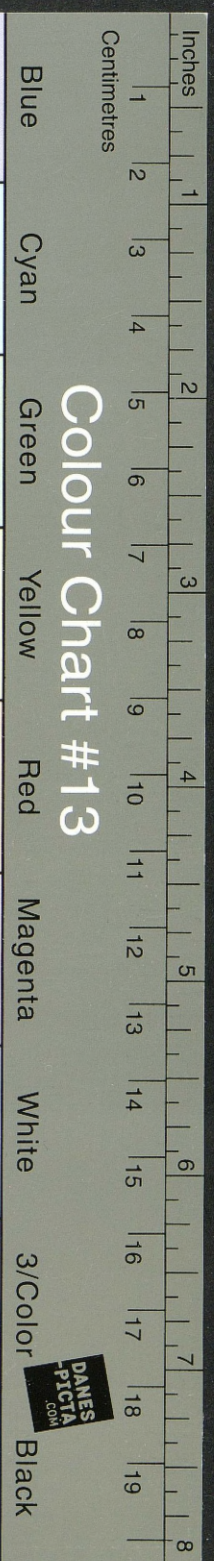
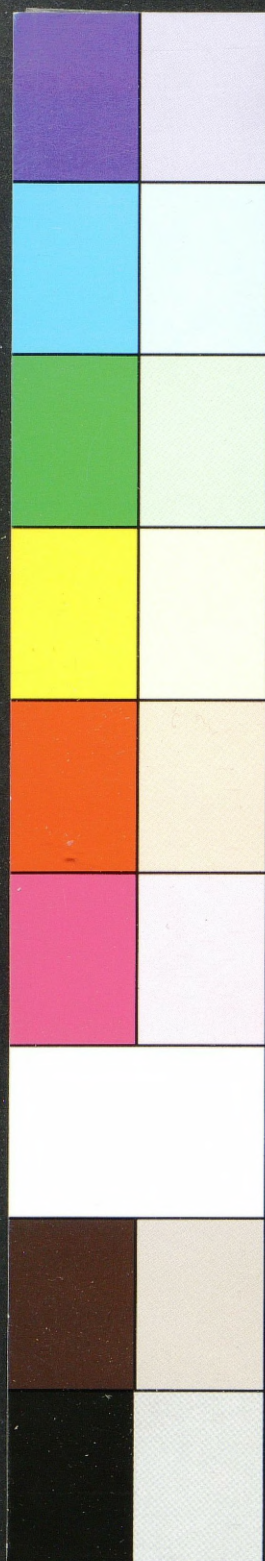
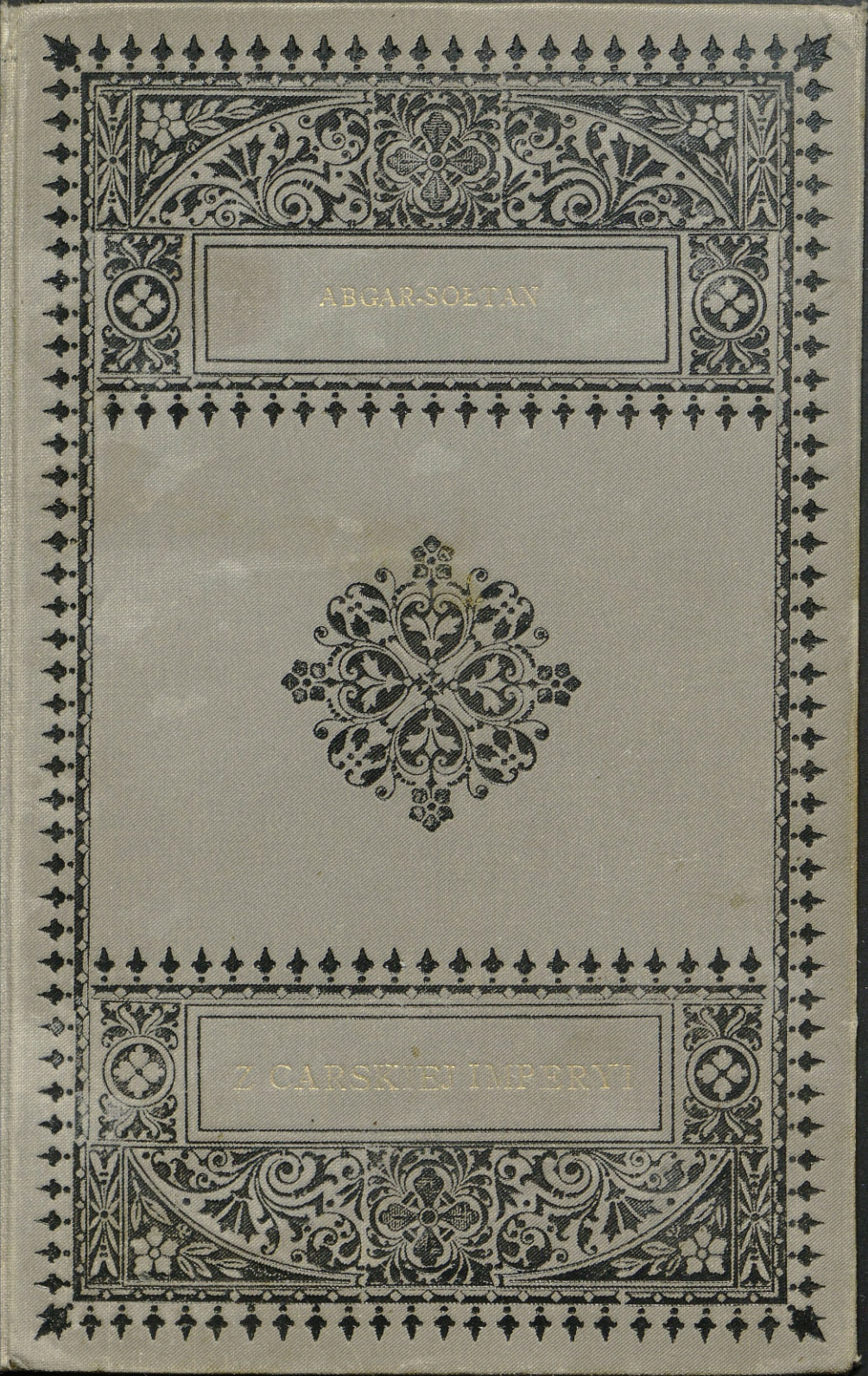


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Centimetres

Inches





ABGAR-SOETAN



Z CARSKOJ IMPERII

Z CARSKIEJ IMPERYI.

337.

(Abgarowiec Kajetan)

ABGAR - SOLTAN.

Z CARSKIEJ IMPERYI.

SZKICE.

[Tom 1.]
~~[Tom 2.]~~



D. 13.386

W KRAKOWIE,

NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

1892.



B. 90473



W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

KOLA ROKITIN.

884-3

B.90443.

~~276784~~



Do rosyjskich moich przyjaciół.

Nazwisk waszych nie wymieniam — historia może je kiedyś zapisać.

Wam — z którymi wspólnie marzyłem — z którymi snułem plany szczęsnej przyszłości . . . nastania ery sprawiedliwości na ziemi — z którymi błądziłem po manowcach i bezdrożach ducha

Wam — przyjaciółom z pierwszych dni młodości, tę opowieść o losach jednego z Was, poświęcam.

Autor.

Wchodzę do restauracyi rozstrojony i w złym humorze; dziś był termin zapłacenia wekslu w banku, a brakowało mi kilkuset rubli do sumy, na którą był wystawiony; w myśli szukałem żyda, od któregoby najwygodniej pożyczyć.

Godzina była dwunasta; — do ósmej wieczór weksel musi być zapłaconym, inaczej...

Kazałem podać śniadanie, tymczasem stałem przy bufecie, patrząc na nalany kieliszek starki; nie było do kogo wypić.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł słuszny, piękny mężczyzna, w mundurze urzędnika policyjnego. Twarz jego od pierwszej chwili uderzyła mnie; gdzieś w życiu twarz tę widziałem: te oczy duże, siwe, rozumne, a jakąś dziwną, melancholijną mgłą przysłonięte, te rysy regularne, klasyczne prawie, uśmiech ten sympatyczny — gdzie ja go spotkać mogłem? a jednak napewno znałem go kiedyś.

Przybyły równie ciekawie patrzył na mnie, ale smać lepszą miał pamięć, bo wkrótce wyraz nieklamanej radości zapanał na pięknej twarzy, ręce wyciągnął jak do uścisku i wnet był tuż przy mnie.

— *Ty mienia nie uznał* — zawołał nawpół wesolo, nawpół smutnie — nie poznałeś mnie, nie dziwię się, pod tym mundurem trudno poznać.

— Czemużbym cię poznać nie miał? — odparłem swobodnie, poznając w rzeczy samej dopiero teraz, po głosie. Ciebie nie poznać, ciebie Nikolaja Pawłowicza, ciebie Kolę Rokitina — i wyciągnąłem dłoń do serdecznego uścisku.

— Nie dziwiłbym się był, gdybyś mnie nie był poznał — mówił z wyrazem głębokiego smutku — wielu mnie już nie poznaje, ja sam siebie czasem poznać nie mogę pod tym mundurem, pomyśl tylko, ja, Rokitin, policmajstrem w Kamieńcu!

— *Hej! exelawiek, wodki* — zawołał opryskliwie i gwałtownie, jakby pragnąc zagłuszyć smutne myśli. — Napij się do mnie, tak, jak za dawnych czasów — rzekł, zwracając się ku mnie — czasy-bo to były czasy, wesoly wiek młodości, pamiętasz, co?

I wychylił jednym haustem spory kielich *oczyszczonej*.

— Co u ciebie słyhać? — pytał pospiesznie, nie dając mi przyjść do słowa i uprzedzając moje pytania — co porabiasz? ożeniłeś się?

— Nie! dotychczas nie.

— To może i szczęśliwiej; ja, ja miałem żonę, nie mam już jej, mam drugą, bez popa się obeszło. Przyjaciółka, *druk sierdecznyj*, aż tu za mną przyjechała, w urzędowaniu mi dopomagać, ha! ha! ha! dopomagać.

Rozśmiał się przykrym nerwowym śmiechem.

— Napijesz się jeszcze? kieliszek jeden, co?

— Nie mogę teraz, mam dziś interesa w mieście.

Przyniesiono mi śniadanie, usiadłem przy stole.

— To ja sam się napiję — mówił Rokitin — muszę dziś wypić. Hej! tam, drugi kieliszek.

Wypił i patrzył na mnie, śmiejąc się nieprzyjemnie.

— A co? ładnie się urządziłem, spoglądasz na mnie i nie możesz zrozumieć. Rokitin, jeneralski syn, gwardyjski oficer, w *policejskim* mundurze, nie maskarada to, nie, ja rzeczywiście jestem *policejskiej czynownik*.

— Różnie się plecie na tym bożym świecie — odparłem bezmyślnie smutnym głosem — i mnie nie tak wesoło, nie tak swobodnie, jak było przed dziesięciu laty. Inne czasy, inni ludzie.

— Przed dziesięciu laty — przerwał mi gorączkowo — oh! przed dziesięciu laty, pamiętasz mnie w huzarskim mundurze, za Dunaj szliśmy, trzy miesiące u ciebie chleb i sól jadłem, gdzie tam, mleka ptasiego nie brakło mi nawet. — Przy tych słowach rozczulił się, rękę mą pochwycił i rozrzewnionym głosem, ze łzami prawie mówił: Wierzaj mi, że to jedno z najpiękniejszych dni w mojem życiu, czemu ja zostać przy was nie mogłem? co matka twoja porabia?

— Nie żyje! odparłem smutnie.

— Umarła — powtórzył i głowę na piersi opuścił; smutek prawdziwy dźwięczał w tem jednym słowie; ujął mnie tem za serce. — A siostra?

— Od pięciu lat zameżna, i szczęśliwa.

— Chwała Bogu, chwała Bogu — szeptał cicho.

— Bywaj zdrów, do widzenia — rzekłem powstając, i skinąłem na służbę, by należne za śniadanie pieniądze zapłacić. — Ty Kola zostajesz tu, w mieście, ja tu często bywam dla interesów, zobaczymy się jeszcze nieraz; dziś spieszę, bo mam dużo zajęcia.

— Czy i ty mnie się wstydzisz? — szepnął eichym, ponurym głosem. — Ja wiem, rozumiem doskonale, ten mundur nikomu miłym być nie może. A jednak proszę cię, przez pamięć naszej dawnej przyjaźni, zrób mi tę łaskę, zostań dziś ze mną, bo straszny to dzień w mojem życiu, oh! oh! straszny, okropny dzień. Zostań, obiad razem zjemy, może już w życiu

nie spotkamy się więcej. Zostań, opowiem ci, co ja dziś przeszedłem?

Taka boleść drżała w tym głosie, takimi błagalnemi oczyma spoglądał, że żal mi się go zrobiło; ale iść musiałem, odparłem więc pospiesznie głosem stanowczym, nie dopuszczającym dalszych próśb:

— Teraz zostać nie mogę, ale jeżeli tego pragniesz, to o piątej, pół do szóstej, jak swoje sprawy załatwię, przyjdę tu na obiad; przyjdź i ty, pomówimy o dawnych czasach, miło mi będzie wspomnieć o nich — do widzenia.

— Czekaj i ja wyjdę, do hotelu cię odprowadzę — odpowiedział, chwytając czapkę i wychodząc wraz ze mną. — Widzisz — mówił idąc — gdybym tam został, tobym musiał pić, a chcę z tobą jeść obiad, chcę przyjść trzeźwym do obiadu.

Prędko przeszliśmy kilkaset kroków, oddzielających jedyną w mieście restaurację od hotelu, w którym zatrzymałem się; przy bramie pożegnałem go i wszedłem do mego mieszkania — czekać na żyda, od którego miałem nadzieję pożyczania pieniędzy, brakujących mi do zapłacenia bankowego weksłu.

*

*

*

Usiadłem na kanapie i zapaliwszy papierosa, zacząłem rozmyślać o dawnej, jakże dawnej znajomości, przyjaźni z Rokitinem.

Lat dziesięć prawie temu, byłem młodym chłopakiem; życie mi się uśmiechało, wabiło całą potęgą złud tysiącznych, zapowiedzi szczęścia w życiu pragnąłem słyszeć, słyszałem w wiatru powiewie, w szmerze zielonych liści drzew naszego ogrodu, wszędzie, wszędzie zapowiedzi te słyszeć mi się dawały. Gdzież one się podziały? jak fałszywie przepowiadały!

Miałem dziewiętnaście lat wówczas, bawiłem w domu matki na wakacjach, do wykładów nie spieszyłem się. Czasy

były niespokojne, na wojnę się zanosilo, można było bezkarnie opóźnić się. Bawiłem się doskonale w sąsiedztwie i polowałem.

Raz, pamiętam dzień ten doskonale, wracając z całodziennej uporeczywej gonitwy za szarakami i lisami, obładowani ja i mój chłopak trofeami myśliwskimi, z tryumfalną miną jechaliśmy do domu. Charty biegły zmęczone, z opuszczonemi głowami i ogonami obok zziających, pianą zaschłą okrytych koni.

Wjechawszy do wsi, ujrzałem niezwykle tam widowisko. Oddział kawaleryi rozlokowywał się na kwaterę; żołnierze snuli się po wsi, na chłopskich podwórkach stały koniehusarskie, rzędem do słupów naprędce wkopanych poprzywiązywane, a na placu przed karczmą stało czterech oficerów, najwidoczniej nie wiedząc co z sobą począć?

Podjechałem ku nim i zapoznawszy się, zaprosilem ich na herbatę do dworu. Między nimi był i Rokitin, młody podporucznik, zaledwie o rok odemnie starszy.

Późnym wieczorem oficerowie, wdzięczni za gościnne przyjęcie, udali się do przygotowanych dla nich kwater we wsi. Rokitina tylko zatrzymałem prawie gwałtem u siebie, ulokowałem go w oficynie; poprzyjaźniliśmy się odrazu, w tym wieku nie trudno o przyjaźń.

Zresztą Mikołaj zasługiwał na przyjaźń. Był dobrym, poczciwym chłopcem, duszę miał pełną szlachetnych poetycznych porywów, oburzał się na wspomnienie niesprawiedliwości rządu względem nas Polaków, jednym słowem, był młodym rosyjskim zapaleńcem — liberalnych idei wychowańcem.

Szwadron stał we wsi trzy miesiące, tyleż czasu on u mnie mieszkał. Polowaliśmy razem; w sąsiednich dworach i dworakach zaprezentowałem go; wszędzie się podobał, był pięknym, dobrze wychowanym, ślicznie mówił po francusku.

Rotmistrz, komendant szwadronu, był dla niego wyrozumiałym i pobłażliwym bardzo, służby nie wymagał, miał bowiem Kola wielką protekcję, był synem wysokiej rangi generała, przez matkę posiadał stosunki w najwyższych sferach; rodzice przysyłali mu masę pieniędzy, krótko mówiąc, był ulubieńcem

losu. W stosunkach życia codziennego był nieocenionym, czas upływał nam wesoło.

Nie jeden raz znużeni całodziennem męczącym polowaniem, zasiadaliśmy przy wielkiem ognisku na kominie płonącym i puszczaaliśmy wodze rozbujalej wyobraźni, snuliśmy czarodziejskie marzenia o przyszłości, o przyszłych losach narodów, do których należymy.

Jakże pięknymi marzenia te były? czemuż twarda rzeczywistość nie tworzy się na obraz i podobieństwo marzeń młodzieńców, których umysły po brzegi poezją, miłością bliźniego, braterstwem narodów są przepelnione — nienawiści plemiennej, z materyalnych pobudek zrodzonej, pozbawione. Czemuż marzenia te — marzeniami tylko pozostać muszą, zawód a rozczarowanie tylko pozostawiając po sobie w sercach.

Braćmi czuliśmy być sobie nawzajem i spodziewaliśmy się, że gdy nas takich więcej będzie, to potrafiemy pobratać z sobą dwa wrogie narody. O! marzyciele.

Gdy chwila wymarszu nadeszła, żegnaliśmy go, jakby do rodziny należał.

I on rozczulony, ze łzą w oku przyjmował błogosławieństwo z ust mojej matki, takie szczere i serdeczne, jakby dla mnie przeznaczone.

Od tego czasu nie widziałem go ani razu, nic nie slyszalem o nim, aż dziś ujrzałem go po tylu latach niewidzenia po raz pierwszy — policmajstrem.

Wejście żyda-lichwiarza, przerwało mi wspomnienia.

— Siadaj pan, panie Rubinstein — rzekłem, wskazując mu krzesło.

— Nu, na co siadać, proszę pana; ja mogę postać, to krótki interes.

— Interes pan znasz? Berko musiał mówić panu. Potrzebuję czterysta rubli na miesiąc, może na dwa. O procent chodzi.

— Co tam gadać, bagatelna rzecz i za procent my się pogodzimy; za to nie będzie u nas *ostanowki* — i machnął ręką lekceważąco, podchodząc do mnie bliżej; gdy tak się

zbliżył, że prawie w samo ucho mógł mi mówić, szepnął: Wielmożny pan znajomy z nim?

— Z kim? — zawołałem, śmiejąc się serdecznie z uroczystej miny żyda.

— Sza! sza! to bardzo sekretna rzecz, — szeptał żyd, oglądając się na wszystkie strony. — Ja wielmożnemu panu dam pieniądze bez procentu, dam, ja wiem, co jaśnie panu potrzeba, dam na prosty weksel, bez procentu, na pół roku, tylko...

— Czyś oszalał? — zawołałem, nie mogąc zrozumieć, co się żydowi stało i myśląc, że mu się w rzeczy samej coś w mózgu popsulo? — Zkądże ta wspaniałomyślność? Nie potrzebuję pieniędzy na dłużej, jak na dwa miesiące; do jarmarku jarmolinieckiego, i procent taki, jaki zawsze bierzesz, zapłacę.

— Jaśnie panie! jak wy zaraz panowie fu! fu! jak z przeproszeniem ta dynamita — mówił żyd, rzucając na mnie przestraszone spojrzenia z podelba. — Na co zaraz krzyżeć? nu, zaraz oszalał, na co zaraz łaska, nie potrzebuję tylko na dwa miesiące — tu uśmiechnął się konfidencyonalnie. — No, no, nibyto Rubinstein nie wie, kto wiele potrzebuje? i wiele jemu można dawać? ja wiem, jasnemu panu można dawać i dawać, bo choć teraz nie ma dużo, to jeszcze będzie, pan jeszcze kawaler.

— Daj mi pan czysty spokój z całą tą oracyą — ofuknąłem żyda gwałtownie — mów pan krótko, czy pożyczysz mi czterysta rubli na dwa miesiące, czy nie? jeżeli nie, to muszę gdzieś w innem miejscu poszukać tych pieniędzy.

Żyd jakby przestraszony mojemu słowami, sięgnął pospiesznie do kieszeni i z wydobytego pugilaresu nerwowym ruchem wyciągnął cztery tęczowe papierki, kładąc je przedemną na stole.

— A, jaki pan gorący, zaraz drugiego miejsce, *gwalt*. na co drugiego miejsce? kiedy Rubinstein daje — tu zbliżając

się do mnie znowu, szeptem mówić począł: Mnie Srul, nu, ten durny Sruлик mówił, co jaśnie pan z nim znajomy.

— Z kim, ze Sruikiem? zawolałem wesolo, patrząc na zakłopotanego, kręcącego się żyda i niemogąc odgadnąć przyczyny zakłopotania tego — wiesz pan przecież, że Srukla znam od dzieciństwa.

— Hi! hi! jasnemu panu zawsze żarty w głowie; ja nie za Srukla mówię, ale — zaczął szeptać tak cicho, że zaledwie dosłyszeć mogłem — za policmajstra. Sruklo mówił, co wy do siebie *ty* gadacie, co on z ruskich panów jest, i jaśnie pan z nim przyjaciel.

Ha! ha! — rozśmiałem się teraz serdecznie — cóż z tego? cóż to ma do naszego interesu? nie rozumiem.

— Jak można takiego prosty interes nie rozumieć, ja zaraz *roxtolkuje*, ja dam jasnemu panu tych czterysta rubli na pół roku, bez procentu, a jaśnie pan, poprosi jego, tegi policmajster, coby on mego zięcia nie zaczął. Na nim *wysylka* stoi, on nie tutejszy, z Mohilowa on sam, to jak jemu jaśnie pan przyjaciel, to można tak zrobić — coby on, mój zięć, Wolko Grünberg, był tutejszy *urożeniec* i coby na nim *wysylka* nie stała.

Żyd skończywszy, patrzył na mnie badawczo, jakby pragnął odgadnąć, jakie słowa jego zrobiły na mnie wrażenie. Ja śmiałem się ciągle serdecznie, patrząc na jego zakłopotanie i na bezprzerwane, bezwiedne prawie ruchy ręki, którą leżące na stole pieniądze to przysuwał ku mnie, to cofał ku sobie.

— Panie Rubinstein — przemówilem wreszcie poważnie, surowo nań patrząc i przerywając tem kłopotliwe milczenie — wielkie głupstwo pan powiedział, ja nie ruski *czynownik*, żebym *chabary* brał.

— Jakie chabary? na co zaraz chabary, ja tylko tak z grzeczności, jaśnie pan jemu po przyjaźni.

— Czekał, niech skończę — krzyknąłem na żyda — pieniędzy bez procentu i na dłużej jak na dwa miesiące nie

wzemę, a jeżeli twemu zięciowi można co pomódz, to i bez tej grzeczności pomogę -- zrozumiałeś pan?

— Nu, rozumiał... ale zawsze — plótł niezrozumiale żyd — zawsze coby to panu szkodziło, dla pamięci ta grzeczność; nu, jak pan już tak sobie życzy, to ja wezmę od jasnego pana tylko kupiecki procent jeden na miesiąc, ale proszę jemu za mego zięcia mówić, co ja jest pański przyjaciel, a on, Wolko, mój zięć, moje dziecko.

— Powiedziałem panu, rób pan jak chcesz, ja i tak większego procentu - bym nie zapłacił, bo u Weinbauma na taki procent zawsze pieniądze dostanę. Masz pan przy sobie papier wekslowy?

— Mam — odparł, podając mi pieniądze i zmięty blankiet wekslowy — żeby tylko jaśnie pan nie zapomniął, Wolko się nazywa.

Nie odpowiedziałem na tę uwagę zastosowaną do mej pamięci; milcząc, usiadłem do załatwiania tyle razy w życiu powtarzanej formalności.

Za chwilę weksel był gotów. Wyprawilem żyda, który przed wyjściem potrafił wetknąć mi jeszcze w rękę kartkę z zapisanem imieniem i nazwiskiem swego zięcia. Popatrzyłem na zegarek — była czwarta; pobiegłem więc pospiesznie do notaryusza, żeby pieniądze dla banku złożyć, bank bowiem był już o tej porze zamknięty, a weksel do notaryusza, do protestu odesłany.

Załatwiwszy tę sprawę przed piątą, w swobodniejszym usposobieniu udałem się do restauracyi dla spotkania się z Rokitynem.

*

*

*

W przedsiönku restauracyi oczekiwał mnie służący, który z niezwykłą czolobitnością oświadczył mi, że pan policmajster czeka już na mnie w osobnym gabinecie. Wszedłem.

Rokitin siedział, oparłszy głowę na rękach, zadumany i smutny; nie zauważył nawet w pierwszej chwili mego wejścia, i dopiero, gdy przyszedłem na krok od niego, podniósł w tęsknej jakiejś zadumie pogrążone oczy i wyciągając ku mnie rękę na powitanie, przemówił krótko:

— Dziękuję ci! Ja tak czekałem, myślałem już, że nie przyjdiesz.

— Wszak dopiero w tej chwili piąta bije, mówiłem, że wcześniej nie będę mógł, miałem zajęcie.

— Wiem, wiem, przepraszam cię za nierozsądną gadaninę, i dziękuję ci serdecznie. Oh! życie, psie życie, *sobaczaja żyżń*

I oparł znowu głowę na rękach.

— Kola! Kola! przemówiłem doń serdecznie, opierając mu rękę na ramieniu — co tobie jest? co ci cięży? nie godzi się tak podupadać na duchu; powiedz, co ci cięży? co ci dolega? może co poradzę, w życiu ciężkiem doświadczenia dużo nabrałem.

— Co mnie jest? odparł, podnosząc głowę i spoglądając ponuro — co mi cięży? alboż ja sam wiem, zarżnij mnie, nie wiem, ot, tak, wszystko mi zbrzydło, *żyżń nadojela*.

— Co ty mi takie absurda pleciesz? Zmartwienie jakieś masz, zgryzoty, ztąd te smutki.

On nie zwracał prawie uwagi na moje pytania, tylko patrzył na mnie ciekawie.

— Zdrow, rumiany, wesoly nawet -- mówił jakby sam do siebie, — Co ty robisz? — zwrócił się nagle z pytaniem do mnie — co ty robisz? jak ty żyjesz? co cię na tym świecie trzyma? Matka, powiadasz, umarła, siostra zameżna, cóż ty robisz? w karty nie grasz? pijesz? co?

— Ani jedno, ani drugie.

A... a... a... już się domyślam, miłość jakaś tajemna cię wiąże, powiedz mnie, mnie przyjacielowi, o! ja cię z niej wyleczę, niewarto, wierzaj mi, że niewarto — i machnął lekceważąco ręką.

— I to nie — odparłem, uśmiechając się — zamało mam powabów, za ubogim na to, by wzajemności gdziekolwiek spodziewać się, a jeżeli kocham, to wiesz kogo, wiesz co... dawniej, przed dziesięciu laty mówiłem ci o tem, a stały jestem.

— A... a... a... a... — zawołał, wstając i dziwnie patrząc na mnie — czy być może? — nie, nie, to chyba nieprawda, nie! wy Polacy jesteście największymi szaleńcami na świecie! Ha! ha! ha! — śmiał się nerwowo — zawsze ta jedna ukrzyżowana, rozszarpana, krwią zbryzgana, ojeczyzna!

Przestał śmiać się przy ostatniem słowie; milczeliśmy obaj, on patrzył mi w oczy i wydało mi się, że tam gdzieś pod powieką lza wezbrała i mgła piękne oko mu przesłoniła. Po chwili on pierwszy zaczął mówić:

— Ojeczyzna! ojeczyzna, i swoją kiedyś kochałem, pamiętasz, gdyśmy się ostatni raz widzieli; oh! jak ja ją kochałem, wielbiłem — krew za nią pragnałem przelewać; ale dziś ja ją poznałem, wiem czem jest: brr! brr! ścierka brudna, plugawa, *ladaszczyca*. Ja mam dziś dla swojej ojczyzny nienawiść i wzgardę, ja nie mam ojczyzny! o! ty szczęśliwszy odemnie, ty ją masz zawsze niezmienną.

Służący wniósł zupe.

— Et! głupstwo wszystko — zawołał nagle — wódki się napijmy, w to jedno jeszcze dziś wierzę.

— Napijmy się — odparłem zamyślony.

— Napijmy się — powtarzał mimowolnie, nalewając duży kieliszek koniaku, a drugi takiż podsuwając ku mnie, — wiesz, żeby nie wódka, to nie wartoby było żyć na świecie; br! *wsio gadoit! i to gadoit!* — dokończył, odsuwając z niesmakiem wypróżniony kieliszek — i ta mi dziś nie smakuje

Zasiedliśmy w milczeniu do jedzenia, rozmowa nie kleiła się. Pierwszy przerwał milczenie Rokitin, zrazu drżąc i nieśmiało, później, w miarę, jak się swemi własnymi słowami zapalał, coraz płynniej posypały mu się z ust. Ja, zajęty opo-

wiadaniem, zapomniałem o jedzeniu i picciu, zasluchany w ciekawie, a tak smutne dzieje.

— Niech tam, co chcesz sądzić o mnie — mówił — wszystko mi jedno, dziś muszę kamień z serca zrzucić i tobie wszystko opowiem. Dzieje żywota, historię Nikolaja Pawłowicza Rokitina; słuchaj uważnie, pociechę to dla ciebie będzie i dla tej twojej ukrzyżowanej, pociechę, bo takich jak ja, tysiące dziś na tej świętej Rusi; ten rak, ta choroba, co mnie pożera, żre naród cały, naród wielki, naród, który was zgniótl, może to kara Boża? — *Hej! czelawiek, szampanskawo* — zawołał i wkrótce nalewając wino do szklanek, znowu mówił.

— I mnie ongiś życie uśmiechało się, i jam o wielkiej przyszłości marzył, jak marzyło tysiące młodzieńców, po tej szerokiej, pięknej ziemi błędzących. Każdy Rosyanin, jak ma lat dwadzieścia, to snuje cudowną przyszłość dla siebie i swej ojczyzny. Co później z marzeń tych robi się? Albo karki opasłe w obroże podają i na siepaczy despotyzmu się przerabiają, w *diejstwitielnyje sxtackije sowietniki*, w senatory idą, w ugłaskane psy a wilki zmieniają się, lub tak, jak ja, jak tysiące innych, łańcuch ciążący im targają, a gdy obroża zaciśnięta przygniecie, gdy knut smagający zanadto dokuczy, zrywają się, szarpia i wyją, jak psy wściekle. Później ich w kaza-maty, w katorgę szła. Popatrz się, wszystkie więzienia zaphane dziś takimi.

Szklanekę szampańskiego wina do ust podniósł i wypił ją jednym haustem, w oczach błyszczał mu jakiś dziki ogień; widocznie bolesne wspomnienia rozgoryczyły go, cierpiał strasznie.

Żal mi się biedaka zrobiło, przyszła mi niewczesna myśl uspakajania go — pocieszania.

— Kola, słuchaj, nie bluźń — przemówiłem doń serdecznie — bluźnierstwem jest mówić w ten sposób, gdy się ma ojczyznę wielką i potężną, która usług swych synów potrzebuje. Wierzaj mi! że my gdybyśmy naszą w takim stanie mieli, to żadenby w podobny sposób nie bluźnił.

— Ha! ha! zaśmiał się dziko — to ty bratku bluźnisz teraz, bluźnisz porównywując tylko. To nasze całe nieszczęście, to wasza wyższość, że wy ją macie piękną i wzniosłą, do ofiary, do pięknych czynów, do wytrwałości i zaparcia się siebie samego pobudzającą, a nasza... *matuszka* w rozpuście żyje, za świętą nikt jej mieć nie może, rublami tylko ulubieńców swych i pochlebców wynagradzać zdolna.

— Dajmy temu pokój — przerwałem, widząc, że bądź-cobądź rozmowa na niebezpieczne tory przechodzi — mów mi co o sobie, co przez ten czas robileś?

— A co Moskal może robić? służyłem. Wprost od was poszliśmy na Bessarabię do obozu, z wiosną za Dunaj, w bitwach byłem, oficcerski krzyż Georgija dostałem; nie szukaj go okiem daremnie, do takiego munduru go nie przypnę, z kampanii sztabs-rotmistrzem do Petersburga wróciłem.

Mój stary, nieboszczyk cieszył się, przez stosunki do kawalergardów przeniósł, a w rok po powrocie z Turcyi, z matką jak się do mnie wzięli, tak ożenili mnie.

Przerwał nagle, rękę po butelkę wyciągnął i pełną znowu szklankę nalał, patrząc na białe bańki gazu zwolna w górę unoszące się, bezmyślnie powtarzał:

— Ożenili mnie, ożenili, ożenili.

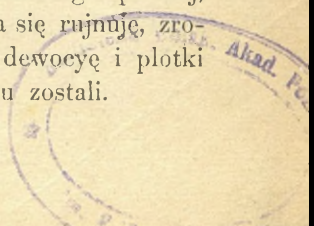
Chcąc go wyrwać z tej zadumy bolesnej, zapytałem:

— Z kim byleś żonaty? Z kim cię ożenili?

— Oh! świetnie mnie ożenili, świetnie — mówił, śmiejąc się boleśnie. — Ożenili z księżniczką, błękitna krew Rurykowiczów w jej żyłach płynęła, piękną była jak bóstwo greckie i bogata.

Cały świat zazdrościł, powinszowaniom nie było końca. I rok, prawie półtora roku, w niebie z nią przeżyłem. Ah! jak piękną była.

Wkrótce po ślubie mój stary umarł, niedługo później, po urodzeniu mego syna, matka widząc, że ja się rujnuję, zrobiła testament na korzyść dziecka i sama na dewocję i plotki do Moskwy wyjechała. Myśmy w Petersburgu zostali.



Co ty możesz wiedzieć? ty tego nigdy nie zrozumiesz, jak my żyli; wy Polacy o tem życiu nie macie wyobrażenia, na to potrzeba być russkim, trzeba mieć szeroką russką naturę, i tylko russka kobieta z najwyższych sfer, potrafi człowieka otoczyć tą subtelną, najbardziej wyrafinowaną rozkoszą. Żyliśmy tak półtora roku, i w płomieniستم tem życiu spaliłem wszystko, co posiadałem: majątek po ojcu odziedziczony, ideały moje młodzieńcze, wiarę w naród i w siebie samego, wiarę w cześć i nieskazitelność żony, honor mój własny.

Ona, gdy zobaczyła, że ja już nie oprócz długów nie posiadam, porzuciła mnie, dziecko zabrała. Szatan nie kobieta, szatan w najpiękniejszym ludzkim ciele.

W pulku nie było co robić, długi cisnęły; wziąłem dy-misyę, dostałem dobre miejsce w zarządzie stadnin rządowych, pojechałem na prowincyę.

Zdawało mi się, że odżyć potrafię; rok cicho upłynął, rany zablizniały się powoli, aż tu znowu nasłanie jakieś — druga kobieta w życie mi się weisnęła, jak pasożyt wszystkie członki oplotła i krew a soki najżywotniejsze pije. To już nie księżniczka, nie wielka dama, żona małego urzędniczka, *czynownicza żena*.

Poznałem ją w guberskiem mieście, sama mi się na szyję rzuciła; w miesiąc później męża opuściła i od tego czasu u mnie mieszka. Przeklęta, nienawidzę jej, a pozbyć się nie mogę. Nienasycona, przez nią miejsce w zarządzie stadnin straciłem, przez nią nigdzie miejsca utrzymać nie mogę i doszedłem do tego, że m policyjnym urzędnikiem tu u was, w *ju-go-zapadnom kraje*. Nie, ja nie wytrzymam dłużej, ja oszaleję, ja sobie życie odbiorę. Słuchaj, jaką ja służbę pełnię? do czego mnie używają? co ja dziś, dziś rano zrobiłem?

Zerwał się z krzesła, mundur porozpinał i ciężko oddychając, przechadzał się milcząc po małym gabinecie. Po chwili kazal podać sodowej wody i dolawszy do niej koniaku, pełną szklankę postawił przed sobą, zwolna popijając.

Ja milczałem głęboko, w smutnych myślach pogrążony; żał mi było człowieka, żał zdolności tych niezwykłych i zapалу szlachetnego, tak strasznie zmarnowanych.

Po kilku minutach, gdy uspokoił się trochę, zaczął mówić znowu, głos mu tylko drżał chwilowo, kurez go jakiś chwylał.

— Dziś rano — mówił — poszedłem do gubernatora z *dokładem*. *Jewo prawoschoditelstwo* był w złym humorze, coś niemilego od jenerał-gubernatora musiał dostać, bo zrzędził nieznośnie całe pół godziny; później wziął do rąk dużą jakąś kopertę, opatrzoną pieczęciami *tretioho oddielenija* i podając mi ją, powiedział:

— Pojedziesz pan zaraz z żandarmskim oficerem na Ormiańską ulicę, tam w domu Kulika mieszka Anna Fiodorówna Pieńko, prawosławna, lat dwadzieścia dwa, rewizyę w domu zrobić, protokół spisać i aresztować natychmiast.

Kopertę rozpieczętowaną mi podał i dodał suchym urzędowym tonem:

— Ślicznie u nas idzie, pensye rządowe bierzemy, rozkosznie żyjemy, a nie wiemy o spiskach politycznych, które nam się tu pod bokiem legną, aż z Petersburga muszą nam o tem donosić.

Wyszedłem, ukloniwszy się tylko.

Za chwilę byłem w swojej kancelaryi, posłałem natychmiast po żandarmskiego oficera, a sam wydobyłem z koperty znajdujący się tam papier. Byłto wyraźny rozkaz zrobienia rewizyi, przesłuchania i spisania protokołu, a ostatecznie aresztowania i wysłania do Petersburga Anny Fiodorówny Pieńko, z powodu, że znaleziono u jej kochanka, narzeczonego może, studenta medycyny Czepuchina, posądzonego o należenie do politycznego spisku — miłosnej korespondencyi. Skamieniałem, zastanowiwszy się nad logiką tego rozkazu, a jednak czarno na białem.

Wezwany oficer nie kazał długo na siebie czekać; pokazałem mu rozkaz, i zaraz, wziąwszy kilku policyantów, pojechaliśmy na wskazane miejsce.

— Słuchaj! słuchaj! — zawołał, zrywając się z krzesła i patrząc roziskrzonymi, dzikimi oczyma — słuchaj, ja, ja Rokitin musiałem to robić. Nie zapomnę nigdy dnia tego, tej chwili okropnej, ohydnej; dużo rzeczy wstrętnych widziałem, w wielu sam udział brałem, ale takiego przejścia nie pamiętam, co za upodlenie!

Przyjechaliśmy. W małym domku na podwórzu mieszkała ta Pieńko wraz z matką staruszką, obie kobiety ciężko na kawałek chleba pracowały, córka dopomaga jednak matce.

Weszliśmy do pierwszej izby, staruszka taka sucha, taka biała, taka jakaś niewinna, zajęta była prasowaniem bielizny. Oczy od pracy ze zdziwieniem podniosła i powiedziała, że: zapewne pomyliliśmy się wchodząc tu. Nie myśmy się pomylili, ale tam w górze myłą się bezustanku, myłą się okropnie.

Na hałas spowodowany naszym wejściem, otworzyły się drzwi drugiej izby i w nich pokazała się postać młodej, przystojnej, zdrowej dziewczyny, po za nią cisnęło się do drzwi kilka główek dziecięcych.

— Czy tu mieszka Anna Fiodorówna Pieńko — zapytałem surowo dla dodania sobie odwagi, bo w rzeczy samej czułem coraz bardziej ohydę swej roli.

— Tu — odparła dziewczyna, zwracając zdziwione oczy na mnie i na moich towarzyszy. — Ja nią jestem.

Kurcz jakiś w gardle głos mi tamował, wstyd ogarnywał coraz straszniejszy; nie wiedziałem, co mam mówić? co z sobą zrobić?

— Czyje to dzieci? — zapytałem bezmyślnie, wskazując na cztery przestraszone dziewczynki — czyje?

— Sąsiadów!

— Co one tu robią? — pytałem dalej, a wściekłość mnie jakaś ogarnywała, wściekłość na siebie samego, na rząd, na świat cały.

— Przyszły się uczyć do mnie — odpowiadała dziewczyna — dwie prawosławne, a dwie żydóweczki; uczę je czytać wolnym czasem, pieniędzy za to nie biorę, spytajcie ro-

dzieców. — Dzieci tymczasem cicho płakać zaczęły, tuląc się do niej.

Placz ten cichy, przez ciało aż do duszy mi sięgnął, i tam zatargał najdrażliwszemi strunami, sam omal że nie rozplakałem się. Oprzytomnił mnie wzrok oficera i policyantów, ze zdumieniem na mnie patrzących. Spojrzenia te obudziły we mnie dzikie jakieś instynkty, gdzieś tam w głębi duszy drżemiące dotychczas, zwierzę dzikie ocknęło się we mnie, uderzyłem nogą w podłogę i wrzasnąłem tak silnie, że aż szyby w oknach zadrżały.

— *Malczak!*! ja ciebie, ja ciebie Anno Fiodorowno każe aresztować, ty, ty, *miatieżnica* — i zwróciłem się z tym samym wraskiem do oniemiałych policyantów i oficera — róbcie waszą powinność — wołałem — róbcie rewizję, piszcie protokół, aresztujcie.

— Ja niewinna! — zawołała staruszka — za co mnie więzić?

— Ona niewinna! — jęczała staruszka — *Wasze Wysokorodie* ona niewinna, niewinna, zostawcie mi ją, ja stara, bez niej, bez mojej pociechy z głodu umrę — i wyciągnęła do mnie suche, cienkie ręce i wnet bez zmysłów do nóg mi się zwałiła.

Dzieci zaczęły płakać spazmatycznie, rozdzierająco.

— Róbcie, co do was należy — zawołałem do podkomendnych i jak szalony wyleciałem na dziedziniec, a jęk tej starej za mną. Ha! słyszę go jeszcze, w mózg mi się wpił. Dopadłem doróżki, kazałem się wieźć za miasto, hen w pole, a krzyk ten rozdzierający biegł za mną. Ona niewinna, ona niewinna!

Po godzinie jazdy po za miastem, przyjechałem tu, chciałem upić się, krzyk ten zagłuszyć, robaka zalać, i ciebie tu zastałem.

Usiadł ciężko, bezwładnie prawie padł na krzesło, głowę zwiesił na piersi, oddychał ciężko, na twarz mu wystąpił ceglasty, nienaturalny rumieniec, z ust wyrывały się bezładne, urywane słowa.

— Ha! wszystko ci powiedziałem. Co zazdrościsz mi ojczyzny? co? narodowej chwały? Nie! na Boga, nie, nie wszystko jeszcze wiesz o mnie, ale to ostatnie najtrudniej powiedzieć.

— Daj temu pokój — przerwałem mu stanowczo — jesteś chory, krew ci do głowy bije; chodźmy gdzieś, chodźmy na dwór przejść się trochę, później mi kiedyś dokończysz, teraz chodź.

I gwałtem prawie wyciągnąłem go z restauracyi.

*

*

*

Wyszliśmy. Ciemno już było, cień wysokich domów zalegał ulice i tylko miejscami smugi jasnego, księżycowego światła przedzierały się tu i owdzie przez luki pomiędzy domami pozostawione.

Szliśmy obok siebie milcząc, w smutnych myślach pograżeni; zastanawiałem się nad fatalizmem, który tego szlachetnego i dobrego człowieka na dno przepaści popycha i zepchnie go tam niechybnie; ratunku dłań nie widziałem.

On widocznie przeczuł moje myśli, bo ozwał się nagle:

— At! przeżyło się, przeszłość nie powróci, przyszłość, ja nie mam przyszłości; tak żyć, jak teraz, nie potrafię.

Nie odpowiedziałem mu; nie wiedziałem, co mu mam odpowiedzieć. Szliśmy znowu w milczeniu, przeciskając się pomiędzy dość tłumnie snującą się po chodnikach ludnością.

Wreszcie znaleźliśmy się na bulwarze. Dawny to ogród ostatniego komendanta Kamieńca z ręki Rzeczypospolitej, generała Wita; po nim już tylko Złotnicki się upamiętnił. Pośród starych murów fortyfikacyi niewielki ogródek, starych rozłożystych akacyj pełen.

Ludzi tu i dnia tego dość było. Z drewnianego budynku, w którym gnieździła się trupa aktorska, letni teatr! dobywały się fałszywe dźwięki żydowskiej kapeli, a licznie na bulwarze zgromadzona publiczność, albo kupiła się u wejścia

do teatru, lubując się fałszywymi tonami, lub też rozsypana grupami pomiędzy drzewa, rozkoszowała się świeżem powietrzem i jasnym księżycowym światłem.

Zaciasno nam i tu było. Ludzie i ludzie wokoło, a on widocznie nie pragnął ich dziś widzieć; szedł ciągle naprzód, ja opóźniając się trochę, za nim. Schodziliśmy wązkami, dość stromo w dół spuszczaćcami się ścieżynami, na niższą terasę Witowego ogrodu.

Balsamiczna woń kwiatu akacyowego przepelniała atmosferę. Przeciskające się pomiędzy bujne liście rozwiniętych już drzew promienie księżycowe, czarodziejskim urokiem okalały tę oazę roślinności, wtłoczoną pomiędzy masę murów ściśniętego miasta.

Doszliliśmy do skraju, końca ogrodu. Olbrzymie ponure mury przedwiekowych bastyonów, drogę ku dalej otwierającej się stoczystości — przepaści tamują, przez parapet tylko wązki drewnianymi sztachetami przegrodzony, można było w dół po za mury, w koryto Smotrycza spojrzeć.

Stanęliśmy tuż obok siebie, dotykając się prawie, w wązkim parapecie, i zapomniałem odrazu o wszystkim, o całym otaczającym mnie świecie, o stojącym obok mnie Rokitinie, o jego smutkach. Czar jakiś nieokreślony przykuł całą moją istotę do cudownego widoku, który przedemną się otworzył.

Fantastyczne kontury starożytnej twierdzy drgały w srebrzystych promieniach, muskających szare, ponure mury, a od masy tej poważnej niby odblask bił, niby jakieś drobne, mikroskopijne światelka fosforyczne pelzały po niej, a tych światelek coraz więcej, skier tych tysiące, miliony. Po za twierdzą, na zachodniej stronie widnokregu, paliła się purpurowa luna świadek niedawno skrytego po za Dłużyckim lasem słońca.

Widok ten, niezwykle stan w mej duszy wywołał. Uczucia smutku i radości mieszały się razem, wspomnienia się cisnęły, nadzieja jakaś nieokreślona rodziła. Stałem wpatrzony, oniemiały, skamieniały, — cały świat w tej chwili był dla mnie obojętnym.

Przed oczyma rozbującej wyobraźni widziadła jakieś snuć się zaczynały. O! widzę w tej chwili, widzę wyraźnie, jak brama twierdzy otwiera się z wolna, słyszę zgrzyt wrzeczadźców i skrzyp zawiasów, i poczt zbrojny, pancerny, błyszczący w miesięcznym świetle, cicho, milcząco wyjeżdża, tylko dźwięk podkowy, tylko chrzęst mieczy i pancerzy ucho ułoić zdoła — na wycieczkę jadą, na ciężką, kresową służbę.

To znowu z murów i parapetów dymy białe unoszą się, huk dział słyszę; hałas szturm, wrzawa i tumult straszliwy; nieprzyjaciel napróżno na mury się wdziera, białe turbany w przepaść lecą, dzielną dłonią spychane.

Mgła, z koryta rzeki podnosząca się, przysłoniła lekko cudowny widok, zlorzeczyłem jej.

Wtem uczulem na ramieniu delikatne dotknięcie ręki.

— O czem myślisz? — przemówił nieśmiało Rokitiu — jeszcze coś miałem ci powiedzieć.

— Co? — zapytałem bezwiednie prawie i zwróciłem się ku niemu.

I ujrzałem znowu, jak po przeciwnej stronie, na ciemnoszafirowem, blademi gwiazdkami obsypanem tle firmamentu, śmiało w niebo strzelał, jak obelisk ponad masą murów wznosił się — minaret katedralnego kościoła, a na jego szczycie Bogarodzica depecząca półksiężyc, dumną dłonią tam ongiś zatknięty. I znowu zapomniałem o moim towarzyszu.

— Miałem ci jeszcze coś powiedzieć — mówił niepewnym głosem.

— Co? — odparłem prawie opryskliwie, rozdrażniony tem, że mi myśli moje przerywa.

— Wiesz, ta druga, kobieta — mówił, jękając się — ta, o której ci mówiłem, Zofia Iwanówna, ona mnie zgubi, od żydów, których wysiedlić kazano, pieniądze bierze, i mnie do pozostawiania ich w mieście, do nadużyć w mojej służbie doprowadza.

— To ją wypędź! — odparłem ostrym tonem i znowu w dół na twierdzę spojrzalem.

— Kiedy bo, nie mogę bez niej się obejść, pogardzam nią, a tak się do niej przyzwyczaiłem, nałóg poprostu. Cobyś ty zrobił na mojem miejscu?

Milczałem, patrzyłem w dół na drobne, nikle światełka migające w oknach domków, do stoku góry przyczepionych, na dnie przepaści, drżące, a ujrzałem, dopiero w tej chwili — przepaść oddzielającą mnie od tego człowieka, od tego przyjaciela młodości.

Milczałem, w myśli tylko odpowiedziałem na to straszliwe pytanie i równocześnie mimowolnym ruchem rzuciłem w przepaść otwartą u nóg moich, gałązkę kwiatu akacyowego, którą w rękę trzymałem.

— Cobyś ty na mojem miejscu zrobił? — pytał uparcie, patrząc zamglonem okiem na upadający, kręcący się, wirujący w powietrzu kwiat.

— Nie umiem ci odpowiedzieć; nie mogę się w podobnem położeniu postawić.

Kwiat znikł już z oczu, a on patrzył znowu na mnie, i głosem, w którym drżało tysiące najrozmaitszych uczuć i namiętności, zawołał!

— Oh! odpowiedz mi jeszcze; odpowiedz mi tylko na jedno jeszcze pytanie. Co was, was Polaków przez życie prostą drogą prowadzi? co was od zejścia na brzeg przepaści, od stoczenia się na jej dno chroni?

— Co nas prowadzi? — zawołałem, zapominając o wszystkim, o przyjaźni dawnej, o litości, bo wydało mi się, że to jest jedna z tych chwil zadośćuczynienia, przez sprawiedliwość Najwyższego zsyłanych czasem, i uczulem w duszy pewną dziką rozkosz, widziałem przed sobą, nie przyjaciela młodości w walce z przeciwnościami żywiołami zwyciężonego, ale upodłonego członka narodu, od którego należy się nam zadośćuczynienie — za krzywd miliony.

— Co nas prosto przez życie wiedzie? Co nas od upadku chroni? — wołałem, i wzięwszy go za rękę, drugą ukazałem mu jasno znowu malujące się mury twierdzy. — Patrz —

mówilem — więcej jak dwieście lat temu, ojcowie nasi, z opuszczonymi od wstydu oczami, ze łzami boleści w nich, wychodzili z tych murów, w walce zwyciężeni — przemocy ustąpić musieli, ale po to tylko, by tu znowu wrócić.

— Patrz — mówilem, zwracając się w drugą stronę i rękę ku minaretowi wyciągając. — Wrócili, i na tym dumnym minarecie, na tym potężnym półksiężycu, posąg Bogarodzicy, patronki narodu wzniesli.

— Wiesz teraz, co nas utrzymuje? wiara, że i my kiedyś tu jako zwycięzcy powrócimy, że i my w tryumfie na tych zielonych dachach waszych cerkwi, godła naszej wiary umieścimy. Wiara w przyszłość jaśniejszą, wiara w sprawiedliwość Przedwiecznego, wiara w Jego opatrność i miłosierdzie przez życie nas wiedzie i upadać nam nie pozwala.

Rokitin stał w głębokiej zadumie pogrążony, zdziwionemi oczyma patrzył na mnie, po długiej dopiero pauzie przemówił złamanym, cichym głosem:

— Zazdroścę wam, cały nasz naród zazdrościć wam kiedyś będzie, wiara ta wasza da wam zwycięstwo, brak wiary wszelkiej da nam, wszystkim po kolei, śmierć na dnie przepaści.

W niezwykłym usposobieniu byłem, miałem tego towarzystwa dosyć, pragnąłem coprędzej ciszy, samotności.

— Bądź zdrow! powiedziałem, wyciągając doń na pożegnanie rękę — dużo mam jeszcze dziś zajęcia. Niech ci Bóg dopomaga.

— Nic z nim nie mam wspólnego — odparł opryskliwie i zaśmiał się spazmatycznie.

Odszedłem, pozostawiając go na parapecie.

*

*

*

Po nocy bezsennie prawie przepędzonej, nad ranem dopiero twardo zasnąłem. Obudziło mnie natarczywe stukanie do drzwi; wstałem, aby otworzyć i zobaczyć, kto jest tak

natrętnym gościem. W drzwiach ukazał się przestraszony i mocno wzburzony Rubinstein.

— Nu! pan wie? niech Bóg broni, oto *gescheft* — mówił bezwładnie — pan śpi, bo pan *retelny* człowiek, ja zawsze mówiłem, że pan rzetelny.

— Nigdy o tem nie wątpilem — mówię, śmiejąc się, bo żyd ten miał talent rozśmieszania mnie — czy po to mości Rubinstein, obudzileś mnie tak rano, żeby mnie to powiedzieć?

—ładnie rano, dziesiąta godzina. Ale nie oto idzie; pan *retelny* człowiek, ale ona, ta złodziejka, ta, od policmajstra, ta Sofia Iwanowna, wczoraj jeszcze wieczorem od mojej córki pięćdziesiąt rubli wzięła, i *ferfal*, przepadło. Pan wie? to to *swolocz*, ten policmajster, *szojn begruben*.

— Mów pan wyraźnie, z sensem, panie Rubinstein, bo tak nie rozumiem.

— Co tu rozumieć, a co nie rozumieć! *begruben* i koniec.

— Kto *begruben* ... pieniądze?

— Et, kto? policmajster, *czort* jego wie, czy pijany był i sam upadł? czy go kto strącił? niewiedzieć, ale leży tam na ulicy, koło tureckiego mostu, leży zabity, *slectwo* tam zaraz jedzie.

Skoczyłem do żyda jak oparzony.

— Co pan mówisz? — zawołałem przerażony wieścią — wczoraj go wieczór widziałem, obiad z nim jadłem.

— Wielka rzecz; i moja Etia go widziała, i tę złodziejkę widziała i swoje pięćdziesiąt rubli widziała, ale już ani policmajstra żywego, ani swoich pieniędzy nie zobaczę, *ferfal!*

Zacząłem pospiesznie ubierać się, by móżdż o wypadku napewne się dowiedzieć.

— Ja mam do jasnego pana wielką prośbę — mówił żyd, zbliżając się do mnie — niech jej pan powie, żeby ona pieniądze oddała, bo ja *donos* zrobię.

— Daj mi pan pokój z takimi prośbami, w życiu jej nie widziałem.

Skończyłem się ubierać i wyszedłem na dziedziniec hotelowy kazać doróżkę przywołać.

— Nu, a ja bardzo proszę pana — lamentował żyd, idąc za mną krok w krok — Rubinstein zawsze potrzebny, niech jej pan powie.

— Idź pan do milion — zawołałem do utrapionego lichwiarza. — Na turecki most, co koń wyskoczy, krzyknąłem doróżkarzowi.

— Poco pan tam jedzie? tam śledztwo będzie — wołał za mną zdesperowany żydzisko.

Doróżkarz pędził jak szalony po pustych ulicach, powóz latał po bruku na wszystkie strony; dopiero koło Trynitarzkiego kościoła, gdzie ulica zaczyna się dość stromo spuszczać do tureckiego mostu, wstrzymał konie i stepo jechać zaczął.

Na zawrocie, za murem starej baszty, zobaczyłem gromadkę cisnących się ludzi i żołnierza z karabinem w rękę, na którym błyszczał jasno polerowany bagnet. Doróżkarz jechał nogą za nogą — wreszcie ujrzałem.

Tuż pod samym parapetem, na którym wczoraj staliśmy, leżał trup Rokitina, nogi miał pogruchothane, ale głowę całą, tylko z rany na skroni sączył się strumyczek krwi stygnącej.

Leżał na wznak, twarzą do wysoko już na niebie stojącego słońca zwróconą; oczy niezamknięte przerażająco w blasku słonecznym świeciły, usta szydersko miał wykrzywione.

Obok, tuż leżał biały kwiat akacyi, krwią skrzeplą zbryzgany.

Uczulem dreszcz zimny, przechodzący po całym ciele; odwróciłem oczy copędzej i kazałem się wieźć natychmiast z powrotem do hotelu. Myśli dziwnie mi się w mózgu mieszały. Niezbadane są wyroki Boże, samobójstwem skończył, a jednak była to niezaprzeczenie najszlachetniejsza dusza, jaką mi się między nimi spotkać zdarzyło.

Powróciwszy do hotelu, kazałem jak najspieszniej rzeczy pakować, chciałem corychlej z miasta wyjechać; wykrzywiona

twarz samobójcy w oczach mi stała, zdawało mi się, że zgrzyt śmiechu przedśmiertnego słyszę wyraźnie.

Nim jednak rzeczy spakowano, nim konie pocztowe przyprowadzono, nadjechał przyboczny sekretarz gubernatora i powiedział mi, że pan gubernator pragnie zaraz ze mną zobaczyć się, że czeka na mnie.

Pojechałem. Ekscelencya wzburzony chodził po gabinecie; gdym wszedł, zawołał drżącym głosem:

— O! co za okropny wypadek; minister mi go polecił, generał-gubernator o niego zapytywał, a tu.... Pan go wczoraj widziałeś, z nim mówiłeś, nie domyśla się pan, co było przyczyną jego śmierci?

— Nie wiem — odparłem sucho. — Znałem go dawniej oficerem, wczoraj po wielu latach niewidzenia spotkałem go po raz pierwszy.

— Zrobił testament — mówił znowu, biorąc jakieś papiery do ręki — testament pospiesznie pisany, bez świadków, nieformalny, ale zawsze wola przedśmiertna. Oto go mam, przynieśli mi go. Pana naznacza opiekunem syna, nie wiem?

— Bardzo wątpię, czy potrafię spełnić obowiązki ztąd wypływające — przerwałem mu — prawdopodobnie nie będę mógł przyjąć, Ekscellenco!

— Nie decyduj pan przedtem, nim list przeczytasz. Zostawił list do pana, oto jest — rzekł, podając mi zapieczętowane herbową pieczęcią pismo.

— Proszę je przeczytać, dodał, widząc, że trzymam list w rękę, nie wiedząc, co z nim zrobić. — Niech go pan tu bez ceremonii przeczyta, ja poczekał — i odwrócił się do okna.

Rozerwałem kopertę. List był krótki, pospiesznie, znać drżącą ręką pisany. Zacząłem czytać.

— »Przyjacielu mój! — pisał — Dłużej żyć nie mam poco? Źródła życia wyschły! Kto temu winien? nie wiem, czy ja sam? czy społeczeństwo, w którym żyłem. Nie chcąc stozyć się na samo dno przepaści moralnej, a to nieunikniemy

było, gdybym dłużej przy życiu pozostał — wolę sam w przepaść kamienną rzucić się i tam nędzne życie skończyć.

»Daruj, że przed śmiercią o jedną łaskę prosić cię będę. Umieram zazdroszcząc tobie, wam wszystkim — wiary w przyszłość. Zostawiam jedyne go syna, proszę cię bądź mu opiekunem i wychowaj go tak, by wiarę jakąkolwiek miał, by nie upadł tak, jak jego nieszczęśliwy ojciec, by mógł stać się kiedyś chlubą swej ojczyzny.

»Przebacz natręctwu mojemu, ale lżej mi umierać, myśląc, że ty zadość uczynisz prośbie nieszczęsnego, a w tej chwili, gdy to czytasz, już nieżyjącego przyjaciela:

Koli Rokitina.»

Stałem zdumiony, list w rękę trzymając; słowa w nim zawarte rozczuły mnie, ufność za serce chwytając.

A jednak — wnet zrodziło się w duszy palące pytanie: Czy ja mam prawo poświęcać czas, pracę, myśl, na wychowanie dziecka, które ma się stać z czasem chlubą wrogiemu nam narodu, sama może kiedyś wrogiem naszym. I wnet, za myślą tą błyskawiczną, stanęła mi przed oczyma twarz samobójcy, ironicznym śmiechem wykrzywiona.

— Nie! — zawołałem, wzdrygnawszy się.

Na dźwięk mego głosu gubernator zwrócił się.

— Nie! powiadasz pan. Spodziewałem się tego; i tak miałby pan trudności z objęciem opieki, z różnicy wyznań pochodzące; nie wiem nawet, czy trudności te dałyby się usunąć.

— Nie myślę ich usuwać — odparłem o ile możności grzecznie, lecz stanowczo — opieki pod żadnym warunkiem przyjąć nie mogę, mam dużo innych obowiązków.

I pożegnałem Ekscellencyę; schowawszy list do kieszeni, wyszedłem z gabinetu.

W drodze do hotelu mimowolnie cisnęły mi się na usta słowa:

Niezbadane są drogi, które Opatrzność ludzi i narody całe wie, ku ich przeznaczeniu.



VACÂR.

11967

— Wezmą! słowo daję wezmą! — wołał Enemuk-Han, pędząc pełnym, myśliwskim galopem na karym jak kruk »Dżiryście.« Konie nasze zrównały się właśnie. — Patrz! patrz! — wołał, już wzięły!

W tej chwili ujrzałem, jak ze zgrai ośmiu chartów, do-tąd prawie równo idących, wysunęły się dwa najsilniejsze, naj-większe i pochwycawszy uchodzącego ostatkami sił wilka za kark, z zamachem o ziemię nim rzuciły.

— Patrz! patrz! wołał dalej Tatar — to mój Aladyn i ta kudłata suka, ta niepoczesna sobaka Dżordzi. Patrz, patrz!

Rzucony o ziemię wilk, zerwał się raptownie, siadł na tylnych łapach. Objuszone, czarnym pyłem okryte, ledwie dyszące wilczyisko przybrało obronną pozycję. Sił jednak do walki już nie miał, zębami tylko szczęknął kilka razy nieszkodliwie, język długi wywiesił, a z rozwartej paszczęki popłynęła mu obficie piana z posoką zmieszana.

W oczach Enemuk-Hana błysnął wyraz dzikiego tryumfu, pocisnął konia i w kilka sekund był obok wilka, z błyskawiczną szybkością z konia zeskoczył, strzemię wraz z puśliskiem odczepił od siodła i niem rabusia kilka razy między oczy silnie uderzył. Wilk zaskomlał boleśnie, bezsilnie podskoczył i runął martwy na ziemię.

Vacár (wymawiaj Wakar) w ludowym narzeczu używany w rosyjskiej Bessarabii, oznacza pastucha bydła.

— Pierwszy tego roku, ale dobry — mówił z zapalem i rozkoszą Tatar — patrz, wyższy przodem od Aladyna; no, ale dał nam hartu, i psami i nami wymotał do syta.

Byłem już obok niego, osadziłem konia na miejscu i zsiadłem; chodziłem, przeprowadzając powoli zziąjaną, pianą okrytą, bokami robiącą moją ulubioną, kasztanową »Lolindę« wkoło grupy złożonej z uszczutego wilka, Tatara, karego tekińskiego konia i zgrai skomlaących chartów.

— Przeprowadź trochę konia — ozwałem się do tryumfującego towarzysza — zmachany okrutnie, gotów się ochwacić.

— Nie mu nie będzie! — odparł — znam go, to nie wasze angliki; od brata mam go w podarunku, a naszym biegunom pięć werst choćby najszybszego biegu nie zaszkodzi. Na jego ojcu, gdym do brata czasami przyjeżdżał, po dziesięć i więcej werst za stepową antylopą na równinach Amu-Daryi ganiałem, nie, jemu nic się nie stanie. Prawda? Kosiu mój drogi — i pocałował go w czoło potem okryte.

— Cóż my jednak tu sami dalej robić będziemy? przerwałem Enemukowi — naszych ludzi ani śladu, sami nie wiemy gdzie jesteśmy, a tu za kwadrans najdalej słońce zajdzie.

— Także zacheiałeś — odpowiedział — krew, krew, ani jednego konia tam niema, który mógłby z naszymi zajść, widzieli jednak kierunek, w którym pojechaliśmy, to nas znajdą; uf! jak gorąco — dodał, rozpinając mundur — co za upał, choć już wieczór.

— A choć znajdą! podchwyciłem poprzednią kwestyę, jakby naprzekór i w rzeczy samej byłem rozdrażniony i niekontent z przyczyny, że moje charty mydło zjadły — a choć znajdą, to co nam poradzą? noc za pasem, step wkoło głuchy, pewno na werst kilkanaście wkoło niema żadnej osady?

— Ho! ho! od kiedyż to tak zbabiałeś — przerwał śmiejąc się wesoło Enemuk-Hen — wielkie nieszczęście, jakby nam przyszło w czystym stepie przenocować; nie bój się zresztą, Dżordzi lada chwila nadjedzie, on tu zna każdą miedzę, wyszuka nam odpowiedni nocleg.

Dżordzi Tundra był to chłop moldawski, posiadający nad brzegami Dniestru spory szmat ziemi, zamożny — choć zły gospodarz, koźmi tylko handlował i był zapalonym charciarzem, stąd znajomość z nami. Jadąc na myśliwską wyprawę w bessarabskie stepy, wstąpiliśmy do niego na nocleg i zwerbowali z sobą.

Przepowiednie mego towarzysza wkrótce spełniać się zaczęły; za chwilę ukazali się z za pagórka nasi chłopcy, a na ich czele Dżordzi, jechali noga za nogą, konie bowiem pod nimi całodziennym forsownym marszem i polowaniem były bardzo zmachane.

Pierwsze słowa nadjeżdżającego Dżordzi były:

— A kto wziął wilka?

— A któżby? — odparł wesoło Tatar — twoja suka.

— Oj! suka, to suka *domnula*¹⁾ — szeptał rozkoszując się tryumfem swej ulubionej i złażąc z konia głaskał laszącą się i skomlącą charcię — suka to nad sukami — chodź tu — wołał — naści chlebka, naści słoninki, ty nie suka, ty *coconica*²⁾ moja — ja twój *rab*, twój sługa.

— Zostaw Dżordzi te pieszczoty — przemówilem dość opryskliwie — a powiedz mi lepiej, gdzie myśmy się zagnali? co to za równina przed nami? co to za rzeka na prawo? — ot tam daleko, daleko sinieje.

— Taż to Cecorskie pola! — odparł zdziwiony moją nieświadomością Dżordzi — ot tam koło tych kopców, za rzeką Kobolta, mineliśmy *hutara*³⁾ ziemi do *Naduszytej* należącej, a to już Cecorskie, tam prosto przed nami, ot tam hen, hen, hen, szarzeje, ku Prutowi, to wieś Cecoronów, a tam na lewo widnieją pagórki Magora, a znowu całkiem na prawo, nie-dalej jak na dziesięć werst, mamy brzeg Prutu, a nad nim okopy lackie, a bliżej do nas mogiła, wielka mogiła lackiego hetmana.

¹⁾ *Domnula*: panie.

²⁾ *Coconica*: pani.

³⁾ *Hutara*: granica.

— Dobrze! dobrze — przerwałem geograficzny popis
Dżordzi — powiedz nam, gdzie my dziś nocować będziemy? Słońce zachodzi — do jakiej tu wsi najbliżej?

— Do której wsi? — najbliżej do Kirszańskiej *odaji*¹⁾ będzie z osmnaście werst, do Untyn ze dwadzieścia pięć, oh! do wsi daleko.

— Tam do djabła! a gdzieś będziemy nocować?

— Niechże go pan na stepie nie wspomina — odrzekł żegnając się i z przesadnym strachem spoglądając wokół — niech lieho śpi, po co go pod noc budzić, on tu i tak lubi harce wyprawiać — gdzie nam nocować? do wsi nie dojedziemy, noc ciemna z wieczora.

— No a gdzież? tak na stepie?

— Ha! tu nie daleko od lackich okopów, koło samej hetmańskiej mogiły jest *terło*²⁾ bojara Hormudzaki, i jest tam vacar, od was, z lackiego brzegu tu przywędrował, dawno już temu, będzie ze dwadzieścia lat. Dobry człowiek, ma tam ziemiankę i ogień się znajdzie i woda czysta w stawie dla koni, tam możemy przenocować.

— A jak daleko do niego? — pytałem dalej.

— Z pięć werst, mała *bajda*³⁾ może — tu popatrzył na zachód, słońce kryło się już za brudno-czerwonym tumanem — zajedziemy jeszcze przed wielką ciemnicą, zresztą księżyc nie bardzo późno wschodzi.

— To jedźmy! — zakonkludowałem, siadajcie na konia i zwracając się do chłopców, kazałem wziąć psy na smycze i dwójkami za nami ruszać. Dżordzi jechał przodem, wskazując drogę, obok biegła wolno tryumfatorka, kudłata suka. Cała kawalkada ruszyła razem.

Obok mnie jechał Enemuk-Han, milczący już i zadumany, jak zwykle zresztą; chwila upojenia, tryumfem myśliw-

¹⁾ *Odaja*: folwark, dwór i zabudowania gospodarskie.

²⁾ *Terło*: zagroda, gdzie przez lato całe bydło nocuje pod gołym niebem.

³⁾ *Bajda*: miara długości, mniej więcej mila geograficzna.

skim wywołana, minęła; głowę zwiesił i dumał; koń jego, wypawszy się już, szedł rażno i wesoło, wzniósłszy głowę dumnie w górę, rozglądał się po nieznaną mu okolicy.

Tuż poza nami jechał mój Maks, chłopak do usługi i zapalony myśliwy, przy nim dragon, mazur Wicek, ordynans Enemuka; obaj prowadzili charty na smyczach. Za nimi dwóch masztalerzy, każdy z nich miał na powodzie jucznego konia z zapasami podróznymi.

Słońce coraz bardziej chyliło się do zachodu, życia na stepie mało, gdzieniegdzie tylko pomiędzy wysokimi zaroślami na wół wyżętej złotej kukurydzy błyskał promyk świeżo roznieconego ogniska, albo gdzieś tam na stepowych trzęsawiskach pomiędzy gęsto zarosłymi szuwarami i trzcina ukryte stada gęsi wędrownych przeciągłem gęganiem dawały znać o sobie.

Ujechaliśmy z wiorstę; mój towarzysz ani słowem nie przerwał milczenia, miewał on takie chwile głębokiego zamyślenia, tak łatwe do wytłómaczenia zresztą w synu dalekiego Wschodu. Dziwny to był człowiek, ten hański potomek.

Poznałem go rok temu w Kamieńcu, jako majora w 35 pułku dragonów. Odrazu wielki pociąg poczuliśmy do siebie nawzajem, dziś byliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Przyjaźni tej dziwili się wszyscy oficerowie w pułku, z nimi był zawsze dzikim, nieprzystępnym — odludkiem go zwali.

Kniaź Muhamed Dżeofarowicz Enemuk-Han, tak był w księgach wojskowych zapisany, był synem hana niepodległego ongi tatarskiego szczepu, potomkiem władców Złotej Ordy, jak mi sam w chwilach zwierzeń mówił. Plemię pod wodzą jego przodków zostające przez długie dwa wieki, ceniąc wolność i niepodległość przedewszystkiem, usuwało się przed naciskiem rosyjskim w głąb stepów azyatyckich, wreszcie nie było już gdzie się cofać. Po krótkiej lecz zażartej walce, w której dziad Muhameda, ostatni niepodległy han zginął, ojciec Dżeofar musiał uznać zwierzchnictwo Rosyi i złożyć przysięgę wierności cesarzowi Mikołajowi.

Zgnieciony Dżeofar otrzymał od cesarza tytuł dziedzicznego naczelnika starszyzny swego szczepu, rodzina Enemuk-Hanów została wpisana w poczet książąt wszechrosyjskiej imperyi, a w zamian obowiązał się haracz cesarstwu płacić: w czasie pokoju złotem, a w czasie wojny krwią wojowników plemienia; w zamian zabrano mu dwóch synów: starszego Kasimura i młodszego Muhameda do korpusu paziów. Cesarz jest miłościwym monarchą i dba o to, żeby jego poddani stosowne do urodzenia wychowanie odbierali.

Niedługo jednak Dżeofar sprawował urząd z ręki cara mu nadany, dumna dusza nie mogła znieść ciśnienia despotycznej dloni, nie chciała mieszkać w ujarzmionem ciele; tęsknota za wolnością strawiła ją, mgła obłędu zwolniła ją przesłaniała, i Dżeofar, nie dożywszy czterdziestu lat, umarł w oblężeniu. Kasimura na naczelnika plemienia powołano.

Muhamed pozostał w korpusie. Dzielny duch w tem niepozornem ciele mieszkał, oparł się namowom, obietnicom, oparł się przymusowi, pozostał muzułmaninem; karyera wojskowa w szerszem tego słowa znaczeniu została dlań zamknięta. Z korpusu przeniesiono go do liniowego pułku. I dzisiaj trzydziesto już letni potomek władców Wschodu był majorem i nie przagnął awansu.

Od pierwszego naszego spotkania się przyłągnęliśmy do siebie szczerze a serdecznie. Ile razy byłem w mieście, zawsze odwiedzałem go, i on nieraz za kilkudniowym urlopem przyjeżdżał do mnie i miło nam czas schodził.

Przez kilka lat przedtem Muhamed stał z pułkiem w Warszawie, nauczył się tam doskonale mówić po polsku i tłumaczył się naszym językiem poprawniej od niejednego z nas.

Koledzy jego opowiadali, podżartowując sobie zlekka, naturalnie w czasie jego nieobecności, o jakimś silnem uczuciu do złotowłosej warszawianki, o uczuciu odwzajemnianem ponoś, które jednak z powodu różnicy wyznania pomyślnym skutkiem nie zostało uwiecznionem.

On sam kiedyś, będąc w usposobieniu do zwierzeń, wspomnieniami rozmarzony, opowiadał mi dzieje tej miłości czystej a smutnej. Później zdjął z szyi medalion, z epoki odrodzenia, prześlicznie z cyzelowanego złota wykonany i podając mi go, powiedział:

— Patrz, to ona, perła moja, królowa, sultanka mej duszy, a jednak nawet dla niej nie mogłem wyprzeć się mej wiary, wszak potem i ona musiałaby mną pogardzać. — Oczy wznosił w górę i w głębokiej kontemplacyi pograżony, milezał chwilę; po chwili mówił dalej: — Co tam, tu krótką ziemską wędrówka, minie ona, minie rychło, a tam prorok mi ją da, hurysę moją, będzie ona moja! nie pierwsza to z waszego narodu. — Tu zwracając się wprost do mnie, powiedział: — Czy wiesz, że we mnie kropla lackiej krwi płynie?

— Jakim sposobem? spytałem zdziwiony.

— Dawno, dawno, ze dwieście lat temu, jeden z moich przodków posilkował krymskich Girajów w wyprawie do Lechistanu i ztamtąd przywiózł branke, Laskę, i w niej tak się rozmiłował, że sultanką ją uczynił, blaskiem, sławą otoczył i z jej łona cały nasz hański ród idzie; podobność święta niewiasta to była i ponad pleć swą rozumna. Ten medalion, to była jej własność, od wieków w naszym rodzie przechowuje się i mnie go matka na piersi zawiesiła, gdy mnie siedmioletniem dzieckiem do korpusu brali i mam go odtąd zawsze przy sobie, tu na piersi. Patrz, może to jej portret — rzekł, wyjmując z wierzchu miniaturę pięknej blondynki.

Zdziwionym moim oczom ukazał się cudownie piękny miniaturowych rozmiarów obrazek Madonny z dzieciąciem na ręku, róbota zapewne jednego z mistrzów włoskiego odrodzenia. Nie wyprowadzałem go z błędu, nie chcąc osłabiać przywiązania do rodzinnej pamiątki.

— Niech obie razem tam na piersi spoczywają — rzekł, chowając medalion pod zielony mundur, i uśmiechnął się smętnie.

Koń utknął mi w tej chwili i wstrząśnienie tem wywołane przerwało moje myśli, spojrzałem wkoło.

Słońce już zupełnie skryło się i zapanował stan pośredni pomiędzy dniem a nocą; wieczór południowy, krótki, lecz uroczy, jakichś dziwnych blasków, jakichś lubieżnych szeptów przyrody pelen, wieczór w porze winobrania, wieczór orzeźwiający chłodnym podmuchem wietrzyku ciało zwarzone całodziennym upalem. — Na ciemnym tle firmamentu jedna tylko dotąd gwiazda błysnęła, to Wenus ponad mglisty tuman kurzu podniosła się, niby z pian morskich się wynurzała — i płonąła mieniącym się wszystkimi barwami tęczy światłem.

Ożywczę technienie wieczoru i Enemuka z zadumy rozbudziło, popatrzył na mnie i uśmiechając się, zapytał:

— Cóż tak sposepniałeś? — czy tak bardzo wstyd cię, że twoje psiska nie dopisały? Mniejsza o to, za to do zajęcia one pierwsze. — No rozwesel się, dość tej ponurej, mileżącej jazdy, nie na rozbój przecież jedziemy.

— Hej! Wicek — zawołał na ordynansa — zaśpiewaj co bestyo, bo aż dreszcz bierze w tej ciemnicy.

Wiekowi w to graj, poszeptał coś przez chwilę z Marksem — naradzili się, wkrótce ucho rozradowało się nutą starej rycerskiej pieśni. Zaczął śpiewać:

Hej tam na górze jadą rycerze!

jadą rycerze!

Stuku, puku w okieneczko,

Wyjdz! wyjdz! panieneczko,

Koniom wody daj!

Koniom wody daj!

Jeden po drugim po kolei wszyscyśmy zaczęli wtórować i pieśń coraz silniej brzmiała w ciemności i raźniej jakoś zrobiło się na duszy. Konie nawet z większą fantazją stapały,

i wstąpił w nas ten duch, który ożywia tych, którzy ongi w pochodach tę pieśń śpiewali:

Matki się nie bój!
Siadaj na koń mój!
Siadaj na koń mój!

Dźwięczały kuszące końcowe słowa piosnki, a słuchały ich tylko olbrzymie dziewanny i lasy bodiaków.

— Słuchaj Dżordzi! — pytałem Moldawianina — czy daleko jeszcze do tego noclegu?

— Niedaleko już, ot tam koło mogiły ogień widać, to stary vacâr wieczerzę gotuje, za dziesięć minut będziemy koło niego.

Dżordzi prawdę mówił, za kwadrans najdłużej ujrzeliśmy olbrzymią zagrodę, pełną ogromnych, rogatych wołów, obok przed chałupką w ziemi wykopaną, ziemią przykrytą, przed szerokim ogniskiem z łodyg suchej kukurudzy roznieconem, siedział rozrosłej postaci siwo-włosy starzec i dwóch podrostków, pomocników.

Za naszym zbliżeniem się, starzec powstał i dopiero w tej chwili ujrzałem tę postać, malującą się w całej swej groźnej a wspaniałej potędze, na tle jasnego światła, bijącego od ogniska.

Popatrzył z nietajoną niechęcią na mundur i wojskową czapkę Enemuk-Hana i czystym rosyjskim językiem zapytał:

— Czego tu chcecie? droga tędy nie prowadzi.

— Chcemy przenocować starcze! — odpowiedział tym samym językiem Tatar.

— Nocować! nocować! Tu nie ma noclegu, tu nie za-jezdny dom, szukajcie noclegu gdzieindziej, spokojnym ludziom dajcie pokój.

Poznawszy odrazu, że po rosyjsku do celu nie trafimy, wysunąłem się z poza Enemuka i po polsku przemówiłem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem — uchylając czapki.

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedział starzec, a zdziwienie, prawie osłupienie odmalowało się na jego pięknem obliczu.

— Cóż wam zaszkodzi, staruszk, jak my tu przenocujemy koło was?

Starzec stał niemy, zdziwiony, nienaturalnie wyprostowany, a snać słowa jakieś cisnęły mu się na usta, ale uczucia inne w duszy zbudzone, wymówić mu ich nie dozwalały. Po chwili dopiero z obu ocz długo zbierające się pod powiekami łzy trysnęły strumieniami po zaschłych, zmarszczonych policzkach, a usta niezrozumiale prawie szeptały:

— Na wieki wieków, na wieki wieków, amen! amen! O, Boże mój! co to jest? W imię Ojca i Syna i Ducha świętego — mówił, żegnając się — czy to senna mara czy prawda? wy po polsku Boga chwalicie? Wielki Boże! czy to może być? Któż wy jesteście?

— Nie nadzwyczajnego, mój dziadku, zwyczajni myśliwi z polskiego brzegu, polujemy z tej strony kilka dni już, i dziś zapędziliśmy się tak daleko w te stepy; nie mogąc się do żadnej wsi dobić, dowiedzieliśmy się o was i prosimy o gościnność na tę jedrą noc.

— Z całego serca, z całego serca — mówił rozradowany starzec — przepraszam, zrazu omyliłem się i myślałem, że to znowu graniczne kozaki.

My tymczasem, radzi z jakiego takiego przytuliska, pozsiadaliśmy z koni, rozglądając się ciekawie wokoło, choć daleko okiem nie można było sięgnąć, bo noc już zrobiła się ciemna, czarna.

— Przenocować to możecie, ale co ja wam dam zjeść? co wam dam? — biedał stary — panami musicie być, do wygod a pańskiego wezasu przywykliście, co wam taki pustelnik vacar, pastuch dać może? Co jest, musicie przyjąć, i ryba w więcierzu jest, i kawalek baraniego mięsa się znajdzie,

i wino młode, niedawno tłoczone, więcej nie mam, jak mi Bóg miły.

— Ależ i tego zanadto, o ognisko i wodę dla koni nam szło; resztę, co potrzebne, mamy z sobą wszystko.

I z rozkoszą rzuciłem się, jak długi, na wiązkę słomy koło ogniska.

Obok mnie rozłożył się wygodnie Enemuk. Maks przyniósł nam zaraz manierkę z wódką i kawał zimnego mięsa, aby choć w części głód zaspokoić, nim nam co ciepłego przyrządzą.

Stary zwił się rześko, krzątając się w celu przygotowania dla nas przyjęcia. Od czasu do czasu przybiegał do nas, aby jakie słowo usłyszeć.

— Nie dziwiecie się panowie staremu — mówił, mniemając, że staje się natrętnym — nie dziwiecie się, człowiek przez dwadzieścia lat zgórą swojej mowy nie słyszał prawie, to mu się ona zdaje być rajskiem śpiewaniem.

Przypatrzyłem mu się teraz dokładnie: wzrostu był olbrzymiego, potężnej budowy, nad szerokimi, horyzontalnie ustawionymi ramionami, wznosiła się nieduża stosunkowo głowa, okryta białym, śnieżnym prawie, gęstym, długim włosiem; z pod białych krzaczastych brwi błyskała para dużych, podłużnych, siwych oczu, nos niewielki, ale równy i ładnie wykrojony; białe, długie, bujne wąsy dodawały twarzy rycerskiego wyrazu — brodę golil. Odziany był w krótki kożuszek bez rękawów, w białe welniane, dość obeisłe szarawary, a skórzane, rzemykami sznurowane chodaki dopełniały skromnego odzienia.

— Będzie wszystko, wszystko, co się przyrządzić dało, byleście tylko nie byli głodni. Żebym to ja był przeczuł, jakich mi Bóg gości ześle — mówił, przerywając co chwila i lubując się widocznie dźwiękiem swego własnego głosu. — Z głodu jednak i tak niepomrzecie, — i znowu pobiegł w stronę, z kąd dochodziły aż do nas moldawskie słowa rozmowy młodych parobczaków.

Za chwilę usłyszałem znowu głos starego, dochodzący od stawu, teraz brzmiał tryumfująco, radośnie:

— Oto karpie — wołał — na książęcy stół na wigilię można podać, wstydu by nie zrobiły, jakby umyślnie, gości przeczuwając, złapały się, jak raz pańskiej gęby czekały. A no sprawie ich chłopcy — zwrócił się do Wicka i Maksa, którzy do spółki kucharzowali nam w tej wyprawie, i oddawszy im ryby, sam przyszedł i usiadł koło nas. Przypatrywałem mu się uważnie.

W ruchach i słowach tego człowieka było coś niepochwytanego, co jednak zmuszało do przypuszczenia, że on nie całe życie krowy i woły pasał.

W wyrazie twarzy, w tym smutnym a równocześnie rzewnym uśmiechu, w całym wyrazie pięknej twarzy była jakaś dziwna melancholia, jakaś na wszystko zrezygnowana tęsknota duszy silnej, zdrowej a wierzącej, lecz mimo to nieszczęśliwej. Cała postać, mimo wieku wyraźnego, gibka, elastyczna i ruchliwa, zdradzała człowieka, który przeszedłszy przez różne nieszczęścia, boleści, burze moralne, nie złamał się w nich, a żyjąc na łonie natury, zachował czerstwość, siły i zdrowie żelazne.

Rozweselony naszem przybyciem, rozradowany widocznie tem, że słyszy wkoło siebie mowę ojczystą, odżył, twarz mu się rozchmurzyła i zdawał się być młodzieńcem prawie, młodzieńczy ogień mu w oczach płonął, młodzieńczy zapal drżał w głosie, tylko białe jak śnieg włosy wiek podeszły zdradzały.

— Niech pan co mówi — prosił, — zwracając się do mnie. — O! mów pan, mówiąc po polsku, robi pan dobry uczynek — tak jakbyś pan dał najbiedniejszemu żebrakowi jałmużnę hojną — proszę, nie śmiejcie się ze mnie, że ja jak dziecko małe waszemi słowami się bawię — ja tak dawno słów takich nie słyszałem — i może znowu, kto wie, jak długo, do śmierci może nie usłyszę ich już.

Wicek przerwał rzewne słowa starca, odwołując go w celu poradzenia się w jakiejś kulinarnej kwestyi — o wieczerze

chodziło, którą już warzyć zaczęli przy drugim, świeżo roznieconem ognisku.

— Co to może być? co to za starzec? — pytał mnie rozciekawiony Enemuk — to nie chłop, nie pasterz zwyczajny, i postać i mowa zdradzają, że ocierał się gdzieś w życiu pomiędzy oświecańszemi ludźmi.

— Zbieg zapewne z Podola, zbrodniarz może ukrywający się tu w głuchych stepach przed ręką sprawiedliwości — odparłem bezmyślnie prawie.

— On! nie, ręczę ci, że to nie zbrodniarz, uczciwie z uczu mu patrzy, a tak smutnie zarazem. Chciałbym dowiedzieć się o jego przeszłych losach, co go tu w dzikie pola zagnało, zapytać go może?

— Nie wiem, czy zechce opowiadać — odrzekłem, snując sam w wyobraźni historję tego dziwnego starca — zdaje się, że z niedowierzaniem spoglądał na twój mundur; wątpię, by chciał nam opowiadać.

— Ha! przeklęty mundur. Sluchaj, opowiedz mu, kto ja jestem, on tobie zaufa, w tobie poznał odrazu pobratymca. Zresztą człowiek, gdy po latach wielu usłyszy dźwięk ojczystej mowy, to taki chętny do zwierzeń, że duszę radby otworzyć i w niej dać bratu czytać. Boże! czy ja jeszcze kiedy w życiu usłyszę słowo w ojczystym języku? czy jeszcze kiedy przy stepowem ognisku będę się wsłuchiwał w opowiadania, w baśnie czarodziejów?

— Wieczera gotowa! — wołał, przerywając nam rozmowę rozweselony starzec — gotowa! dawajcie ją tu! dla panów w miskach, a wy chłopcy i na deskach możecie zjeść; pieczeń barania na pierwsze danie, po niej ryba odgotowana, na ostatek winograd i wina kto wiele wypije. Co, nie pomiciecie z głodu panowie?

W ślad za starcem ukazał się Wicek, niosąc w ręku olbrzymi udziec barani, cały popiołem gorącym i gliną oblepiony.

— Nie obawiajcie się! to nie, że tak brzydko wygląda, tam pod tą skorupą mięso smaczne, umyślnie glina się oblepia, bo w ogniu spaliloby się mięso na węgiel — i odbiwszy glinianą skorupę, począł krajać.

Zapach świeżo upieczonego mięsa po całodziennem polowaniu i potężnem przegłodzeniu się wydawał się nam rajską wonią, i nie pamiętam, by mi gdzie i kiedy jaka uczta wykwiłta, jaki obiad wystawny tak smakował, jak ta pierwotna wieczerza stepowa, gościnną dłonią na wpeł zdziecałego starca podana.

Prosiłem go, żeby usiadł i jadł z nami, ale odmówił, mówiąc, że jest już po wieczerzy, a pod noc nie zwykł jadać, — usiadł jednak obok nas i powoli, powoli rozmowa się ożywiła.

Ja mu opowiadałem, co zacząłem i co robię na świecie.

— Ojca pańskiego widywałem przed laty — powiedział po chwilowym namyśle, tak, to on musiał być.

— Jakto, znałeś pan mego ojca? — zawołałem zdziwiony i uradowany równocześnie — opowiadaj mi o nim.

— Czyżem powiedział, że go znałem? — odparł powoli i z namysłem — wieluż to ludzi widuje się na świecie, nie znając ich, i ojca pańskiego widywałem, w domu pułkownika Korwina. — Słowa te mówił powoli, z widocznym namysłem, a równocześnie wzrok z wyrazem pytającym przenosił ze mnie na Enemuka.

Zrozumiałem odrazu przyczynę wachania. Opowiedziałem mu w krótkości historję Enemuka i wytłumaczyłem, co go w ten mundur odziało. — Słuchając mego opowiadania, starzec jeszcze bardziej się ożywił, odetchnął swobodniej, jakby mu ciężar jaki spadł z piersi.

— To dlatego książę pan wina nie pije! — przemówił swobodnym, żartobliwym tonem — może i dobrze wasz prorok postanowił, że tego trunku zabronił, nam wiele on złego zrobił.

Wieczerza kończyła się. Posileni mięsem i rybą, rozkoszowaliśmy się doskonałym winogradem. Ognisko niepodniecane

tlalo blade, ale za to na wschodzie czerwienilo się niebo krwawo, za chwilę purpurowy, stepowy księżyc się ukaże.

— Starcze! — przemówił nagle Enemuk — nam zaufać możesz, nie zdradzimy cię pewno; spać mi się nie chce, a lubię słuchać starych dziejów przy blasku stepowego ogniska, ojczyznę mi to moją przypomina i dnie dzieciństwa. Tyś zapewne nie zawsze krowy pasai, poznaliśmy to odrazu. Prosimy, opowiedz nam koleje twego życia, opowiedz: co cię tu na step zagnało?

— Pragniesz książę moje dzieje usłyszeć? Ha! nie ciekawego, nie ciekawego; zobaczysz trochę biedy, trochę nędzy, wiele nieszczęścia i boleści, ot i wszystko; zwykle to w naszej ojczyźnie sprawy. Jeżeli taka woła waszej książęcej mości, to opowiem; obawiać się mogłem, wstydzić się nie mam przyczyny. Poczekajcie panowie — przerwał, powstając — zobacze, co wasi ludzie robią? czy najedli się do woli? dam siana dla koni i pokażę, gdzie mają je na nocleg przywiązać, a wróciwszy, jeżeli słuchać zechcecie, to i owszem, opowiem; komuż opowiadać będę? wnuków nie mam, oh! nie mam.

Starca dość długo nie było, tylko głos jego słyszeliśmy, jak wskazywał chłopcom ślupy, do których mieli wiązać konie.

Księżyc tymczasem wylaniał się powoli z zarumienionych oparów Prutowych i wznosił się poważnie na ciemnoszafirowem tle południowego nieba, wznosił się straszny jakiś, krwawo-czerwony, suchym, ponurym blaskiem świecący, jak kula ognista zawisł nad głuchym, niemym stepem.

Stary wrócił wreszcie.

Usiadł obok nas, milezał chwilę, niby namyślając się, w końcu przemówił:

— Pragniecie panowie, żebym wam opowiedział, czym na świecie przedtem byłem? co mnie w stepy na pastucha bydła zagnało? Zawiedziecie się, myśląc, że to jakaś nadzwyczajna historia; nie, nie, to zwykle dzieje.

Tu zamyślił się głęboko, czoło na dłoni oparł i westchnął ciężko.

— Nazywam się Peretyatkowicz — mówił po chwili, podnosząc głowę i patrząc na nas — słuch i gawęda taka u nas w rodzinie była, że przodkowie nasi ponoś kniaziami na Rusi bywali, ale to musiało być bardzo, bardzo dawno, później zbiednieli zupełnie, ziemi swojej nie mieli i po służbach u wielkich panów chodzili.

Mój ojciec służył u pułkownika Korwina, był marszałkiem dworu, a choć to służba była, ale tak jak nie służba, lubili się starzy jak bracia. Stary Jakób był ważną osobą u pułkownika, całą bowiem młodość razem na wojnach dalekich spędzili, a jak zaczęli sobie przypominać dawne wojskowe zdarzenia, to końca tym opowiadaniom nie było.

Ojciec miał mnie jednego i pan pułkownik miał jednego tyłko syna, pana Karola, późno się obaj poženili.

Z panem Karolem od dziecka rośliśmy razem, w rygorze wielkim trzymani; uczył nas pan Kiersza łaciny, arytmetyki, historyi. Do pana Karola był jeszcze Francuz, ale mnie nie pozwolił pan pułkownik po francuzku uczyć, nie bardzom na to narzekał. Uczyliśmy się wspólnie, dopóki pan Karol nie skończył szesnastu lat, potem wyprawił go pan pułkownik do Krakowa do akademii, a później do cudzych krajów za granicę, zwyczajnie jak wielkiego pana, żeby się w świecie ocierał, a mnie poduczonego trochę oddano do gospodarstwa.

Lata płynęły, a pan pułkownik jak stanął na miejscu, tak na włos się nie posunął, zawsze taki sam wyprostowany, surowy, pracy wymagał od siebie i od drugich; zaspać gruszek w popiele przy nim nie można było, pracować trzeba było ciężko, ale praca dokuczliwą nie była, bo ład panował wojskowy, wszystko szło jak z płatka, a wszystko robiło się rozumem i wolą starego pana.

Po latach dziesięciu różnych nauk i wojażów, pan Karol do domu powrócił. Oddał mu ojciec jeden folwark i tak go pułkownik z moim ojcem doglądali, jak mnie w początkach.

Ja już wówczas byłem żonatym od lat kilku i miał mnie pan pułkownik przy sobie; z rozporządzenia jego dozorowałem

wszystkie folwarki — kontrolorem mię zwano. — Życie szło spokojnie i wygodnie, dostatek miałem, żonę poczciwą i kilkoletnią jedyną córeczkę — Hania się nazywała, więcej dzieci Bóg nie dał.

Przerwał stary na chwilę, bolesne snąc wspomnienia głos mu zatamowały, łzy do oczu cisnęły, bo milcząc przez chwilę, twarz od nas odwrócił i ręką nieznacznie łzę z powieki otarł.

— Hania ją nazywali, — ale mniejsza z tem — ciągnął dalej — nie o to chodzi. Jakoś czwartego roku, po powrocie do domu, gdy mu już trzydziesty rok dochodził — pan Karol się ożenił.

Po żonę aż do Wielkopolski jeździł. — Ponoś upatrzył ją sobie w czasie swojej wędrówki po świecie, gdy dzieckiem jeszcze była, — doczekał aż dorosła i po nią wrócił.

Pan pułkownik, choć nie mówił, bo chwalić nie lubił, ale kontent widocznie z synowej był — wąs tylko siwy gładził. Na przenosiny sprosił panów z trzech gubernij i nam oficyalistom z tego powodu niejedno się dostało ... podarunki od pana i pani.

Młoda pani wszystkich odrazu za serce chwyciła, anielskiej bo dobroci była, i wszyscy, w całych rozległych dobrach, oficyaliści, służba i szlachta czynszowa — chłopci nawet byliby za nią w ogień poszli. — Z wielkiej ponoś hrabskiej familii była, a mimo tego taka przystępna, że male nawet chłopskie dziecko do niej bez bojaźni się zbliżało.

W okolicy pomiędzy drobniejszymi panami szeptano sobie cichaczem, że choć to hrabianka, ale pan Karol za żoną nic nie wziął oprócz wyprawy; ale ta była co się zowie pańska i aż do Lwowa posyłaliśmy furmanki po nią. Co nam tam był majątek, my oficyaliści śmiałyśmy się z tego gadania, co dla pana Karola znaczył majątek? Jedynak u pułkownika, a pan pułkownik był najbogatszym panem w całym kraju — dobytek rósł jak na drożdżach, co roku nowe dobra kupował, a stad koni, bydła, owiec, na krocieby narachował.

Bóg we wszystkim błogosławił; nim rok od ślubu minął, powiła pani synka, którego na cześć pułkownika Stanisławem nazwano.

Lata płynęły szczęśliwie. Mnie Bóg więcej dzieci nie dał, tylko Hania jedynaczka zdrowo rosła, dziewczyna nad wiek się rozwijała; w pałacu za to co rok to prorok... po Stasiu rok po roku porodziły się dwie panienki Jadwinia i Henrysia, i znowu...

Tymczasem na szerokim świecie źle się dziać poczynąło.

Straszne nas wieści dochodziły, chłopstwo po całej imperyi buntować się zaczynało, nie stało żelaznej ręki cesarza Mikołaja, o zniesieniu pańszczyzny głośno mówiono.

Między nami oficjalistami zagotowało się na te wieści; zdawało się nam, że to będzie już koniec świata; jak tu będzie można gospodarować bez pańszczyznianej robocizny? kto pola obrobi?

Doszła do pana pułkownika wiadomość o naszym oburzeniu, zwołał nas wszystkich i powiedział, że to będzie sprawiedliwej i lepiej i wygodniej nawet dla dworu, zapłacić robotnikowi co on sobie zarobi, niż być ciągle jego opiekunem, myśleć o nim jak o małoletnim, podatki za niego płacić, o chudobie pamiętać.

— Niech i oni będą już ludźmi samoistnymi — mówił pułkownik — niech myślą o sobie.

Panu uwierzyliśmy wszyscy, tak nam jasno to wytłumaczył. Zresztą u nas ubytek pańszczyzny niczem straszem nie groził, oddawna już ciągłej robocizny chłopskiej nie używaliśmy, chyba na dostawy zboża; w polu robiło się wszystko dworskim sprzężajem, tylko pieszego robotnika mieliśmy pańszczyznianego a i tego nie wystarczało, do buraków i w żniwa musieliśmy donajmywać.

Pan Karol i w tym czasie dużo jeździł, czasem całemi tygodniami w domu go nie było, a pani sama smutna siedziała, aż pułkownika to gniewało.

Bywało, jak z takiej przejażdżki powróci, to zaraz do niego biegnie ksiądz Konstanty, Kapucyn, nasz kapelan i tam czasem całemi godzinami coś szepeczą, nad czemś się naradzają.

Pewnego wieczora saniami z Kowalówki nadjechał jakiś nieznajomy pan, młody człowiek. Długo z panem Karolem w nocy rozmawiał i przed świtem jeszcze stajennemi końmi odwiózł go Dynyś do Zahajpola.

Rano pani wyszła zapłakana, a pan Karol to bladł, to czerwieniał, trząśł się cały i tylko pięści zaciskał.

Tego dnia koło południa przyszedłem do niego z zapytaniem: wiele z młodych koni i jakiej maści zostawić dla pani do cugu?

— A daj mi też pokój z twemi końmi — odparł opryskliwie, choć nie zwykł był tak mówić — jak ci się podoba, komu tam teraz konie do cugu w głowie? Wiesz, co się w Warszawie dzieje?

— Nie wiem! — odpowiedziałem.

— Do ludu, do ludu bezbronnego, do ludu modlącego się strzelali, krew, krew, rzeki krwi popłynęły. Boże! Boże! i Ty nam to znosić każesz, kiedyż godzina pomsty przyjdzie?

Ksiądz Konstantego od rana we dworze nie było, jeszcze na dodniówkę wyjechał i tego dnia objechał całe dobra i okolice, był u wszystkich oficyalistów, u obywateli sąsiednich, u szlachty czynszowej.

Pan Karol kazał wyrąbać w lesie dęba olbrzymiego i tego samego dnia jeszcze krzyż z niego wyciosać i na cmentarz zwieźć; nim słońce zaszło, krzyż już leżał na cmentarzu.

Na drugi dzień od rana, niby na odpust jaki, ściągnął się naród do Korwinowa i karetami, i saniami, i konno, i pieszo, jak kto mógł, a cały cmentarz zajęli, szpilki nie było gdzie wetknąć.

O dziewiątej godzinie ksiądz Konstanty w żałobnym ornacie ze mszą wyszedł; chociaż nikt głośno nie mówił, naród wiedział cały, za czyjeto dusze msza.

Przez całą mszę cisza była głucha, choć makiem siać.

Dopiero przy egzekwiach pani Karolowa pierwsza wybuchnęła płaczem wielkim, przede drzwiami kaplicy na śniegu uklekała i lkała, że aż serce krajało się słuchać, a za nią tłum cały, i panowie, i szlachta, i chłopci, kto żył to zawodził; nawet księdzu przed katafalkiem lzy gradem z oczu pocięły.

Po egzekwiach zakopaliśmy przygotowany dębowy krzyż, ksiądz poświęcił, i znowu tłum cały klęczał i bił się w piersi, i modlił się gorąco, choć nie wiedział dobrze, za co się modli i o co Boga błaga.

Nagle, dotąd nie wiadomo, kto zaczął, ale ktoś w tłumie zaintonował pieśń, którą tego dnia po raz pierwszy w życiu słyszałem; za tym pierwszym głosem cały tłum poszedł, i za chwilę wszyscyśmy śpiewali:

»Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej....«

— O, panie! długie lata upłynęły, a ja tej chwili nie zapomnę, pókim żyw. Pieśń ta odrazu była wszędzie, i nad nami i pod nami i w nas samych; ogień jakiś w krew nam wlała, żaru pod serce nasypała, krew wzburzona do głowy buchnęła i żądę zemsty zrodziła, zrodziła żądę krwi wroga, paznogciami, zębami bylibyśmy go szarpali, krew jego pili, a takiego z naszych, coby nas wstrzymywał, mianem zdrajcy byśmy zhańbili; nie, to była pieśń straszna, dziś to widzę pieśń nie chrześcijańska, zemsty, krwi i ognia żądna.

Od tego nabożeństwa rozpoczęło się inne życie w okolicy. Nastalo jakieś nieme porozumienie; bez słów rozumieli się wszyscy doskonale, każdy wiedział już, do czego to zmierza.

Ksiądz bez ustanku tylko jeździł, ludzi jakichś nieznanych to przywoził, to odwoził; paki, nieraz bardzo duże i ciężkie, nocą zwożono i skrywano tak, że nawet nikt z naszych nie wiedział, co zawierały i gdzie były ukryte.

Głucho, a coraz straszniejsze wieści pomiędzy nami chodziły: że w Warszawie rzeznie, że brankę urządzili, że już się bronią, że powstanie wybuchło i Langiewicz jest naczelnym wodzem. Czas uchodził, czekaliśmy niecierpliwie, p. Karol najbardziej, gorączka go trawiła, posmutniał, wychudł i zgorzkniał.

Jesień nadeszła, a u nas cicho.

Pamiętam, pod koniec września, czekałem w pierwszym pokoju obok kancelaryi pana pułkownika na jutrzejsze dyspozycje; wieczór już był późny, gdy nagle wszedł pan Karol, był rozgorączkowany i wzburzony, w rękę trzymał jakiś cienki, zmięty papierek. Wstałem, gdy wszedł.

— Zostań tu! — powiedział, patrząc mi badawczo w oczy — za chwilę będziesz mi potrzebnym.

I po tych słowach wszedł do kancelaryi, nie zamykając drzwi za sobą, tak, że wszystko widziałem i słyszałem, co tam się działo.

Gdy pan Karol wszedł, taki wzburzony cały, pułkownik wstał od sekretarzyka i popatrzył nań długo, przeciągle, tak, jak tylko on patrzeć umiał, iż zdawało się, że do dna duszy dojrzy.

— Co ci to dziś Karolu! — zapytał troskliwie, ale uśmiech nieznaczny a smutny zdradzał, że on już wiedział i tylko pragnął, żeby syn pierwszy rozpoczął zwierzenie, — czyś chory? masz gorączkę, co ci jest?

— Ha! co mi jest? co mi jest? — zawołał gwałtownie, rzucając przed ojcem na sekretarzyk trzymany w rękę papierek, — niech ojciec czyta, hańba i wstyd nam! komitet wykonawczy piętnuje nas za tchórzostwo, za brak patryotyzmu, za to, że gdy cały naród się bije za wolność i wiare, my wówczas za piecem siedzimy — nie! nie! ja dłużej nie wytrzymam.

— Hola! poczekaj! powoli! — przerwał mu surowo ojciec — powiadasz, że komitet piętnuje nas, za tchórzostwo, komitet? co to za komitet?

— No! nasi, komitet wykonawczy naszego województwa.

— A ktoś ten komitet naznaczał, czy wybierał? z jakich ludzi on się składa? wiesz ty, co to za jedni?

— A cóż mię to obchodzić może? wiem, że patryoci — o więcej nie pytam.

— Ah! a... a... ja wiem, i tobie powiem — mówił starzec powoli, dobitnie, słowo po słowie — bo każdy człowiek,

nim czyich rozkazów słuchać zacznie, nim się przewodnictwu podda, powinien wiedzieć, kto je sprawuje, i ja wiem, kto składa nasz komitet, choć nie wiem, z kąd on się wziął. — I zaczął po kolei wymieniać nazwiska różnych znajomych ludzi, przechodząc każdego z nich czyny i charakter. — Nie, nie, Karolu, — zakończył ten smutny przegląd — wyście chyba poszaleli!

— Ojcie! ojcie! — zawołał pan Karol z boleścią — po co te perswazyje? po co to wszystko! ja ojca nie rozumiem, dziś gdy cały naród krew za wolność, za niepodległość, za wiarę przelewa, wówczas my ...

— Przestań! przestań! — krzyknął już zapalając się starzec — przestań! nie bluźń! cały naród... ha! ha!.. cały naród... kto? tam w Warszawie zerwała się garstka półgłówków, wielkimi frazesami miotająca, a tu stek lekkomyślnych naśladowuje ich; słów wielkich nie kalajecie, ojczyzna, wolność, nie nadużywajecie, nie róbcie z nich sztandaru do szalonej roboty, bo Bóg was skarze.

— Ależ duchowieństwo ojcie z nami — wołał syn — duchowieństwo naród, lud cały prowadzi, duchowieństwo ma instrukcje z góry, cały katolicki świat nam sprzyja — ksiądz Konstanty mówi...

— A dajże mi pokój z podobnemi blażeństwami — przerwał gniewnie pułkownik — koniec świata! koniec świata! wiarę świętą na płaszczyk do spisków rewolucyjnych użyliście, religią, obrzędami świętymi okrywacie się, i tym pozorem maluczkich nieświadomych za sobą ciągniecie. Ksiądz Konstanty — znam ja już robotę tego mnicha, stary Jakób mi wszystko powiedział; gdzież on jest, ten ksiądz, wołać mi zaraz księdza kapelana.

Wybiegłem przywołać Kapucyna; niedługo szukać go potrzebowałem. Przechadzał się wzdłuż dziedzińca, spoglądając w okna mieszkania pana pułkownika. Zdawał się oczekiwać powrotu pana Karola; powiedziałem mu, że pan go wzywa do siebie.

Poszedł i on do kancelaryi, a ja znowu w antykamerze zostałem. Ksiądz, wchodząc, nisko sklonił się przed panem i stanął wyprostowany, patrząc mu śmiało w oczy.

— Księżę! czy to prawda? — zawołał, zwracając się doń pułkownik — czy to prawda? że ty sługa Boży, sługa ołtarza, pomiędzy moimi oficyalistami, między szlachtą czynszową rewolucyjną propagandę szerzysz, do powstania ich nakłaniasz?

— Prawda! — odrzekł ksiądz śmiało, nie spuszczać oczu.

— Ah! księżę, co mówisz? czyż to twoja rola? czyż to rola przewodnika duchownego, pasterza, sługi Boga prowadzić lud do krwi rozlewu, do mordu, do pożogi... Księżę, to nie Chrystusowa droga!

— Przebrała się miarka nieprawości — odpowiedział uroczyście ksiądz — wypełniła się cierpliwość Pańska, dzień sądu nadechodzi — mówił coraz donośniej — zsyła Pan ogień i miecz na niepoprawne grzeszniki, a my najędźniejsi słudzy Jego za narzędzia Mu służyć będziemy! nie my, a On zwycięży, naszymi słabymi dłońmi.

— Księżę! księżę! co ci jest? — wołał starzec zaperzony cały i gniewem już buchający — hej! zły duch cię chyba opętał; każ się egzorcyzmować! ty bluźnisz! co wam wszystkim się stało? jam w stu bitwach był, wiem co wojna. Z czem pójdziecie? bez broni, bez wodzów, z czem, z kijami?

— Z krzyżem świętym i z wiarą w sercu.

— Ależ nie pleć mi bzdurstw, których aż wstrętnie słuchać; tego rodzaju nadużywanie ufności w łaskę Boską grzechem śmiertelnym jest, a ty grzech ten na siebie bierzesz, a tych półglówków powieszysz na rzeź, na jatki, na śmierć pewną. Księżę opamiętaj się! odwołaj swe słowa, nakłoń ich do rozsądku.

— Nie w mojej to mocy. Pan tak rozkazuje, a myśniny tylko ślepem narzędziem w Jego dloni, narzędziem do złamania potęgi i pychy szatana.

— Ojcie! ojcie! — przemówił nagle błagalnym głosem pan Karol — a ty, coś całe życie robił? czyś krwi swej, mienia, życia nie niósł zagrożonej ojczyźnie? czyś nie chwycił się najslabszego cienia prawdopodobieństwa? nie gniewaj się! zrozum mnie, nas, pobłogosław lepiej — tu padł przed nim na kolana — pobłogosław! my jutro już wychodzimy.

Na te słowa starzec skamieniał, twarz mu dziwnie zbladła, usta drżały, po chwili dopiero zdołał złamanym głosem przemówić:

— Synu! jeżeli rad doświadczonych, jeżeli rozkazów ojca nie słuchasz, to usłuchaj prośby, błagania starca. Życie na walkach beznadziejnych, na konspiracyach, na spiskach strawiłem. Nieraz dusza się wzdrygała, a lażem w to błoto, sądząc, że tą ofiarą do zbawienia, do wskrzeszenia naszej świętej przyczynię się. Po ostatnim nadludzkim a bezmyślnym wysiłku przejrzelśmy, zrozumieliśmy, że takie szarpanie się do niczego nas nie doprowadzi; praca tylko wytrwała, ład i porządek mogą nam kiedyś z czasem dać zwycięstwo, i pracowaliśmy w czoła pocie przez lat trzydzieści, na to, żebyście wy, nasi synowie, w kilka dni zmarnowali wszystko. Ha! straszliwie nas Bóg za nasze dawne grzechy karze, karze naszą własną dłonią, dłonią synów własnych. Więc znowu pożogi, knut i szubienica, więc znowu Sybir i katorga, więc znowu mord i niewinnej krwi rozlanie. Księżę! księżę! pokarże Bóg i Kościół ten swój, i tych sług swoich, bo od prawdziwej służby odstąpili i zakon zaniedbali, i trawą zarosną ścieżki do domów Bożych, i znowu ołtarze zostaną bez sług, bo wyście zapomnieli o nich i zajęli się sprawami światowemi, szatan pychy, żądza władania w was osiadła. Biada! wam biada! biada! nam z wami.

Tyś Karolu pełnoletni — kończył zwracając się do syna, a siłą woli tłumił tak wzruszenie, że tylko po drżeniu głosu ja je odczuwałem — ja proszę, błagam, radzę, nie idź — zrób jak osądzisz.

— Ojcie! ojcie! pobłogosław, muszę! muszę!

Ha! niech ci Bóg przebacza i dopomaga. —

Odwrócił się i wyszedł do drugiego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

Za chwilę, pan Karol skinąwszy na mnie, wyszedł zaraz z księdzem na dziedziniec.

— Wielu jest gotowych? — pytał patrząc na mnie, a ja odrazu zrozumiałem zapytanie, choć nigdy przedtem słowa o tem nie mówiliśmy — wielu jutro w nocy może wyjść ze mną?

— Sześćdziesięciu mniej więcej, broń, konie i ludzie gotowi na każde skinienie, czekają niecierpliwie.

— Więc jutro o jedenastej w nocy w Czarnym lesie przy Jastrzębim brodzie, niech wszyscy będą! ztamtąd ruszymy — i poszedł do żony i dzieci.

Następny dzień całe rozległe dobra w gorączce przeżyły, choć głośno nie mówiło się o tem i wszystko w głębokiej tajemnicy robiono, mimo tego cały świat już wiedział, że w nocy ruszamy.

Kobiety zamężne szlochały jawnie, dziewczęta popłakiwały skrycie, ten i ów się żegnał, na wieki!

Fantazya jednak była dobra, ksiądz wiarę głęboką wlał w powodzenie sprawy, wlał w nas wszystkich. O dziesiątej w nocy wszyscyśmy już byli na wyznaczonem miejscu, ostatni przyjechał wózkiem pan Karol, żona do lasu go odprowadziła, przodem przyprowadzono jego konia, skarogniadego Osmana.

Pani na kraju lasu pozostała, on pieszo sam przyszedł, milcząco szeregi zlustrował, ksiądz modlitwę odmówił, chorągiew przez panią wyhaftowaną poświęcił, i ruszyliśmy.

Noc jesienna taka jasna była, jak dzisiaj, lekki wschodni wietrzyk schnącym liściem szeleścił, konie wesoło prychały, i otucha jakaś w sercu rosła; nie wiedzieliśmy ślepi, że na śmierć pewną, na niewolę, nie na tryumfy spieszymy.

Z początku szło nam niezłe, nikt się nie spodziewał zbrojnego ruchu w naszej okolicy, rząd nie był na to przygotowanym. W lasy wielkie weszliśmy, po drodze kilka nieuprzedzonych o nas posterunków kozackich rozbili, jednego łotra

stanowego i dwóch szpiegów powiesili. Nawet za Latyczowem większy transport wojskowy i kasa pułkowa w nasze ręce wpadły.

Po tym ostatnim tryumfie szczęście się zmieniło, widać dowiedzieli się o nas dokładnie, bo ścigać nas poczęto. W dodatku słoty jesienne rozpoczęły się, lalo jak z wiadra dzień i noc; odzież, buty gnily na człowieku, ludzie na febry zapadali, a na koniach z trudu, głodu i chłodu sierść najężyła się i gruda rzucać się zaczęła.

Z drugiej strony jednak, codziennie po kilku uzbrojonych ochotników przybywało. Rozgłos o naszym oddziale poszedł, więc wrywali się tu i ówdzie co gorętsi i spieszyli łączyć się z nami; do czterech tygodni oddział urósł do stu koni, tylko piechoty nie mieliśmy zupełnie.

Pan Karol, którego teraz naczelnikiem nazywaliśmy, prowadził nas ostrożnie i rozważnie, kierując się na północ do Bugu, by tam z większymi oddziałami połączyć się.

Pomimo słoty i chorób, udało się nam dość szczęśliwie obejść Stary Konstantynów; weszliśmy w olbrzymie szpilkowe lasy do Szepetówki, należycie i tam ślady za sobą na jakiś czas zatarliśmy, dni kilka wypoczęliśmy.

Po połowie października ruszyliśmy dalej ku zachodowi, starając się obejść Równo. Kozacy już nam na karku siedzieli, ale w lasach dojść nas nie mogli, miejsca na bitwę nie było.

Chwili wytchnienia jednak nam już nie dawali, krok w krok śledzili za nami, a przez pobereźników i leśniczych książeńcych dochodziły nas słuchy, że i piechota za nami ciągnie.

Pięć długich dni trwała ta gonitwa, to wielkie polowanie na nas, aż szóstego dnia lasy skończyły się. Nad wieczorem stanęliśmy na skraju, a okiem można było dojrzeć placówki kozackie, tu i ówdzie strzelaliśmy do siebie, ale bez szkody. Nie atakowali nas jednak, zdaje się, że mieli nadzieję, że gdy osaczą nas na wszystkie strony — poddamy się bez oporu.

W rzeczy samej położenie było straszne, bez wyjścia prawie. Zajmowaliśmy nieduży, kilkusetmorgowy brzozowy lassek, stojący na skraju niezmiernych sosnowych borów, zajętych już zupełnie przez ścigającego nas nieprzyjaciela; cofać się z powrotem w lasy, było już niemożliwem. Przed nami, w odległości trzech wiorst może, widniała w dole wioska, a do niej pas czarniawo piaszczystej roli, coraz bardziej ku wsi zwiężający się; z jednej strony tej roli rozstaczały się bagna nieprzebyte, po drugiej stronie niedostępne dla koni gliniaste urwiska. Ze stanowiska przez nas zajmowanego tylko tym paskiem ziemi, przez tę wieś mogliśmy się z osaczenia wydobyć.

Krótki dzień październikowy miał się już ku końcowi. Przed samym zachodem słońce, cały dzień ukryte za szaremi, ołowianymi chmurami, błysnęło na chwilę jasno, jakby nas pożegnać chciało.

Oddział rozłożył się na nocleg. Naczelnik, skinąwszy na księdza i na mnie, obchodził warty, wokół obozu rozstawione.

Od borów sosnowych dochodził do naszych uszów odgłos gwarów biwakowych; ognie w różnych, dość oddalonych od siebie miejscach płonęły.

Gdyśmy się zwrócili w stronę północną, ku wsi, pan Karol stanął, rozglądając się po okolicy, położenie i teren pilnie badając. Droga była jeszcze wolna, ale oddział znużony kroku dalej nie mógł zrobić.

Wkrótce jednak na krętej drożynie, która z gliniastych urwisk, aż do wsi dochodzących, na równinę prowadziła, ukazywali się jeźdźcy, dwójkami stępo idący; spisy jasno w blasku zachodzącego słońca migotały — poznaliśmy odrazu, to kozacy drogę do wsi nam przecinali.

Staliśmy, patrząc w milczeniu; widać ich było, jak na dłoni; do wsi nie wchodzili, lecz koło wrót skręcili na lewo i na równinie między wsią a brzezina na nocleg się rozłożyli; dwie sotnie ich było.

Stało się, zostaliśmy obsaczeni i zamknięci.

Ksiądz stał blady i milezący, naczelnik zaś nie tracił fantazyi, podkręcając węża, rzekł prawie wesoło:

— Chwała Bogu, że to kozacy i tylko dwie sotnie, nauczymy my ich dodnia, jak to gwizdać po kościele i tak dawno już bitwyśmy nie mieli; nabierze oddział i koni świeżych i broni.

Ksiądz stał ciągle jak wryty na miejscu, wpatrzony w kozactwo, które rozkładało się szerokim taborem, na pikietę podsuniętą ku nam nie dalej jak na wiorstę.

Nagle dreszcz go jakiś przeszedł, wstrząsnął się cały i zwracając się do naczelnika, do nóg mu się rzucił, lkając głośno.

— Zgrzeszyłem panie! — wołał szlochając. — O! Boże! stary pan miał rację, śmierć, śmierć tylu ludzi, tylu wiernych katolików. O! panie, jeszcze czas, nie gub niewinnych, poddaj się! jeszcze czas, nim krew popłynie.

— Co? co? księżu! ja mam się poddać? ja mam się poddawać dziś, w przededniu pewnego zwycięstwa? nie twoja rzecz wojna.

— Panie! poddajmy się, śmierć widzę dla wszystkich, krew, krew, kaluże, strumienie, rzeki całe krwi. I to ja zrobiłem i na mnie, na moje sumienie, na moją duszę krew ta spadnie, — i bił czołem o rozmokłą ziemię i wołał głosem strasznej boleści — ja niegodny sługa Pański, ja pasterz zły i niedbały. O! Boże, Boże miłosierdzia wielkiego, przebacz nędznemu robakowi, który w pysze srogiej zapragnął Twoje czyny prostować, za Twoje krzywdy pomstę brać.

Nagle przerwał, powstał, twarz jego przyoblekła się dawną surową powagą i groźnie prawie zawołał:

— Panie naczelniku, chrześcianinem jesteś, nie masz prawa dusz ludzkich gubić, nie masz prawa wieść bliźnich na śmierć pewną, nie masz prawa kusić miłosierdzia Bożego, ja kapłan, ja sługa Pański rozkazuję ci: poddaj się!

— Daj mi księżu pokój z takim kazaniem! — wybuchnął gniewnie pan Karol — jeżeli się boisz śmierci, to

wymknij się w nocy z obozu, lepiej zrobisz, niż gdy będziesz tu psuł ducha, wojna snać nie twoja rzecz, wracaj do bre-wiarza!

Ksiądz zarumienił się gwałtownie na słowa naczelnika, krew strumieniami do głowy mu uderzyła, chwil kilka nie mógł przemówić, język w ustach strętwiał mu — wreszcie opanował wzruszenie.

— Ha! swoje zrobiłem — mówił pokornie już teraz — swoje zrobiłem, prosiłem, błagałem, niech się dzieje wola Boska, nie moja tu władza stanowi, a wasza panie naczelniku, idę ludzi na śmierć dysponować, a jutro przekonacie się, czy zginąć potrafię? — i odszedł w stronę obozu.

— Może ksiądz ma rację — przemówił po chwili smutnie naczelnik — ale żebym śmierć pewną widział, to nie poddam się, hańby nie wezmę na siebie, zawsze na śmierć trzeba być przygotowanym, — tu wyjął z kieszeni pugilares i z niego powydobywał jakieś papiery i przyłożywszy zapalną podpalil — no teraz — mówił — choć znajdą trupa, nie dojdą kto ja taki, żonie i dzieciom dadzą spokój.

— Janie! Janie — szepnął po chwili głębokiej zadumy — ja zginę, ty wyjdiesz żywy, słuchaj! masz tu dwa pierścionki, ślubny i zaręczynowy, oddaj je pani i powiedz, że o niej, w ostatniej godzinie myślałem, że z jej imieniem na ustach umarłem.

— Co też pan dziś wygaduje? — odparłem opryskliwie, a dziwny smutek w duszy uczułem i przeczuwałem, że on przyszłość odgadywał — kto wie kto z kraju? — mówiłem, pocieszając go — komu pierwszej sądzono?

Nie słuchając mojej mowy, zwrócił się naczelnik i szedł do środka obozu, ja szedłem za nim; gdyśmy stanęli w samym środku, naczelnik zwołał wszystkich koło siebie i donośnym, uroczystym głosem przemówił:

— Bracia! jutro bitwa, uniknąć jej nie możemy, poddawać się ja nie myślę, nie umiem, zresztą mam wszelką nadzieję zwycięstwa, tylko dwie sotnie kozaków mamy przed

sobą. Mówię wam otwarcie, aby każdy wedle swej woli z Bogiem się pojednał, nikt nie może wiedzieć, kiedy jego godzina wybije? kto bitwy się lęka — dodał po chwilowym przestanku, — niech z otaczających lasów korzysta i ucieczką się ratuje. Teraz rozejdźcie się, każdy na swoje stanowisko.

Zostali tylko we dwóch z księdzem. Zdaleka widziałem, jak obok księdza ukląkł, pierwszy się spowiadał i bił w piersi, po nim cały oddział po kolei do spowiedzi przystępował.

Noc była ciemna, straszna i ponura. Księżyc wówczas na nowiu wczesnie się skrył, chmury czarne, ciężkie świat przysłoniły, deszcz drobny, gęsty siekł bez przestanku. W obozie cisza była jak makiem siał, każdy robił rachunek sumienia i po kolei do spowiedzi szli.

O czwartej zrana, przy blasku czterech smolnych kagańców, ksiądz mszę świętą odprawił. Oddział klęcząc na mokrem liściu, pochyliwszy nisko czoła, gdy ksiądz przy podniesieniu wznosił oczy w górę — to zdawał mi się być istotą nie z tego świata; w tem migotliwym czerwonym świetle płonących kagańców, wyglądał tak, jak ci przez malarzy na obrazach przedstawiani święci męczennicy, na stosach płonący.

Po mszy świętej przystąpił oddział do komunii, biła się wiara w piersi, niejedno ciężkie westchnienie z piersi się wy dobyło, bo choć młodzi i zdrowi, niejednemu jednak pośród nas przecucie mówiło, że ta komunია, to już wijatyk na drogę do lepszego świata.

Gdy ostatni z nas przyjął Ciało i Krew Pańską, ksiądz odmówił litanie do Najświętszej Panny, a potem zaintonował pieśń, nie tamtą, co to krew w żyłach w nas na płomień zmienia, ale inną, cichą, pokorną, zmiłowania Pańskiego proszącą. Brzask błady na wschodzie rodzić się poczynął, gdy echo pomiędzy drzewami powtarzało ostatnie słowa pieśni.

Powstali wszyscy, naczelnik przejrzał szeregi, nikogo nie brakowało. Ksiądz z krzyżem w ręku stanął obok naczelnika.

Konie w nocy były już posiadlane, teraz tylko popregi poprzyciagano.

— Na koń! — zagrzmiała po chwili komenda, i w kilka minut sformował się oddział czwórkami na polanie.

— Baczność! naprzód stępo, marsz! — i ruszyliśmy na skraj lasu. Ksiądz ciągle obok naczelnika jechał wzniosłszy krzyż wysoko, tak, że go każdy mógł widzieć, głowę miał nie przykrytą, siwymi włosami wiatr igrał.

Gdyśmy wyszli już z lasu, uszykował nas naczelnik w cztery szeregi, teraz rzuciłem okiem przed siebie.

Chmury ciężkie, ołowiane okrywały smutne niebiosa, тумany mgły gęstej ścieliły się tuż po nad rozmokłą ziemią, dzień szary, żaloszny, jesienny robić się zaczynał. W dali przed nami umykały pospiesznie kozackie placówki, a w dolinie formowały się pospiesznie, niespokojnie dwie sotnie w szyk bojowy, widocznie zdziwieni byli naszym wystąpieniem, spodziewali się na pewno — poddania. Odetchnąłem swobodniej, z nimi dąmy sobie radę. — Baczność! konie w cugle! czwałem naprzód marsz! marsz! — jak grom doniosły rozległa się komenda.

Ruszyliśmy, jak stado dzikich, rozjuszonych byków, rola jęknęła pod nami, a ziemia czarna, rozmokła, bryzgająca z pod końskich kopyt, błotem nas w jednej chwili okryła. Ksiądz na starym białym arabie pędził pierwszy.

Nie dotrzymali placu kozacy, nim doszliśmy, rozprysnęli się na wszystkie strony — jak zeschnięte liście przed wiatrem północnym, ale w tejże chwili ujrzelśmy nowego nieprzyjaciela, szara niema piechota ze wsi się wysunęła, w linię bojową rozwinięta drogę nam zastąpiła, jak tama nieruchoma. *

Konie szły już takim pędem, że powstrzymać ich nikt już nie zdołał, gnaliśmy na wroga, jak pędzi latem groźna chmura gradowa, i zgnieliśmy i tych jeszcze, raz tylko zdołali wystrzelić, kilku z nas padło, i już konie spięły się przednimi kopytami na las bagnetów, pierwszy szereg nieprzyjacielski runął i po piechocie, w błoto wmiesiliśmy cały batalion, kopytami stratowaliśmy — odetchnąłem.

Wtem nagle ujrzałem w kołowrocie wsi trzy długie błyszczące rury — armaty! — szepnąłem i mróz mnie przejął — koniec! jęknął ksiądz, jadący tuż przy mnie.

W tej chwili puszkarze przytknęli zapalone lonty, ujrzałem przed sobą blask i... skończyło się! — co dalej było, nie pamiętam, w oczach mi pociemniało, koń się zwałił podemną — skończyło się.

Starzec przerwał na chwilę opowiadanie, głowę żałośnie na piersi opuścił i zaledwo dosłyszalnym głosem powtarzał: Skończyło się! skończyło się!

Popatrzyłem w tej chwili na Enemuk-Hana, księżyc tak jasno świecił, że widziałem jakby w dzień każdy rys jego twarzy: siedział, wzniosłszy górną część ciała, naprzód zlekka pochylony, w małych, żywych oczach dziwne blaski migotały, jakiś ponury ogień płonął, a twarz cała przybrała wyraz zwierzęcej prawie zaciekłości; drżącą ręką ścisnął konwulsyjnie głownię jatagana, który miał zawsze u boku.

— Taki sam koniec! taki sam! — szeptał bezwiednie prawie — i mnie, gdym dzieckiem na kolanach matki igrał, opowiadała mi ona, że dziad mój tak ginął — jazdę zgniótł, piechotę podruzgotał, aż w ogniu armatnim zginał, przekłeta, tehorzowska broń. Cóż dalej? starcze — ozwał się głośno — opowiadaj dalej! nie przerywam.

— Ha! cóż? — odparł starzec, budząc się z głębokiej zadumy — myśleli, że zabity, tak jak i inni, zostawili mię na pobojuwisku, żeby psy, wilki i wrony z nami się uporały.

Cały dzień musiałem martwy, bez życia przeleżeć; obudziło mię lizanie psa po twarzy. Otworzyłem oczy: dwa psy chłopskie, kudłate kundle stały nademną, skomlać żałośnie; gdym popatrzył na nie, uradowały się widocznie, bo przestawszy wyć, zaczęły biegać wkoło mnie, podskakując wesoło i kręcąc ogonami.

Próbuję podnieść się, idzie jakoś, usiadłem na ziemi, macam, członki całe, tylko dotknąwszy się lewego ramienia,

ból dotkliwy uczulem, a rękaw i cała lewa strona *czuhaja* były krwią skrzeplą okryte.

Próbuję wstawać, i to się udało; obejrzałem się wkoło, niebo się wyjaśniło, mroźnik brał, a na niebie miesiąc na młodziku świecił jasno po wschodniej stronie, a na ziemi dokoła trupy i trupy, martwe ciała ludzi i koni porwane, poszarpane kartaczami, a pomiędzy temi psów gromady wznosiły okrwawione pyski, wyjąc żałośnie, stada wron i kruków zrywały się za mojem zbliżeniem, kracząc złowrogo, wilków nie było, nie zbiegły się jeszcze na ucztę.

Postąpiłem kilka kroków i utknąłem na jakiejś przeszkodzie, patrzę, biały koń nieżywy, a pod nim z twarzą do góry wzniesioną leżał trup księdza Konstantego, oczy miał zamknięte, a twarz biała, jakby z wosku kościelnego ulana, skamieniała z tym samym wyrazem, który miał wówczas, gdy nam ostatnią pieśń zaintonował. Wtem głos jakiś dziwnie żaloszny, niby jęk, niby charczenie przedśmiertelne doszedł moich uszu, skierowałem się w stronę, z której dochodził, i ujrzałem: skarogniatego Osmana z rozprutym brzuchem, z wypuszczonemi wnętrznościami leżał, żył jeszcze, oczy miał otwarte, a w nich błagalny wyraz, stękał jak człowiek, o dwa kroki od konia leżał pan Karol bez życia; wódz nasz miał piersi rozszarpane kartaczem, musiał odrazu zginąć bez męki. Koń, ujrzawszy mnie, podniósł głowę i zarżał tak żałośnie, że mię aż coś w sereu zabolalo, choć było ono skrzeple i twarde jak kamień, zlitowałem się, dorzuciłem konia, szablę po tej ostatniej posłudze rzuciłem i skierowałem się w stronę lasu.

— I koniec! koniec! — mówił starzec po chwilowej przerwie — skryłem się w lasach, poczeiwi ludziska wygoili, przechowali, przekarmili. Całą zimę na cudzym chlebie przeżyłem, nie ciężył mi on, bo poczeiwą ręką był podany. Z wiosną, jak dziki zwierz, kryjąc się po lasach, debrach i jarach, w swoje strony się dowlókłem.

I tam żaloba na mnie czekała. Starowina mój ojciec zmarł zaraz po naszym wyjściu, po nim żonisko gryzło się,

w tyfus nareszcie wpadło i dwóch tygodni nie przeżywszy, na początku adwentu umarło. Córkę, moją Hanię, te lotry niby do śledztwa zabrali; lotr Worpanow, *stanowcy*, zdawna na nią czychał, wpadła mu w oko.

— Szelmy! złodzieje! gwałtowniki! — wołał stary, a głos mu drżał bólem i rozpaczą i zemstą bezsilną — żeby ziemia święta pod nimi gorzała, żeby żywcem ich pochłonięła, żeby im chleb powszedni kością w gardle stanął! Zabrali, męczyli, pohańbili, i nie swoją śmiercią umarła, wstydu nie mogła przeżyć.

Cóż było robić? lada chwila mogli mię pochwycić i w kartogę zagnać, nie było czego doczekać. Pani oddałem pierścionki, panu pułkownikowi zdałem sprawę z naszej wyprawy, o śmierci syna opowiedziałem, i opatrzony przez niego w świat ruszyłem, do moldawskiej granicy kierując się.

Gdym przeszedł Dniestr, inny świat mię otoczył. Chociaż ludzi spotykałem, nikt mię jednak nie spytał nawet: co zacz jestem? ani zkad i dokad idę? Tu każda ręka droga i do pracy się zda, a kiedym aż na te Cecorskie pola zaszedł, spotkał mię objeżdżający swe łany i pastwiska obszerne stary bojar Hormudżaki; zaeny to był człowiek, odrazu poznał com ja za jeden i zkad idę? pierwszy przemówił, uspokoił, żebym się nie lękał, powiedział dalej, że on niejednego, za którym szukali nawet, za Prut przeprawił, mnie jednak radził nie iść dalej, służbę dał i od wszelkiej napaści ochronić obiecał.

I dotrzymał słowa stary bojar, świeć Panie nad jego duszą. Chciał mi inne zajęcia dawać, chciał bym mu gospodarstwa doglądał, *prawytelem*¹⁾ był, folwarkami, wielkimi *odojami* rządził; nie chciałem tego, ludzie mi byli zbrzydli, tu na stepie kolo hetmanowej mogiły najlepiej mi było, najswobodniejszy się czulem.

I dwadzieścia lat już minęło jak tu siedzę. Poczciwe moldawiany, dobrzy ludziska, wiosną na Jura spędzą mi

¹⁾ *Prawytel*, zarządzający majątkiem.

*tamazlyk*¹⁾), na wypas i aż po św. Pokrowie po nią się schodzą, — nie dokuczają.

Ja to im czasem dokuczę; przez lato poprzeczywam im krowy po naszemu: to kraśna, to jagoda, to kalina, i bydłeta tak się przyzwyczajają, że na inne, dawne miano już do rąk nie idą, przychodzą więc do mnie ciż właściciele i proszą, żeby im powiedzieć, jak się teraz ich krowy zowią i wymawiać się uczą obce słowa; ja ich uczę, i choć czasem polskie słowo wymówię i usłyszę.

Siedzieliśmy zadumani, mileżący, w opowiadającego wpatrzeni. Starzec ten z całą prostotą i dobroduszością wspaniałym był i wielkością swych nieszczęść, i łagodną rezygnacją, i poddaniem się woli Bożej, krzyż swój dźwigał ucziwie. Patrzałem nań, nie mogąc zdecydować się, jakim słowem doń przemówić. On spostrzegł moje zmieszanie i przeczuwając przychyne, pierwszy przerwał milczenie, swobodnym tonem mówiąc:

— A co? prawda? nic ciekawego, mówiłem, że nie ciekawego, zwykle, zwykle u nas dzieje. Ot! lepiej niech mi pan powie — rzekł zwracając się do mnie — co się z panem pułkownikiem dzieje? z jego wnukami?

— Hm! cóż? pułkownik majątek w ziemi uratował, kapitałami poforsował, przekupił urzędników i dali mu pokój; żył jeszcze potem z dziesięć lat, pamiętam młodym chłopakiem będąc, widywałem go.

— A wnuki? wnuki? — pytał niecierpliwie starzec — jacy oni?

— Jacy? a Bóg to raczy wiedzieć? — odpowiedziałem niepewnym głosem i w pamięci stanęły mi sztywne, zimne postacie dwóch młodych hrabiów Korwinów — no cóż? dobrze się rządzą, majątku przysparzają, cukrownie budują, z nimi nie miałby pułkownik trudności, usłuchałiby z łatwością rozsądnej rady — i mimowolnie odcień ironii zadźwięczał w moim

¹⁾ *Tamazlyk*, trzoda spędzona przez chłopów na wypas, za którą placą lub odrabiają.

głosie. Starzec odczuł to zaraz, a snać zabolalo go to, bo natychmiast gorąco zaprotestował:

— Oh! nie mów pan tak, oni już z rodu niby na oko zimni, ale krew tam jest, musi być, o! jest i jaka jeszcze? pracują, hamują się, skorupą z lodu okrywają, ale żeby tylko zaszła tego prawdziwa potrzeba, żeby tam coś koło serca polaskotalo, zobaczyłby pan, gdzieby oni byli, czy daliby się komu wyprzedzić? ani krwi, ani mienia nie szczędziliby. Oh! znam ja ich, na panu Karolu przekonałem się dowodnie.

Od strony zagrody z bydłem ryk przeciągły dawał się słyszeć, stary zerwał się, usłyszawszy — i mówił z rzewnym uśmiechem: — Ha! całą noc się przegadało, może ostatni raz w życiu, teraz »Malwina« dopomina się, żeby ją już na pastwisko wypuszczać — o ona, najwcześniejszy to ptak — całe stado budzi.

Spojrzeliśmy po sobie zdziwieni, w rzeczy samej gwiazdy już pobladły, a na wschodzie po nad mgłą rzezną brzask jakowyś rodzić się poczynił — świt się zbliżał.

Stary wstał i poszedł rozbudzić pomocników, by trzode na pastwisko wyganiali — a i Wicek przemawiał już z mazurska do towarzyszy, żeby wstawali brać się do czyszczenia koni.

Dnieć już na dobre zaczynało. Wstałem rozglądać się po okolicy. Noc przepędziliśmy u stóp wysokiej mogiły, na szczycie której stał mały dębowy krzyżyk, mehem tu i owdzie już porośnięty, poniżej nas w niewielkiem zagłębieniu lśniła gładka powierzchnia dość długiego stawku, a na prawo powyżej stawu rozciągały się daleko, hen po za mogiłę, równie niskie trzęsawiska, trzciną i sitowiem porosłe; na lewo opodal na wysokiej płaszczynie sterczały rozorane już tu i owdzie resztki okopów — to obóz ongi przez hetmana Zamoyskiego wzniesiony, przez Żółkiewskiego poprawiony — a po za oko-

pami w odległości mniej więcej dwu werst majaczyła wspaniała wstęga Prutu.

Mgły skłębione unosiły się ponad zwierciadlaną tonią, a rodząca się jasność świtu w tęczowe je barwy zdołała.

Step, jak li oko zasięgnąć zdoła, zasnuty był delikatną przedzą białej pajęczyny, na której rosa drobnemi, mikroskopijnemi perełkami skryształila się — niezrównane to w piękności klejnoty przyrody.

Ryk bydła uciszał się z przeciągłym krzykiem żórawi, które, szykując się do dalszej na południe wędrówki, olbrzymiem stadem trzęsawiska obsiadły, a obadwa te odgłosy głuszyło chwilami radosne rzenie tekińskiego bieguna, wrónego Dżiryta, Enemukowego wierzchowca, który ciekawie rozglądał się wokół po stepie, i myśląc, że to może jego rodzinny, wesółym witał go głosem.

Stary vacâr powrócił tymczasem; po wyrazie jego wymownej twarzy poznałem, że miał coś na sercu, że pragnął o coś nas prosić, lecz nie miał odwagi.

Ośmieliłem go.

— Czy chcecie nam co powiedzieć, panie Janie? — zapytałem — mówcie śmiało, jeżeli można, to zrobimy, wywdzięczając się za przyjęcie i opowieść waszą; jesteście waszymi dłużnikami przecież.

— Mam ja prośbę do pana, ale nie wiem, jak to powiedzieć? — mówił zakłopotany — między panami zdawna już różnie tam bywało, ale już powiem. Widzi pan, jest tam dwóch ludzi katolików: Maks i Wicek, no i pan sam katolik, może, możebyśmy, panie, razem pacierz zmówili, tak dawno słów modlitwy nie słyszałem, a dziś toby tak było prawie jak w kościele.

— Z największą chęcią, mój Janie — odpowiedziałem pospiesznie, uradowany, że tym sposobem zrobię przyjemność starcowi; zresztą starowina jakby myśli moje odgadł był. To miejsce z tyłu bojów sławne, poranek ten cudowny, bolesna opowieść starca wreszcie, do modlitwy mię usposabiała; czulem gorącą chęć westchnienia do Boga.

Stary wyrazem oczu podziękował mi za moją zgodę na jego propozycję, i wskazując mi niemym gestem krzyż na mogile, sam pobiegł za Maksem i Wiekim.

Zacząłem wdrapywać się na szczyt wysokiej mogily; Ene-muk, mileząc, postępował za mną, za chwilę był już i stary z chłopcami, ukłękliśmy wszyscy, starzec rozpoczął odmawiać słowa pacierza, powoli, uroczyście, dobitnie. Tatar tylko stał na boku, ręce skrzyżował na piersi, a tęskny, smętny wzrok skierował na wschód, patrzył tam niemy i zadumany.

Na słowa modlitwy, przez starca wymawiane, chórem odpowiadaliśmy. Z każdym słowem twarz starego coraz bardziej rozrzewniała się, jakichś blasków duchowych nabierała, głos mu drzeć zaczynał, a w drzeniu tem odbijało się tysiące uczuć, które długo, długo na dnie duszy w uśpieniu leżały, zamierały już może.

Po pacierzu codziennym rozpoczął litanię do Matki Boskiej. Starzec zapalał się coraz bardziej własnymi słowami, głos jego brzmiał coraz donośniej, po szerokim stepie się rozchodząc. Przy ostatnich słowach lzy w oczach mu błysnęły; może żal mu było, że już skończył. Żal ten we wzroku mu się odmalował, gdy spojrzął na nas, a oprócz żalu było tam i wahanie się jakoweś. Po chwili badawczego patrzenia, widząc nas w głębokiej modlitwie pogrążonych, westchnął, wznosił później głowę w górę i głosem silnym a pewnym zaintonował:

Boże coś Polskę przez tak długie wieki.

Zawtórowaliśmy mu, i pieśń z serca popłynęła, rozchodząc się daleko po rosie.

Głos pieśni drżał w powietrzu, żurawie przestały krzyczeć, postawały na jednej nodze, szyje powyciągały, przysłuchując się ciekawie; konie uszy w górę wzniosły, grzebiąc od czasu do czasu w takt pieśni nerwowo przednimi kopytami czarną, tłustą ziemię; Ene-muk słuchał niemy, ciągle w dal na wschód zapatrzony, twarz mu się mieniła, z oczu promienie tryskały, wreszcie zwolna ukląkł i głos swój złączył z naszym:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!

Grzmiały już, huczały słowa pieśni, głosy złączone ku hetmańskim okopom, po równinie, płynęły i odbiwszy się od nich, ku nam wracały, by skonać u stóp mogiły.

Pieśń się skończyła, i echo przebrzmiało w końcu. Starzec powstał, zwiędła twarz jego, cała łzami zroszona, wyraz szczęścia prawdziwego przybrała, a tak był wzruszonym, że z trudnością mówić mógł, po chwili dopiero przemówił, ściskając mię serdecznie za rękę.

— Niech Bóg was stokrotnie wynagrodzi, teraz i śmierć mi lżejsza będzie — wie pan? tę pieśń, tę samą śpiewał ksiądz Konstanty przed ostatnią bitwą.

— Maks dawaj kobyłę! — zawołałem na chłopca, i odwróciłem twarz, bo bałem się, że sam się rozplaczę.

— Jeszcze chwilkę — prosił stary — poczekajcie minut parę, jeszcze jedną mam prośbę do pana — i pobiegł do ziemianki.

Za chwilę powrócił, niosąc coś w rękę.

— Jeszcze o jedną łaskę pana poproszę — mówił, wiskając mi jakiś dość ciężki przedmiot w rękę — tu jest trzy rulony, każdy po dziesięć dukatów, w pocie czoła zarobiłem, zostawić nie mam komu, niech to na chwałę Bożą idzie, niech pan zawiezie do Matki Boskiej ormiańskiej w Kamieńcu, do Tynnej, do Pana Jezusa latyczowskiego, niech księża odprawia żałobne nabożeństwo za poległych dnia 26 października, i za duszę Hani, mojej córki, może Bóg się nad jej duszą zmiłuje. Przestał mówić i odwrócił twarz, aby lzy ukryć; po chwili zwracając się jeszcze do mnie, podał mi pakiet papierów pożółkłych i pierścien jakiś.

Wziąłem pierścień do ręki, przypatrując mu się ciekawie. Na owalnej krwawnikowej tarczy w dziwne zygzaki był wryty jakiś nieznanym mi ruski czy litewski herb.

— To nasze heroldyjne papiery i nasz sygnet herbowy — tłómaczył mi starzec — na nic mi dziś one — dzieci nie mam, ale gdzieś tam w dobrach ks. Sanguszki powinni być synowie mojego brata stryjecznego. Jeżeli ich pan zdoła odszukać, to proszę im to oddać — może się im zda na co.

— Bywajcie mi zdrowi, panie Janie! — zawołałem serdecznie i wzięłem starego w objęcia — w ramię go ucałowałem.

— Niech was Bóg prowadzi! — niech wami się opiekuje — niech dopomaga — byście dalej zaszli, jak my.

I Enemuk - han ścisł starca, rozrzewniony, a potem zawołał głosem komendy:

— Konie podawać! On chciał się znaleźć prędzej na siodle, aby wzruszenie ukryć, rozwiać w szerokim stepie.

— Na koń! — i z konia skinąłem ręką jeszcze raz — na pożegnanie.

Ruszyliśmy z miejsca stepo. Przed nami roztaczała się niezmiernie równina, nieznacznie, niepostrzeżenie pochylająca się ku południowemu wschodowi, ku morzu Czarnemu, ku bagnetom Dobruczy. Jak oko dojrzeć zdoła, bujne pastwiska, gdzieś tam tylko na niewielkich lankach świeżo zebrana kukurudza stała rzędami w wysokie kopce poskładana, niby namioty jasne.

Z ciężkiem sercem odjeżdżałem. Żał mi było starca, który tu na pustyni, zdala od ojczyzny, zdala od swoich miał wieku dożywać i śmierci czekać. Obejrzałem się po za siebie i ujrzałem go jeszcze, klęczał pod krzyżem na mogile, wiatr igrał swobodnie z białemi włosami.

— Cmentarnik — szepnąłem — opiekun rycerskich grobów, stróż mogiłnych posterunków zmarłej Rzeczypospolitej.

Chłopcy rozjechali się szeroką linią, ja jechałem ciągle obok Enemuka - hana, blisko, tak blisko, że czasem strzemiona

uderzały o siebie i jęknęły ponuro. Popatrzyłem nań, siedział naprzód pochylony, głowę zwiesił, nie zwracając zupełnie uwagi na otaczający nas krajobraz, widocznie zamyślił się nad czemś głęboko.

— Popatrz Muhamedzie! — przerwałem mu zadumę — popatrz na te równiny, na ten step głuchy, krwawy, to ongi był majdan, pole bojów klasycznych, przed wiekami rozgrywał się tu dramat straszliwy, przodkowie nasi staczali tu bitwy zażarte, ziemia pod kopytami licznej jazdy drżała, krew się lała strumieniami, a pomimo to myśmy dzisiaj przyjaciółmi, w jedno jarzmo wprzężeni.

— Hm! inne to były boje — odparł, niechętnie głowę podnosząc, widocznie nie rad, że mu dumanie przerwałem — inne boje, zwykle sąsiedzkie zatargi, chęć łupu, drapieżność wreszcie na pół dzikich jeszcze, sąsiadujących z sobą plemion. Nikt jednak narodów całych w jarzmo nie wprzęgał, nikt ojczyzny, wolności milionom licznym nie odbierał, nikt nie deptał umyślnie tego, co najdroższe narodom tym. Aż oni!

Tu przerwał, z nietajoną zawziętością na północ spojrział.

— Tak! aż oni — mówił znowu — pajak ohydny, polip sturamienny, hydra tysiągłowa. Jak lawina rozsuwa się to na wszystkie strony i pożera, niszczy, co tylko na drodze napotka.

— Walczyliśmy przecież z tą hydrą — odparłem — walczyliśmy do dziś dnia, i ja nie wątpię w możliwość zwycięstwa.

— Tak! walczyliśmy — mówił znowu smutnie bardzo — wy i dziś walczyście jeszcze, dziś może lepiej niż dawniej, walczyście na całej linii bojowej, walczyście na śmierć i życie, choć bez miecza w dłoni. Wiesz! — mówił, ożywiając się nagle — dzisiejsza noc wiele rzeczy mi odkryła, z opowiadania tego dziada ważną naukę zaczerpnałem. Dziś tak dla was, jak i dla nas jedynym sposobem walki, jedyną deską zbawienia jest taktyka przez starego pułkownika wskazywana. Tak walczyliśmy noc i dzień o każdy kawał ziemi, o wspomnienia i pamiątki przeszłości, o tradycję. My przewodnicy winniśmy

budzić poczucie obowiązku twardego, poczucie patriotyzmu prawdziwego, a wszystkie narody w ten sposób wzmocnione, może doczekają się chwili....

— Hejże go! ha! — rozlekl się w tej chwili radosny krzyk Dżordzi, który upatrzawszy myszkującego pomiędzy kukurudzą lisa, puścił ową *coconicę* ze smyczy i parł za *mikitą* galopem.

Enemuk silną dłonią starał się powstrzymać rwącego się gwałtownie za lisem Dżiryta, i chciał zdania dokończyć.

— Puszczaj! — wołałem — później dopowiesz, szkoda lisa i zabawy, wszak to jedno, co nam z dawnego rycerstwa pozostało.

— Hejże go! — krzyknąłem nad uchem kobyle.

— Hejże go! ho! ho! — rozległo się równocześnie po całej linii, i wnet psy wszystkie wyciągnęły się jak struny, a my za nimi pełnym galopem pędziliśmy za lisem.

We dwa miesiące później udało się Enemuk-hanowi, za pomocą świadectw przekupionych lekarzy, uzyskać dymisyę, wracał do Azji.

Wyjeżdżając już, wstąpił do mnie i dni kilka przepędziliśmy jeszcze razem. Długie godziny schodziły nam na poufną rozmowę, spowiadał się ze swoich projektów; piękna twarz jego, odziedziczona snąc po matkach i babkach, brankach Polski i Kaukazu, jaśniała wesolością, w małych tylko tatarskich oczach ponury ogień zawziętości płonął.

Pelen był najświetniejszych nadziei, żegnał mię słowami: do zobaczenia w lepszych, szczęśliwszych czasach.

Dzwonek jęknął żałośnie, trójka pocztowa pomknęła z przed ganku i znikł mi z oczu, nie słyszałem o nim więcej.

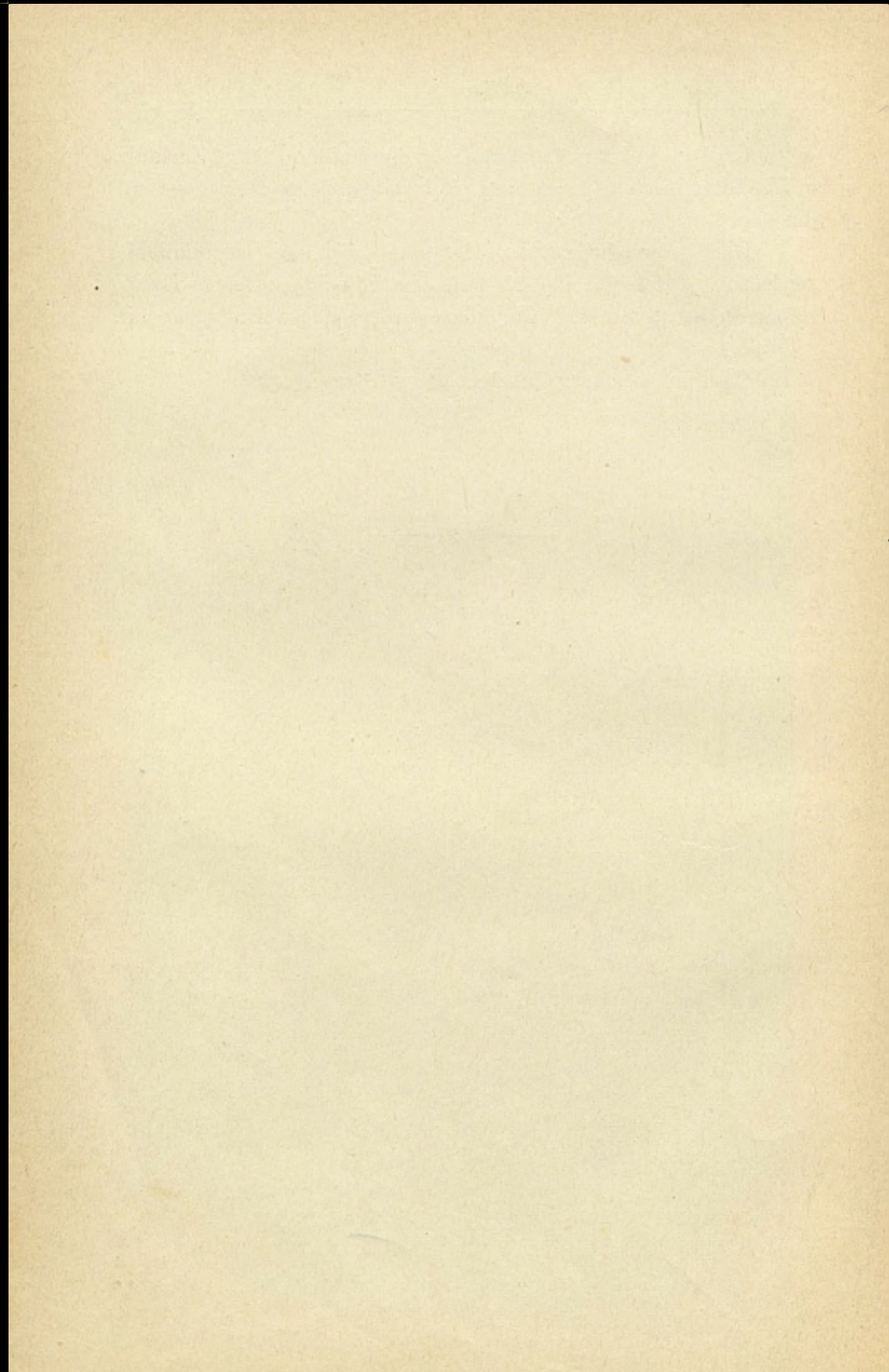
Gdzieżeś ty dziś, gdzie, Enemuk-Hanie? czy spotkamy się jeszcze kiedy? czy spotkamy się w dniu zwycięstwa?

w dniu, w którym podeptane, ujarzmione ludy Zachodu i Wschodu odetchną swobodniej. Czy dożyjemy dnia tego radosnego?

Dziś pragnąłbym tylko, by głos mój, głos wspomnienia serdecznego doleciał cię aż tam, na równinach Amu-Daryi, by ci on otuchy dodał, do dalszej wytrwałej walki wzmocnił.

Pisałem w marcu 1889 roku w Przewłocze.





KSIĄDZ JAN.

REVISED EDITION

Pani Ewelinie Szawłowskiej
swej ukochanej Ciotce i Opiekunce
pracę tę poświęca wdzięczny

Autor.

. Za chwilę mieliśmy się rozstać.

Na wschodzie za górami, piętrzącemi się po prawej stronie Czarnego Czeremoszu, zaiskrzyły się właśnie pierwsze brzaski różowego świtu; na wezbranych nurtach spienionej, rwącej, górskiej rzeczki drżały dwie zbite tratówki, umajone gałęziami choiny, ukraszone pstremi chorągiewkami, z chustek kobiet huculskich zrobionemi. Wioślarze, *kiermanicze*, — jak ich tu zowią — przystroili w ten sposób statek, którym moi towarzysze, współuczestnicy kilka tygodni trwającej wyprawy myśliwskiej, mieli popłynąć w dół rzeki, ku równinom, ku stronom cywilizowanym.

— Nie wiem sam, po co tu zostaniesz? — mówił przyjaciół mój Stef.

— Mówić z nim nie warto. Ot, zwykle literackie dziwactwo — dorzucił Mieczysław, machnąwszy ręką z pewnem lekceważeniem. — Słuchać będzie, jak to wiatr wieje, jak Czeremosz szumi, jak huculy drą się na »trembitach« — mówił dalej z odcieniem ironii — później będzie to opowiadał pannom, albo i opisywał. Taka już natura, nic mu nie poradzisz.

— Z głodu tu umrzesz! — zakonkludował milczący dotychczas Tazio — ani mięsa uczciwego, ani kieliszka wina. Ah! Boże, żeby w tych górach nie lyse niedźwiedzie, ale żubry

łosie, lwy, tygrysy, hipopotamy i krokodyle się gnieździły, gdyby można je przepiórczym śrótem zabijać, to jeszcze nie zwabilibyście mnie drugi raz na podobną wyprawę. Djabli mi nadali was posłuchać, anachoretą nie myślę być, w ten bierny sposób nie mam zamiaru do nieba się przekradać. No bądź zdrów bazgraczu! — i pierwszy wyciągnął rękę na pożegnanie.

Jeden po drugim ściskali się ze mną, strzeley ich żegnali mnie uklonami. Przystrojone tratwy pod ich ciężarem stopniowo, coraz głębiej zanurzały się w wodę, tak, że pnie świerkowe zamoczyły się w całości, sucho było tylko na pomostach z desek, przeznaczonych dla ludzi i pakunków. Wszyscy już weszli na tratwę: stary hucul, bosy, w otwartej na piersiach a dziegiem złanej koszuli, stał z podniesioną siekierą w rękę i czekał tylko sygnału, ażeby odciąć wiązkę cienkich gałęzi, za pomocą której tratwa była przytwierdzona do kamienistego brzegu.

— Czekaj! — krzyknął *kiermaniczowi* w ucho Tadeusz, a później zwracając się do mnie, mówił:

— Nie bądźże cudakiem! Nie ndawaj Słowackiego! Górskiego, szwajcarskiego poematu nie napiszesz, a nabawisz się kataru żołądka na tutejszym psim wkiecie, każ znieść pakunki i płyn z nami, mamy jeszcze parę butelek czerwonego wina. No, nie dziwacz, chodź prędzej!

Przeczącym ruchem głowy dałem mu znak, że nie zgadzam się na jego propozycyę.

— Pal cię djabli! — zawołał gniewnie i dał znak huculowi.

Ostra siekiera błysnęła w powietrzu, wiązka gałęzi rozcięta na pół uwolniła tratwę, która drząc i wstrząsając się jak ryba, odbiła od brzegu i wnet z szybkością strzały pomknęła środkiem wezbranego strumienia. Na pożegnanie huknęła salwa ze strzelb, odpływający i my pozostali na brzegu strzeliliśmy równocześnie, a echo górskie, pochwyćwszy huk wystrzałów, podawało go sobie od góry do góry, od złomu do złomu, od przepaści do szczeliny. Zadumany patrzyłem za

mknącą derabą — tak huculi zwa trawę — unoszącą serdecznych towarzyszków; nim echo salwy pożegnalnej skonowało w górach dalekich, już znikli mi oni z oczu za najbliższym, skalistym zakretem górskiej rzeki.

Choć tratwy już nie widziałem, jednak stałem na brzegu zadumany, wpatrzony w ów załom skały, który mi zakrył widok odpływających kolegów; w tej chwili żał mi się za nimi zrobiło, uczulem się sam jeden wśród dzikiej przyrody i wśród dzikszych jeszcze mieszkańców. Przez mgnienie oka wydało mi się, że czuję w sobie gniew na siebie samego, za to, iż nie usłuchałem rady Tadeusza. Nie długo to jednak trwało, wnet podniosłem głowę, odetchnąłem cudownem górskim powietrzem i wpatrzyłem się w malowniczy krajobraz, otaczający mnie ze wszech stron.

Słońce sierpniowe w całej swej potędze i wspaniałości wyszło już było z poza lesistych szczytów prawego brzegu i oświecało sterczące na węgierskiej granicy szczyty. Promienie słoneczne ślizgały się i łamały po szarym, mchem porośłym Pop-Iwanie; skalisty zaś i poszarpany Smotrzeż, zwykłą swą białą-szarą barwę zmienił w różową i płonął coraz jaskawiej, niby gór pochodnia, niby jakiś olbrzymi, bajeczny stos ofiarny. Zapatrzony w te piękności, nie ruszałem się z miejsca; z zadumy tej wyrwał mnie głos Mykoły, strzelca-hucula, którego przyjąłem na cały czas mego pobytu w górach.

— Co teraz robić będziemy? — zapytał, uśmiechając się poufale, — Czy zaraz udamy się w gościnę do leśniczego?

— Tak! — odrzekłem mu lakonicznie, nie mogąc oczu oderwać od wspaniałego widoku.

— Jeżeli tak — mówił uparty hucul — to siadajmy na konie i jedźmy, po co mamy najętym pod *tertilo*¹⁾ ludziom płacić za drugą dobę. Jedźmy panie! jedźmy!

Milcząc, usłuchałem rady przezornego Mykoły; wsiałem na twarą, drewnianą terlicę i ruszyłem z miejsca, przedemną

¹⁾ *tertilo* = pakunek podróży.

jechał Mykoła na swym dereszowatym koniku, który wierzgał i kąsał niemilosiernie, jeśli się do niego koń, pies lub człowiek zbliżył; z tyłu najęci huculi prowadzili dwa juczne konie, obladowane kuferkami i zapasami żywności.

Drożyna — *plaj*, jak mówią huculi — wila się kręto pod górę i kończyła się u białej bramy leśniczówki; odległość niewielka, bo zaledwie dwukilometrowa, wymagała co najmniej pół godziny czasu do jej przebycia. Domek leśniczego, biały i schludny, wśród zieleni buków niebotycznych i ciemnych, prawie czarnych świerków, wyglądał poetycznie, jakoś idealnie. Rad byłem niewypowiedzianie, że, zetknąwszy się podczas naszych polowań z gospodarzem tego domku, umówiłem się z nim o wynajęcie mi jednej izby i wikt na tak długo, jak zapragnę w górach pozostać. Zadolenie moje było tem monejsze, bo domek ten już znałem, w czasie wyprawy naszej nocowaliśmy bowiem u pana Nowaka i z doświadczenia wiedziałem, że robactwa, które jest plagą hat huculskich, niema w tym domku, a pani Nowakowa umie przyrządzać, choć bardzo skromne, ale zdrowe i czyste jadło. Temi ultra-praktycznymi myślami zajęty jechałem noga za nogą, rozglądając się wokoło i lubując grą kolorów, jaką wytwarzały promienie słoneczne, ślizgając się po szmaragdowych, zalesionych ścianach gór na przeciwnym brzegu rzeki. Nie zauważyłem prawie, kiedy konik, na którym jechałem, pewnym i śmiałym krokiem przebył mostek, wąski i niebezpieczny, rzucony ponad przepaścistym jarem. Podziwienia godne są te koniki huculskie: ani drgnął, ani zawahał się na chwilę i nie spojrzal nawet na wartki górski, strumień, który tam w dole, na dnie przepaści szumiał groźnie i rozpryskiwał się w tysiące kropli po czarnych, olbrzymich skalnych głazach. W pięć minut po przebyciu mostku znaleźliśmy się przed bramą gościnnego domku, w którym postanowiłem jakiś czas przemieszkać.

Naprzeciw mnie wyszła pani leśniczyna, podżyła, korpu-lentna kobiecina i oświadczyła na wstępie: iż jej bardzo przykro, że nie zastałem męża w domu, bo on, nie wiedząc do-

kladnie, którego dnia przyjadę, ruszył dziś rano na oględziny powierzonych mu rewirów.

Uspokoilem biedaczkę, mówiąc, że obejdę się zupełnie bez pana Nowaka, i kazałem Mykole zdejmować pakunki z juczych koni, sam zaś zająłem się zapłaceniem najętym hucułom za przewiezienie moich bagaży ze stefuleckiej poloniny tu do leśniczego.

— Nie wiem, czy nie będzie panu dobrodziejowi markotno — przemówiła po krótkim milczeniu moja przyszła gospodyni — ale tak się już zrobiło, że ten drugi pokoik obok pańskiego, ten od podwórza, musieliśmy nająć pewnemu lokatorowi.

Na te słowa uczulem, że ciarki przeszły mi po skórze. — Przepadłaś samotności — pomyślałem gorzko i z nieukrywanym strachem zapytałem:

— A któż to jest ten lokator?

— Ah! biedny człowieczysko, mało mu się już życia patrzy — szepnęła cicho leśniczyna, spoglądając wkoło, z obawą, czy jej kto nie słucha. — Bo to widzi pan dobrodziej (Nowakowa była rodem z jednego z miasteczek galicyjskich i o »dobrodzieju« nie mogła zapomnieć) mój brat, który jest aż kanonikiem przy naszym arcypasterzu we Lwowie, dal temu biedakowi list do mnie i prosił, żeby go tu na żętycy przetrzymać. Nie wiem ja, czy jemu już żętyca co pomoże, przezroczysty już, panie dobrodzieju, jak sito przezroczysty, a twarz, jak ziemia święta, czarna. Kłopot będzie z nim, kłopot, ale cóż, bratu kanonikowi odmówić nie mogę, on jeden naszymi dzieciskami się zajmuje — nie mogę, nie mogę! Jak Boga kocham, nie mogę! A pana dobrodzieja to już z góry przepraszam za takie chorowite sąsiedztwo.

— Ależ proszę pani, nie ma mnie pani za co przepraszając — odpowiedziałem na pocieszenie pocziwej leśniczynie, i uczulem w duszy dla niej szacunek za opiekę nad jakimś nieznanym biedakiem.

— Któż to jest taki? — pytałem dalej, stojąc ciągle na małym dziedzińcyku, otaczającym domek.

— A jaż panu dobrodziejowi nie powiedziałam? — zawołała gospodyni. — O to ze mnie dopiero zapominałska. To jest młody, młodzusięński ksiądz, taki, co aż w Rzymie się uczył, i podobno Ojciec sam święty, czy kardynał jakiś go na księdza święcił. Biedniatko jak panienka delikatne, a je to tak jak ptaszek. Boże mój! jakie to nasz Stworzyciel czasem ludzkie tworzy, aż dziwno pomyśleć, że mój mąż, ot ten pański Mykoła, a choćby z przeproszeniem godności i sam pan dobrodziej tacy sami ludzie, takie stworzenie Boskie, jak i ten księdyk chudziutki.

— Nie wie pani, jakże się on nazywa? — pytałem dalej, zainteresowany opowiadaniem.

— Jakżeby nie wiedziała? — odparła, niby obrażona mojem posądzeniem. — Wiem! Jakoś tak dziwnie, jakoś nie po pańsku. Bóg jego wie, czy on z chłopów, czy z żydów. Jakoś to brat kanonik napisał, aha prawda, nazywa się ksiądz Jan Dawydow.

Nie wierzyłem własnym uszom, myślałem, że babina się myli.

— Jak? jak? — zapytałem porywczo. — Jak go pani nazwałaś? Czy w tem niema pomyłki?

— Nie! jak Boga Kocham, że nie; — odparła leśniczyna i na moje przekonanie wydobyła z kieszeni od fartuszka zmięty list i poszukawszy w nim oczami, rzekła:

— Ot, niechże pan dobrodziej patrzy, pisze ksiądz brat: »Kapłan ten młody i bardzo bogobojny, nazywa się ksiądz Jan Dawydow; proszę Was...« i tam dalej różne polecenia daje ksiądz brat. A widzi pan dobrodziej, że moja prawda i że on taki nazywa się Dawydow.

Wytłumaczyłem pokrótce leśniczynie, że to ani chłopskie ani żydowskie nazwisko, tylko rosyjskie.

— Bożeż ty mój wszechmogący, to on moskal! zawołała, łamiąc ręce. — Zkądże się wzięło bratu kanonikowi przysyłać nam moskala?

Przerwała na chwilę i po krótkim namyśle mówiła dalej:

— Ale jakże on biedaczek dostąpił naszych świętych katolickich święceń kapłańskich, widać szymę musiał porzucić; oh! biednyż on, biedny człowieczek, na obcej ziemi, bez matki i ojca, bez wszelkiej rodziny.

Zostawiłem moją gosposię, pogrążoną w tych rozmyślniach, a sam skierowałem się do pokoju dla mnie przeznaczonego. Mykola poznosił już prawie wszystkie juki i zabierał się do rozpakowywania; ja zmęczony długim wczorajszym pochodem i niewygodnym w jawornickiej karczynie nolegiem, rzuciłem się na świecę, czystą pościelą zasłane łóżko i chciałem zasnąć, dość długo jednak to mi się nie udawało; dziwne myśli mną owładnęły, ciekawość rozbudzona pokoju mi nie dawała. Dziwnym przypadkiem zetknąłem się pod jednym dachem, wśród dzikiej pustyni z jednym z tych ludzi, którymi zawsze się tak interesowałem, którzy rozciekawiali mnie w najwyższym stopniu.

— Jakiś brat po duchu ojców Gagaryna i Martynowa — myślałem, nie mogąc zasnąć i w duszy mej rodziło się nieprzeparte pragnienie poznać bliżej tego dziwnego człowieka, tego dobrowolnego wygnańca, który dla swobody sumienia, dla wzniosłych uczuć religijnych rzucił Ojczyznę, rodaków, strony, w których wzrósł, krewnych, rodziców i sam jeden opuszczony poszedł szukać prawdy i zbawienia duszy. Długo przemyślałem nad sposobami zapoznania się z interesującym sąsiadem. Za cienką drewnianą ścianą odzywał się ostry, suchy kaszel suchotniczy.

— To on biedak tak kaszle — rzekłem sam do siebie i rad byłem, że nie usłuchałem perswazyi Tadeusza i nie opuściłem wraz z towarzyszami tej okolicy. — Będę mu mógł być pomocnym, zaopiekuję się nim w chorobie — snulem marzenia dalej — ponad wszystkimi jednak temi chrześcijańskimi uczuciami — przyznam się otwarcie — brała górę najzwyczajniejsza w świecie ciekawość. Zmęczenie wreszcie zagłuszyło nawet i ciekawość — zasnąłem jak kamień.

Obudziłem się rześki i wesoly; czułem, że wszelkie ślady zmęczenia znikły zupełnie. Przez wąskie okienko wpadały do wnętrza pokoju jaskrawe promienie słoneczne, skośne już jednak i rychły zachód zapowiadające. Zerwałem się pospiesznie, zdziwiony, że cały dzień sierpniowy przespać potrafiłem. Na odgłos mych kroków wszedł do pokoju Mykoła.

— Co tam słyhać? — zapytałem strzelca.

— Ach! nie nowego — odparł podstarzały hucul — wyspał się pan, to i dobrze, młodemu spać potrzeba.

— A ty co robileś? — pytając dalej, zabierając się do mycia.

— Co potrzeba, to zrobiłem. — Strzelby poczyściłem, bo były strasznie już zafolowane, konie sianem leśniczowskiem nakarmiłem i wyгнаłem je teraz na zagrodę, niech się trawką zieloną napasa.

W tej chwili z poza drzwi dal się słyseć głos pani Nowakowej:

— Czy pan się już obudził?

— Na potwierdzającą odpowiedź trzepała kobiecina dalej:

— No to chwala Bogu, bo rosół i tak przestaly już, a pieczeni to nawet nie puszczałam jeszcze na ogień. Mikołaju, a chodźcie-no zabrać obiad dla pana.

W kilka minut później odświeżony zimną, źródlaną wodą, siedziałem przed stolikiem, nakrytym białym, czystym obrusem i zjadłszy bezdenny talerz rosolu, zabierałem się do pieczonego czombera baraniego.

— I ten Tadeusz śmiał wymyślać na górską kuchnię — pomyślałem w duchu — potrzeba na to nie mieć sumienia, albo mieć zepsute, przerafinowane podniebienie. Ciekawym, czy mu w kasynie lepszy czomber podadzą.

Pograżony w tych rozmyślaniach, pokonałem cały czomber, wypilem szklanke wina mołdawskiego z *burkutem* ¹⁾ i wstaw-

¹⁾ *Burkut* = rodzaj wody mineralnej burzającej; źródła jej znajdują się w górach Karpackich, o milę od Jawornika, w miejscowości zwanej Burkut, nad samą granicą węgierską.

szy, zacząłem rozmyślać, w jaki sposób mam korzystać ze zdobytej samotności. Jakby naprzekór tym samotniczo-pustelniczym rozmyślaniom, przyszedł mi na myśl sąsiad, o którym mi opowiadała Nowakowa.

— A księdza tego, tego sąsiada widziałeś? — spytałem Mykołę.

— A czemużby nie? Widziałem — odrzekł hucul, krzywiąc się. — Prawdę powiedzieć, to niema się na co patrzeć — mówił dalej, spluwając nieznacznie — jakby dobry myśliwy dmuchnął, to sąsiad ten prochemby się rozsypał. Ot biedolactwo jakieś, *cholernyk*¹⁾ *taj tylko*.

— A co on robi?

— Ta co ma robić? siedzi tam pod chalupą, na słońcu się grzeje i modlitwy jakieś szeptuje.

Zamilkłem na chwilę, myśląc znowu o moim przypadkowym sąsiedzie; nie miałem odwagi narzucać mu mego towarzystwa, a jednak pragnąłem go poznać. Mykoła patrząc mi w oczy, widocznie pomylił się w swoich przypuszczeniach i fałszywie sobie wytłumaczył moje zadumanie.

— Pan się turbuje, że nie ma dziś co robić — rzekł z przychylną troskliwością — daremna turbacya, u nas w górach zawsze się jakaś zabawa znajdzie. Ze dwie godziny temu spotkałem Ilka Kunyca i Fomę Rabija i ei powiedzieli mi, że dziś wieczorem pójdą z luczywem na pstragi. Jeżeli pan zechce, to możemy iść razem z nimi, to i rybaby się złapała i popatrzeć się warto na to łowienie. Ho, ho! niema u nas na cały lacki brzeg sprawniejszych rybolowów, jak Ilko Kunycz i Foma Rabij. Oni sławni. Raz jednego lata był tu jakiś *mucholapa*²⁾ aż gdzieś z jakiegoś Krakowa, to on z naszym Fomą cały miesiąc po rzece laził i po potokach górskich brodził i siła ryby zład wywiózł, tylko jej nie suszył, ani w occie

¹⁾ *Cholernykami* nazywają huculi pacyentów, którzy przyjeżdżają w góry na kuracyę żętycą; jak podanie niesie, pierwszą cholereę w góry przynieśli tacy pacyenci.

²⁾ *Mucholapa* — tak lud huculski zowie przyrodnika.

marynował, ale w wódce mocnej moczył. Widać tak dla wielkich panów nie żalują wódki nawet na moczenie ryby.

Nie przerywałem Mykole opowieści, bo bawiły mnie niesłychanie jego pojęcia i zapatrywania. Gdy skończył, podziękowałem mu bardzo serdecznie za to, że uwiadomił mnie o dzisiejszej wyprawie, i wziąwszy od przypadku strzelbę i skinąwszy na Mykolę by mi towarzyszył, wyszedłem na dziedziniec. Gdy byłem już blisko furtki, ujrzałem o kilka kroków od siebie słusznego człowieka, odzianego w długą czarną suknię duchowną. Uchyliłem grzecznie kapelusza i równocześnie spojrzalem nań z uwagą. Na pierwszy rzut oka można było w nim poznać potomka rasy wojowników; wzrost ogromny i szerokie, poziomo ustawione ramiona robiły wrażenie, że się ma przed sobą rycerza jakiegoś, przywykłego dźwigać pancerz i ciężką kopię; błądźliwość twarzy, wypieczone na niej rumieńce, spalone usta, chudość dziwna całego organizmu i melancholijny wyraz rozlany po całym obliczu, kazały odrazu się domyślić, że człowiek ten po życiu, zawodów i boleści pełnem, zbliża się już do grobu, który mu da wytehnienie.

Wyszedłem za bramę, przeszedłem ów niebezpieczny mostek, a przed oczami stała mi jeszcze ciągle blada twarz o pobłażliwym uśmiechu, ten profil regularny, bez zarzutu, jakby z greckiej kamei zapożyczony, i oczy czarne, gorączkowym ogniem płonące. Szedłem powoli, myśląc ustawicznie o moim sąsiedzie.

— Prędzej, panie, prędzej! — znagłał mnie idący z tyłu Mykoła — do chaty Fomy, gdzie mamy się zebrać, spory kawał drogi, a musimy tam stanąć przed nocą, aby jeszcze potem zejść do rzeki.

Ruszyłem spieszniej.

Ciekawe nocne rybolowstwo zajęło moją myśl tak zupełnie, że zapomniałem i o księdzu i o jego rosyjskim nazwisku i o Gagarynie — zatopiłem się całkiem w podziwianiu cudownego widoku, jaki się moim oczom przedstawiał. Te spienione, po kamienistych głazach z dziwnym szumem pędzące fale, te potężne, cieniami nocy jeszcze bardziej wyolbrzy-

mione postaci huculskich rybaków, te smolne pochodnie rzucające całe potoki światła, łamiącego się w bryzgach szumiącej fali — wszystko to zlewało się w obraz pełen dziwnego, poetycznego a zarazem dzikiego uroku, który wrywał się głęboko w mą pamięć.

Ja z Mykołą szliśmy brzegiem Czeremoszu w górę biegu rzeki; rybacy na wpeł nadzy, niosąc pochodnie, kroczyli korytem strumienia w tym samym co my kierunku; szli cicho, bez szelestu prawie, tylko pochodnie smolne strzelały czasem, a odpadające drzazgi wpadały w nurt wody i płynąc świeciły jeszcze jakiś czas konającym już światłem. W świetle tem, na połamanej wodnej powierzchni, rysowały się dziwaczne cienie rybaków i mieniać się co chwila, przybierały: to jakieś gigantyczne kontury, to znowu zdawały się być cieniami liliputów.

Polów szedł dobrze; nim pierwsze kury zapiały, obławowani kilkudziesięciu pstrągami, zakupionemi od rybaków i poprzedzeni przez chłopaka, który nam przyświecał pochodnią, wróciliśmy do domku leśniczego. — Przechodząc przez dziedziniec, zauważyłem, że w pokoiku mego sąsiada świeciło się jeszcze. Wiedziony ciekawością — przyznaję się ze wstydem — rzuciłem okiem do wnętrza i ujrzałem znowu tę samą charakterystyczną, piękną twarz; młody ksiądz, podparwszy głowę na dłoni, siedział zatopiony w czytaniu. Z jego czoła widniało, że myśl jego pracowała usilnie. Spuściłem oczy, zawstydzony mą dziecięcą prawie ciekawością, i cicho, by nie przeszkadzać sąsiadowi w jego pracy, wsunąłem się do mego pokoju i położyłem się spać.

Nazajutrz zapoznałem się z księdzem Dawydowym.

Znajomość nasza zawiązała się w ten sposób: Po owej rybolowczej wycieczce spałem dość długo; wstawszy zaś i uraczywszy się — wbrew smutnym przepowiedniom Tadeusza — doskonałą kawą, przyslaną mi przez panią Nowakową, nie miałem już ochoty do dalszej wycieczki, tylko wydobyłem z kufierka podręcznego tomik dzieł Lermontowa i wyszedłszy na ganek, zatopiłem się w odczytywaniu utworu tego przedwcz-

śnie zmarłego poety. Po półgodzinnem czytaniu usłyszałem za plecami głos Mykoly, który mnie wzywał, bym wyszedł za bramę i obejrzał siano, przywiezione na sprzedaż przez hueula.

— Trzeba kupić panie — mówił Mykola — leśniczy sam ma nie wiele siana w tym roku, przykro mu będzie sprzedawać, a ten Wasyl nie drogo chce.

Poszedłem więc oglądać i targować siano. Sprawa ta dość czasu mi zajęła i skończyła się tem, że hueul ustąpił więcej niż połowę z ceny, której pierwotnie żądał. Powracając na ganek, ujrzałem wysoką postać mego sąsiada, nachyloną nad otwartą książką, pozostawioną przezemnie na stoliku w ganku.

— Gdy zbliżyłem się na kilka kroków, ksiądz podniósł oczy od książki i popatrzywszy na mnie, rzekł z pewnem zakłopotaniem :

— Pan zna rosyjski język ?

— Znam — odrzekłem i korzystając ze sposobności przedstawiłem mu się natychmiast.

W odpowiedzi na moje przedstawienie się rzekł ksiądz :

— Jestem Jan Dawydów z kongregacyi OO. Zmartwychwstańców. Bardzo mi miło poznać człowieka, który zna moją dawną... moją ojczyznę.

Po przelamaniu pierwszych lodów rozmowa potoczyła się żywo ; do wieczora byliśmy już w zupełnej zażyłości. Chory ksiądz z widoczną ciekawością rozpytywał się o stosunki panujące obecnie w carskiem państwie, o prądy nurtujące wśród młodzieży, o prześladowanie Kościoła katolickiego. Odpowiedzi, które mu dawałem, nie zdawały się go ani dziwić, ani nawet smucić ; zdawało mi się, że pytał mnie li z grzeczności, a o wszystkim, co mu odpowiadałem, wiedział i bezemnie doskonale. Przy opowiadaniu tylko jaskrawszych faktów, marszczył czoło, oczy ogniściej mu błyskały, rumieńce silniej wypiekały się na policzkach, a z ust mimowolnie wyrwały się słowa :

— Wkrótce wypełni się czara nieprawości!

Po polsku mówił poprawnie, gramatycznie, ale z pewnym cudzoziemskim akcentem.

Okolo piątej, po zjedzeniu wspólnego skromnego obiadu pożegnałem mego sąsiada i wyszedłem przejść się po sąsiednim świerkowym lesie. Rozpamiętywając naszą pierwszą rozmowę, zauważyłem dopiero teraz, że opowiedziałem mu masę szczegółów tak o sobie samym, jak o stosunkach prowincyi, które znałem dokładnie — on zaś nie powiedział mi o sobie nic po nad to, że nazywa się Dawydow, jest Rosyaninem i należy do kongregacyi OO. Zmartwychwstańców. Nie rad byłem z siebie, robiłem sobie wyrzuty z tego powodu i powtarzałem sobie po sto razy, że w ten sposób nie potrafię pochwycić charakterystycznych rysów tej ciekawej dla mnie postaci.

— Nadmiernie wiele sam mówię — wyrzucałem sobie w duszy — on z grzeczności samej nie mógł mi przerywać.

Postanowiłem stale zmienić sposób postępowania.

Następnych dni znajomość nasza coraz bardziej się zacieśniała, stawała się bliższą, nawet pewna serdeczność i poufalskość zapanowała między nami. Godziny całe siedząc na ganku leśniczówki, spędzaliśmy na rozmowach. Przypominały mi się żywe owe chwile, które ongi spędzałem na pogadankach z rosyjskimi studentami i młodymi oficerami. Postać piękna i wzniosła X. Dawydowa zarysowywała się coraz wyraźniej w moim umyśle i równocześnie wzrastała do niego sympatya w mem sercu. I on się rozruszał, ożywił; nieraz gdy wpadł w zapał, to odkrywał przedemną swe sny i marzenia, budował wspaniałe gmachy odrodzenia olbrzyma rosyjskiego za pomocą miłości bliźniego i braterstwa w Chrystusie. Był on szczerym, żarliwym katolikiem, lecz równocześnie szczerze miłował ową opuszczoną przez siebie ojczyznę i rodaków pogrążonych w jarzynie strasznej i upokarzającej.

— Przyjdzie jeszcze ta chwila — wołał w szlachetnym uniesieniu — w której bramy muru chińskiego same przez się pękną i nam otworzy się droga do apostołstwa wzniosłego i sercu milego.

Nie miałem serca powiedzieć mu, że nie podzielałem jego złudnych nadziei; nie chciałem krótkich dni, które mu jeszcze

do życia pozostawały, zatruwać zwątpieniem; nie śmiałem burzyć gmachu szlachetnej uludy, który dawał schronienie jego skolatanej, zbolalej duszy.

O stanie swego zdrowia nie miał najmniejszego wyobrażenia; projekty swych działań snuł na dziesiątki lat w przyszłość, a ja z boleścią widziałem, że życie ulatuje zeń z każdym dniem, z każdą godziną.

Nasza gospodyni była nad wyraz uszczęśliwiona z zażyłości, jaka zapanowała pomiędzy mną a chorym księdzem.

— Niech panu dobrodziejowi Pan Bóg wynagrodzi — mawiała, gdyśmy się czasem znaleźli sam na sam — za jego dobre serce. Biedniatko, księdyk mój aż poweselał, aż odżył, od kiedy pan dobrodziej przyjechał. Dobry on i poczeiwy, i widać, że go tam koło Ojca świętego wyedukowali jak się należy, kiedy może z państwem rozmawiać. Tylko zdrowia nie ma, oh! nie ma za panienkę najdelikatniejszą.

Na tem kończyła się zazwyczaj rozmowa, bo pani Nowakowa nie miała czasu na gawędy; na jej wyłącznej opiece zostawało sześć sztuk bydła, kilka świnek i czworo małych dzieci. Całym tym dobytkiem opiekowała się z wielką troskliwością; nawet mego Mykołę, który w pierwszych dniach naszego pobytu na leśniczówce próżnował z huculskim stoicyzmem, zaprawiła do roboty, a umiała zabrać się do tego tak sprytnie, że stary strzelec ani opatrzył się, kiedy się to stało. Nic mi więc nie przeszkadzało oddawać się studjom nad charakterem X. Dawydowa; zabrałem się też do tego zajęcia z amatorstwem; mimo to nie szło mi jakoś. Chociaż rozmawialiśmy długie godziny o sprawach, obchodzących ogół słowiański, o stosunkach wzajemnych dwóch narodów, do których należeliśmy, to jednak rozmowa nasza nigdy nie dotykała osobistych stosunków Dawydowa. Doświadczałem uczucia takiego, jakbym na próżno starał się pochwycić jakiś dziwnie śliski i giętki przedmiot, który bezprzestannie krąży w pobliżu moich rąk, lecz gdy miałem go już dotknąć, to usuwał się z rąk, wyslizgując się ustawicznie. Przytem uderzyła mnie jedna właściwość umysłu

mego nowego znajomego: był niesłychanie domyślny, odgadywał, przeczuwał prawie moje myśli. I tak raz, chociaż ani słowem nie zdradziłem się z tem, powiedział mi, że od pierwszego spotkania odgadł, że ja pisuję, że zajmuję się literaturą.

— Musiał książd coś czytać przezemnie napisanego — rzekłem mu, nierad sam z siebie.

— Oh! nie — odrzekł — nie mam czasu na czytanie świeckich rzeczy.

— A w jaki sposób mogłeś się książd domyśleć? — pytałem rozciekawiony.

— Instykt mi to powiedział — odrzekł, uśmiechając się słodko i łagodnie. — Wy panowie pisarze, autorowie, macie coś odrębnego w prowadzeniu rozmowy, zabieracie się do tego, jak sędzia śledczy do indagacyi obwinionego.

Czas płynął szybko; już dwa tygodnie mijało od naszego pierwszego spotkania, a ja na krok nie postąpiłem w moich badaniach, a nawet — po ostatniej powyżej przytoczonej rozmowie — straciłem był zupełnie nadzieję dopięcia zamierzonego celu.

— Nie chce się zdradzać — myślałem, i delikatność nie pozwalała mi pytać i sondować natrętnie.

Pewnego wieczoru nasz gospodarz Nowak, który zajęty służbą, bardzo mało w domu przesiadywał, przybiegł do mego pokoju ogromnie ożywiony i zaaferowany.

— Panie! — wołał z za progu jeszcze — jelenie się pokazały! Rewirowy z »sataniego dila« Sawycz doniósł mi przed chwilą, że spotkał dziś rano całe stadko, z kilkunastu sztuk złożone.

Zerwałem się od stolika, jakby prądem elektrycznym dotknięty.

— Zrobimy obławę panie Nowak! — zawolałem porywczo.

— Na nic to panie! — odpowiedział mi leśniczy. — Widać, że pan naszych rewirów nie zna, kiedy pan dobrodziej tak mówi. Na nasze mioty potrzebaby chyba było stu myśliwych i tysiąc ludzi obławy.

— No, a cóż będzie? — zapytałem ciszej, zbity z tropu i zawstydzony tem, że zdradziłem się z moją nieświadomością.

— Co będzie? — mówił leśnik tryumfująco — zrobimy zasiadkę koło wodopoju. To taka historia: widzi pan dobrodziej u nas jeleni stałych niema. Te, co ich Sawycz wytropił, to musiały tu przejść z wołoskiej strony, z bukowińskich gór, gdzieś pewno od Berhometu wilki ich napłoszyły, to tu się do nas skryły. Rewirowy powiada, że poszedł tropem i wyszedł miejsce w strumieniu pod »satanowym dylem«, gdzie one wodę pija. Tam tylko zasiąść przed wschodem słońca i strzalać pewny, ale trzeba trafić, bo drugi raz nabić już niema czasu. A po strzale wyniosą się Bóg wie gdzie, albo wrócą do swoich lasów, albo przejdą za węgierską granicę.

Wiadomość, przyniesiona przez Nowaka, poruszyła mnie ogromnie, natychmiast odwołałem Mykołę od jego sielskich zajęć, opatrzyłem sztuciec, przymierzyłem naboje z kulami i zajęliśmy się całkiem przygotowaniem do nocnej wyprawy

— Jeżeli mamy iść dzisiejszej nocy, to musimy wyruszyć zaraz, za pół godziny najdalej — przestrzegal Nowak. — Do »sataniego dylu« opętanych dziesięć kilometrów. Podnocujemy u Sawyca, a po północy zaraz ruszymy do wodopoju. Ale panie dobrodzieju ani tehać nie można, taka bestya ostrożna, że wypowiedzieć trudno; odetchnie człowiek głośniej, już hultaj, ten pierwszy prowodyr usłyszy i fakt zawróci stadko i szukaj potem wiatru w polu.

Najuroczyściej obiecałem Nowakowi, że nie odetchnę nawet głośniej i w dziesięć minut później byłem gotów do wymarszu.

Na samem wychodnem pani Nowakowa wsunęła Mykole jakieś zawiniątko w torbę.

— To kolacya dla panów — rzekła — nie zapomnij oddać im to w chacie u Sawyca.

Ruszyliśmy pospiesznie, tak, że nawet nie miałem czasu pożegnać się z moim sąsiadem.

Wieczór cały spędziłem bardzo miło przy świetle ogromnego ogniska, płonącego w chacie leśnego. Nowak i dwaj huculi bawili mnie opowieściami najrozmaitszych przygód myśliwskich i baśni ludowych. Na dworze tymczasem, choć to była dopiero druga połowa sierpnia, chwytal przymrozek, niebo się wyiskrzyło, a gwiazdy świeciły migotliwym, fosforycznym blaskiem.

Okolo pierwszej godziny, wypwszy po kieliszku wódki i zjadłszy po kawalku zimnej baraniny, ruszyliśmy do wodopaju. Nie zapomnę nigdy tej wyprawy, pełnej przeszkód i przeciwności, humor jednak dobry, spowodowany nadzieją pomyślnego polowania, sprawiał, iż nie narzekaliśmy nawet.

O dziesięć kroków poza chatą leśnego weszliśmy odrazu w dziewięzy bór świerkowy; Sawycz szedł przodem i długą laską góralską sondował grunt pod nogami; my w najkarniejszym milczeniu postępowaliśmy za nim krok w krok. Przekonałem się wówczas, że nawet nie mając żadnych przesądów, w nocy w takim borze chwytą człowieka jakiś mimowolny lęk i wspomnienia baśni o różnych nadnaturalnych potworach, których nasluchalo się w dzieciństwie, stają żywo w pamięci.

Pomimo że gwiazdy świeciły jasno i niebo było wyiskrzzone, to pod gęstemi, rozłożystemi gałęziami świerków panowała ciemność tak straszliwa, że opisanie jej słowami przechodzi granice mowy ludzkiej; miejscami tylko tu i owdzie z gnijących tu od wieków koleców-olbrzymów wydobywały się światelka jakieś, blade jednak i ementarnie, trupio błyszczące; zimno jakieś grobowe tchnęło od blasków tych, od mas tych świetlnych i w duszę się uparcie wkradało.

Macając kijem ziemię pod stopami, szedłem tuż za Nowakiem, a za mną postępowal Mykoła; nagle mimowolnie zatrzymaliśmy się wszyscy, a ja bezwiednie przeżegnałem się. Przyczyną tego zatrzymania się i chwilowego przestachu był krzyk jakiś przeraźliwy, skargi dziwnej i boleści pełen, który rozległ się gdzieś w naszym pobliżu; gdzie? nie wiedziałem napewno, bo zdawało mi się, że słyszałem głos ów straszny,

dobytający się z pod ziemi i unoszący się ponad głową pod sklepieniem świerkowych konarów, wreszcie otaczający mnie zewsząd, wokół, niby czar jakiś ohydny. Jak długo trwała chwila naszego przerażenia? nie wiem. Przerwał ją Mykoła, który pierwszy szepnął cicho :

— Pan Bóg z nami, panowie! To pułacz skalny tak zakwilil, wiele to ja razy *urodę* (potwora) słyszałem, a zawsze muszę stanąć i choć przez chwilę pomyśleć, że to jakieś dziecko opuszczone, albo dusza ratunku prosząca tak się do ludzi odzywa.

Utykając co krok, przelażąc przez pruchniejące pnie, pędząc przed sobą legiony całe błędnych, białych i zimnych ogników, szliśmy po łagodnej pochyłości; przymrozek coraz mieniejszy nie ziębił nas wcale, przeciwnie ucuwałem gorąco, ale za to utrudniał nam drogę, bo nawet w lesie marznąć już zaczęło i robiło się w dodatku do wszystkiego ślisko pod nogami.

Wreszcie po godzinie takiego marszu, godzinie, która mi się zdawała być wiekiem całym, stanęliśmy u celu. Sawycz gwizdnął zecicha, przeciągle i na znak ten stanęliśmy w miejscu. Za chwilę zbliżył się stary leśnik do mnie i, nie przemówiwszy ani słowa, wziął mnie za rękę i podprowadził kilkanaście kroków na stanowisko. Obmacawszy wkoło siebie, rozpoznałem, że mam przed sobą pień olbrzymi, wysoki pewno na jakie cztery stopy, obok zaś na wszystkie strony zwalone kłody. W jaki sposób wśród takiej ciemnicy, prowadzony nawet przez Sawycza, dostałem się tam? tego nigdy później nie mogłem sobie wytłumaczyć.

Zaczęło się nieznośne wyczekiwanie na stanowisku. Zimno pomimo *kieptara*¹⁾, pożyczonego mi przez Sawycza, na dobre dokuczać mi zaczęło; dzwoniłem zębami i zacierałem ręce co chwila.

¹⁾ *Kieptar*, krótki kożuszek bez rękawów, używany przez hu-cułów i górali węgierskich, do polowania bardzo praktyczny, grzeje bowiem, a nie tamuje wolności ruchów.

Po pewnym przeciągu czasu, który wydał mi się dziwnie długi, zacząłem z wolna rozróżniać otaczające mnie przedmioty: pień, obok którego stałem, okryty srebrnym szronem, zarysował się wyraźnie; kłody, przez które musiałem się gramolić właśnie na stanowisko, widziałem już teraz dokładnie. Spojrzałem poza kłodę przed siebie i ujrzałem niewielką powierzchnię wody, cichą i gładką, jak zwierciadło weneckie; ponad wodą unosiły się lekkie, zaledwie dla oka pochwytne obłoczki pary; ogromne łopuchy i inne liściaste rośliny zwieszały się ponad gładką powierzchnią wody i robiły wrażenie sztucznych, papierowych liści, gęsto piaskiem srebrnym obsypanych — to przymrozek tak wykryształił na nich opar, podnoszący się ze strumienia.

Z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej wkoło mnie; już mogłem dostrzedz moich towarzyszy, stojących poza sąsiedniemi pniakami; wreszcie z poza tunanu mgły ukazał się wodospadzik maleńki, u stóp którego uformowało się jeziorko owo, nad którym staliśmy.

W miarę wzmagającego się światła, życie się w borze budziło, jakieś szelesty głuche i niepochwytne wśród tej ciszy uroczystej przekradały się do moich uszu — to lis albo żbik gdzieś opodal wybierał się na wyprawę; to znowu szelest jakiś metaliczny, głośny i pewny siebie, niekryjący się, przesywał powietrze — to ptak rabuś, orzeł lub sęp opuszczał nocne legowisko i mknął w przestwor żeru szukać.

Wreszcie wpadł do mego ucha znany myśliwski szept: pst! — Odwiodłem kurki i wyteżyłem uwagę, nie jednak zrazu nie mogłem usłyszeć, tem mniej zobaczyć, wprawne jednak ucho Sawycza nie omyliło. W rzeczy samej po chwili usłyszałem dalekie jakieś dudnienie i tętent coraz silniejszy dochodził moich uszu wyraźnie już, podobny temu, jaki wydaje tabun koni, pędzących po cichym, bezludnym stepie. Serce bić we mnie zaczęło jak młotem i ręce z zimna i wzruszenia dygotały jak w febrze; każdy nerw drżał jak struna arfy eolskiej. Nigdy w życiu w żadnem niebezpieczeństwie nie

doświadczałem tak silnego wzruszenia, jak wówczas na tem górskim stanowisku.

Z przeciwnej strony strumienia kamienie z góry po stromej zboczy posypały się gradem i spadając z hałasem w jeziorko, połamały lśniące zwierciadło wody. Przemocą zatrzymałem oddech w piersiach i ukryty poza pnem, wytrzymałem wzrok na przeciwny brzeg strumienia. Wnet też ujrzałem ogromnego jelenia, cztery lanie i kilkoro cieląt, pędzących wśród drzew ku wodzie. W odległości stu sążni może ponad wodą samiec pierwszy zlagodził szybkość biegu i zaczął powoli, ostrożnie spuszczać się po spadzistym brzegu; całe stadko poszło za jego przykładem.

Jeleń wszedł pierwszy do wody tak jakoś delikatnie i przezornie, jakby bał się zmącić czyste wody strumienia, za nim wskoczyła pierwsza lania i stanęła powyżej niego, inne były jeszcze na brzegu. Samiec nachylił się odrazu i zaczął pić — lania spojrzała podejrzliwym wzrokiem wokoło. — Stałem od tych wspaniałych zwierząt najdalej o dziesięć kroków, wpatrywałem się w nie z zachwytem. Nagle wzrok mój spotkał się ze spojrzeniem lani; ciemno-szafrowe, prawie czarne jej oczy nie miały w sobie przestachu, nie — tylko prośbę jakąś niemą i tęskną zadumę i coś jeszcze, niby zapal jakiś szlachetny.

Zapatrzony w te oczy, zapomniałem o strzelaniu i dziwnego uczucia doświadczałem: nerwami odczuwałem skierowany na mnie wzrok moich towarzyszy, choć ich samych nie widziałem, jednak czułem w ich wzroku nieme pytanie: dlaczego nie strzelasz? Obojętnem mi ono było — patrzałem w oczy lani i zdawało mi się — przez halucynację zapewne — że widzę w nich ten sam wyraz, jaki mają oczy mego sąsiada, chorego księdza. Wszystko to trwało kilka sekund zaledwie. Lania wydawszy trwożliwy okrzyk, odwróciła głowę w bok i jednym susem wyskoczyła ze strumienia, wnet znikło mi z oczu sale stadko. W tejże samej chwili, na prawo odemnie huknął strzał i jeleń z wysokości może dziesięciosążniowej, po

spadzistym przeciwnym brzegu, stoczył się w przepaść i runął w zmacone wody strumienia.

Spojrzałem w bok i ujrzałem Mykołę ze strzelbą przy ramieniu, z lufy jeszcze dym wychodził. Czulem, że w spojrzeniu mojem, rzuconem na starego myśliwca, mieścił się niemy wyrzut — za brak serca. Wyrzut ten zrozumiał hucul i odpowiedział nań natychmiast słowami:

— Diwocze serce macie panie — rzekł uśmiechając się pobłażliwie. Żołnierz to z was jeszcze mógłby być, ale prawdziwy myśliwy nigdy.

— Dlaczegoż żołnierz? — zapytałem.

— Bo w wojnie — mówił dalej — człowiek serce, żeby nie wiedzieć jak miał miękkie, gubi zupełnie i robi się zwierzem sroższym, niż niedźwiedź lub ryś — krew chce pić i krwi własnej broni, a tu... et co gadać, patrzeliście tej lani w oczy jak lubasce ¹⁾ jakiej; tak nie można, czasu tracić. Wszysey czekaliśmy na wasz strzał i żeby nie to, ot tam mała polanka — tu wskazał ręką na przeciwną stronę — to byłby taki piękny zwierz przepadł.

Machnął ręką i poszedł w wodę, by wraz z Sawyczem wyciągnąć jelenia na brzeg. Obejrzelśmy zwierzynę; kula hucula trafiła jelenia pomiędzy łopatki przednie, od krzyża przeszła przez płuca na wylot i z przodu piersi wyszła. Z mordy i nozdry sączyła się jeszcze ciepła krew, nogi i zad stygły już zwolna.

Zostawiwszy Mykołę i Sawycza koło ubitej zwierzyny, zabraliśmy się wraz z Nowakiem do domu. Droga po dniu wydała mi się o wiele znośniejszą i szliśmy pospiesznie, bo przeziębłem był przez noc bardzo i jeść mi się chciało okrutnie. Z nastaniem dnia mgła nasiadać zaczęła, z każdą chwilą gęściejsza, szczyty okryte były tumanem szarym, chmurami ciężkimi, ołowianemi; temperatura ocieplała się zwolna, mróz folgował, lecz wilgotna mgła ziębila.

¹⁾ *lubaska* = w narzeczu huculskim: kochanka.

— Po białym przymrozku będzie deszcz z pewnością. Jak nie dziś, to jutro — rzekł sentencyjonalnie Nowak. Już teraz zaczyna się psi czas. Nie wiem, czy długo jeszcze pan u nas w górach wytrzyma?

Nie odpowiedziałem mu nawet, tylko przyspieszyłem kroku, a w myśli postanowiłem jak najprędzej wydostać się na równiny.

Gdy zbliżyliśmy się do bramy leśniczówki, wybiegła na nasze spotkanie pani Nowakowa, najwidoczniej niecierpliwie oczekująca naszego powrotu. Gdy zobaczyłem ją, pomimo tuszy wcale okazałej pędzącą po stromej ścieżce, doświadczyłem nagle jakiegoś złego przeczucia — i nie omyliło mnie ono.

— Nieszczęście! nieszczęście! — były pierwsze słowa przerażonej kobiety — chodźcie panowie prędzej! Mężu prędzej! No prędzejże Nowak! — wołała niecierpliwie.

— Cóż tam się stało? spytał, zbliżając się leśniczy.

— Ksiądz umiera! — zawołała, a później, gestykulując, gorączkowo zaczęła opowiadać, zwracając się to do mnie, to do męża: — Wczoraj wieczorem było zimno, a on do ciemniusieńkiej nocy spacerował po sadzie. Dwa razy wychodziłam do niego, proszę: niech ksiądz dobrodziej raczy do pokoju, powietrze zimne, aż człek kostnieje. A on mi na to panie dobrodzieju powiada: niech się pani Nowakowa nie troska o mnie, zdrów jestem, jak nieprzymierzając koń, tylko ojcowie z troskliwości zbytecznej wyprawili mnie tu, żebym wypoczął po pracy książkowej. Biedaczek nie wie nawet, że śmierć z kosą czeka już na niego. W nocy, eh! już nad ranem przybiega Hapka do mego łóżka i szarpie i woła: — Pani! pani! *Ksiądz umyrajut!* Poszłam, sądny dzień, krwi jak z dzika pełny pokój, a on sam chareczy, a twarz ma białą, gdzie tam białą — żółtą, niby woskową. Ja do niego, a on ani ręką, ani nogą ruszyć nie może. Mówię mu: A widzi ksiądz dobrodziej, co mróz znaczy, teraz chodź po księdza i po Sakramenta święte posyłaj, bo życia już w jegomości nie ma i za kureczką malusieńkie. A on biedaczek popatrzył na

mnie i pyta: Eh! tak pani myśli? Nie! to nie może być, jeszcze pożyję, bo nie splaciłem na świecie tego, co było moim obowiązkiem... Perswaduj tu takiemu, palcem ruszyć nie może, a myśli, że wieki żyć będzie. Z panem chce się widzieć — rzekła spokojniej, zwracając się do mnie — dwa razy się już o pana dobrodzieja pytał.

W tej chwili dopiero zauważyłem, że zasluchani w opowiadanie przerażonej kobieciny i dzieląc jej przerażenie, zapomnieliśmy o naszym obowiązku.

— Chodźmy, panie Nowak! — rzekłem i puściłem się ścieżką ku bramie. W sieni oddałem Nowakowi strzelbę, a sam tak, jak stałem, oblocony i w poszarpanej podczas nocnej wyprawy odzieży wszedłem do izby chorego.

W izbie mrok jeszcze spory panował, tylko w głębokim kominie płonęła jasno wielka sosnowa kłoda. Podłoga była najwidoczniej świeżo wymyta, a izba wyprzątnięta ze śladów krwi; pod nogami niemile skwierczał usypany wilgotny piasek.

Chory leżał na wznak, oczy miał w sufit utkwione, a siły tak go opuściły, że nawet nie mógł skierować oczu ku drzwiom; widziałem jednak z wyrazu twarzy, że chciał to zrobić.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem, zbliżając się do niego.

— Na wieki... — nie mógł domówić reszty.

Zbliżyłem się do łóżka i nakazując mu ruchem ręki milczenie, podniosłem jego głowę wyżej na poduszki, okryłem go lepiej koldrą i usiadłem w nogach, patrząc nań ciągle. Pewno z pół godziny leżał tak bez ruchu, tylko suchy urywany kaszel od czasu do czasu wydobywał się ze zmęczonych piersi. Twarz jego, klasycznie piękna, straciła już zupełnie cerę ludzką, powlokła się trupią, szaro-żółtą barwą, tylko oczy świeciły ciągle dziwnem ożywieniem i zdawało mi się, że wszelkie resztki życia, że dusza cała opuściła już schorzały ten organizm i weszła w oczy. Z oczu tych czytać można było dzieje żywota umierającego — a były one i piękne i dobre.

Zwolna chory zaczynał przychodzić do siebie, oddech stawał się równiejszy i nie wymagał pracy płuc tak natężonej, blask oczu zmniejszył się i chory zasnął snem lekkim, trudnym nawet do dostrzeżenia.

Pozostałem przy nim aż do obudzenia, które nastąpiło w godzinę może po zaśnięciu. Sen widocznie pokrzepił go i wzmocnił gasnące siły. — Natychmiast po przebudzeniu skinął na mnie ręką, bym się zbliżył do niego. Podszedłem.

Przemówił wówczas do mnie cichym, urywanym, ale zupełnie wyraźnym głosem:

— Prosiłem, byś pan przyszedł. Mam się o coś ważnego spytać.

Sluchałem, łowiąc uważnie uchem każdy najdrobniejszy dźwięk.

— Zauważyłem w czasie naszych rozmów — mówił dalej, przemagając kaszel — że pan zajmowałeś się naukami przyrodniczymi. Gospodyni nasza powiedziała mi dziś, że ja wkrótce umrę.

Tu zakaszlał się mocniej i trochę krwi ukazało się na białych ustach, na czole i twarzy wystąpiły gęste krople potu, w oczach jednak nie dostrzegłem ani śladu niepokoju, przeciwnie, widniały tam: rezygnacya i powaga jakaś wielka. Po chwili kaszel ustał i głos mu wrócił, mówił więc dalej:

— Zaklinam cię bracie w Chrystusie, powiedz mi, czy to prawda? Ja nie czuję jeszcze zbliżania się śmierci i wiecznego wypoczynku. Powiedz mi prawdę. Czy tak jest w istocie?

Mówiąc to, wpatrzył on mi się w oczy tak bystro i przenikliwie, że nie byłem w stanie karmić go złudzeniami; nawet dla chwilowego uspokojenia go kłamać nie byłem w stanie; zresztą widziałem, że choć wieść ta będzie dlań niespodzianką, to jednak nie przerazi go zgoła, rzekłem więc krótko:

— Tak!

Po słowie tem, wyrzeczonem dobitnie, wydawało mi się, że uśmiech jakiś słodki i wesoły prawie przebiegł mu po twarzy, trwał chwilę tylko, mignął zaledwie i znikł, ustępując

miejsca wyrazowi powagi i skupienia ducha. Oczy utkwił w sufit i przez chwilę zdawało mi się, że usta jego poruszały się niepostrzeżenie niby przy cichej modlitwie. Wnet jednak znowu popatrzył na mnie i odezwał się szeptem.

— Proszę cię więc bracie, poślij po najbliższego katolickiego kapłana. Poślij zaraz i wróć tu jeszcze do mnie.

Wyszedłem do stajni, wyszukawszy podrostka, który spełniał funkcję pastucha przy krowach leśniczego, kazałem mu sięść na deresza Mykołowego, a mego konia osiodlanego prowadzić luzem i pojechać natychmiast do najbliższej cerkiewki po unickiego proboszcza.

Gdy tak rozprawiał z głupkowskim chłopakiem, nadszedł Nowak i oświadczył, że chłopca tego posyłać nie można, bo toby się na nic nie zdało.

— Głupi jest jak but — mówił, spluwając leśniczy — i gotów zamiast księdza, cygana nam przywieść. Już jeżeli taka łaska pana dobrodzieja — dodał, kłaniając mi się — że pan swoje konie daje, to ja i sam gotów jestem jechać, byle tylko księdza jak najspieszniej przywieść. To przecie chrześcijański obowiązek.

Pozostawiłem Nowaka w stajni, siodlającego konie, a sam powróciłem do chorego.

Wbrew smutnym przepowiedniom Nowaka, mgła poranna, gęsta rosa opadać zaczęła na ziemię, niebo się wyjaśniało, nawet przez rozsuwający się tuman zdołało się przedrzeć kilka promieni słonecznych i przez małe okienko wcisnąć aż do twarzy chorego.

Zastąpiłem go jakoś pokrzepionego; zmienił nawet pozycję i obrócił się twarzą ku słońcu.

Gdy zbliżyłem się do niego, spytał mnie znowu cichym, słodkim głosem:

— Czy się tylko bracie nie mylisz? Ja nie czuję zbliżającej się śmierci.

Lzy mimowoli zakręciły mi się w oczach i odrzekłem mu:

— Jeden Bóg rozporządza życiem ludzkim. Pytalesz ksiądz, żądając sumiennej odpowiedzi, dałem taką, jaką sumienie mi podyktowało. Omylić się mogłem i żeby Bóg dał, bym się pomylił.

— A może się i nie mylisz — rzekł po dłuższej pauzie.

Potem, jakby przypomniawszy coś sobie, rzekł znowu:

— Tam pod brewiarzem na stole leży gruby zeszyt papieru zapisanego. Podaj mi go z łaski swej bracie.

Poszukawszy chwilę, znalazłem zeszyt i nie patrząc weń, podałem choremu. Przyznam się, że gdy szukając, tylko raz przelotnie rzuciłem okiem na ten zeszyt, przeczułem prawie, iż to jest pamiętnik Dawydowa i powstała nagle we mnie obawa, by on nie kazał go wrzucić w płonący komin.

Przenikliwy chory od razu odgadł moją myśl i uczucie, jakie ona wywołała, i uśmiechając się pobłaźliwie, rzekł:

— Wiem, że ciekawy byłeś bracie dziejów mego życia. Opowiadać ci nie chciałem, skromność obowiązująca kapłana nie pozwalała mi zajmować bliźniego osobistymi sprawami. Dziś, gdy mam już ze świata odejść, oddaję ci ten zeszyt.

Tu wręczył mi napowrót rękopis i jakby znużony długim zdaniem, wypowiedzianem przed chwilą, zakaszlał znowu, mocniej niż pierwej. Po chwili jednak siłą woli stłumił kaszel i mówił dalej:

— Doświadczenia, jakie zdobyłem w życiu, mogą się innym przydać. Pisujesz powieści, zużytkuj te moje zapiski, jak ci się podoba!

Bolesne jakieś wspomnienie musiało zjawić się w jego umyśle, bo skrzywił twarz, jakby go coś w sercu mocno zabolalo i zawołał prawie zupełnie głośno:

— Zdrajcą mnie tam zowią!... A nie wiedzą, że byłbym gotów przelać ostatnią kroplę krwi, ponieść śmierć w mękach najokropniejszych, żeby im tylko oczy otworzyć i na drogę, wiodącą do zbawienia, do opamiętania chociażby naprowadzić. Pojmą to kiedyś... ich prawnuki.

Głowa opadła mu znowu na poduszki i z piersi wydobył się po raz pierwszy zgrzyt jakiś straszny, grobowy; dyszał ciężko i z widocznym nadludzkim wysiłkiem. Gdy przyszedł trochę do siebie, rzekł ledwie dosłyszalnym głosem:

— Bracie, podaj mi krzyż i zostaw mnie samego. Będę się modlił.

Znalazłem na stoliku mały srebrny krzyżyk, czarno emalią misternie ozdobiony, noszący na sobie niezaprzeczone piętno kaukazkiego wyrobu, i milcząc, wsunąłem mu go w kostniejącą rękę, potem stosownie do jego woli wysunąłem się zcicha z pokoju.

Wyszedłem na świeże powietrze; słońce, jasno już teraz świecące, pociągało mnie tam. W głowie czulem zamęt jakiś, rodziła się w mym umyśle świadomość, że jestem obecny przy śmierci, nie jakiegoś pospolitego śmiertelnika, zwykłego zjadacza chleba powszedniego — ale człowieka, który byłby odegrał wielką rolę w historii swego narodu, gdyby warunki dzisiejsze nie były mu stanęły na przeszkodzie i nie doprowadziły go do przedwczesnej śmierci hen daleko na obczyźnie w dzikich karpackich urwiskach.

Myślamy temi zajęty szedłem wprost przed siebie, nie zwracając zupełnie uwagi na otaczające przedmioty; z zadumy tej wyrwał mnie głos Mykoły, który, wyrólszy jak z pod ziemi, huknął mi w samo ucho: że jelenia wraz z leśnikiem wpakowali na najętego konia i Sawycz eskortuje go tu, a on przyszedł spytać: czy nie mam mu co do rozkazania?

Wyprawilem go do sieni, żeby siedział podedrzwiami chorego księdza, i gdyby się tam co stało, dał mi znać natychmiast. Sam zaś poszedłem dalej, i usiadłszy na ławeczce wśród sadu, zacząłem z ciekawością oglądać otrzymany od chorego rękopis. Był to gruby zeszyt papieru, zapisany pewnym i bardzo czytelnym charakterem; podzielony był na rozdziały, a na końcu widniał podpis autora i data opiewająca, że był spisany w Rzymie cztery lata od dnia owego, w którym dostał się do moich rąk.

Bezwiednie prawie zacząłem czytać.

Oto treść pamiętnika księdza Jana Dawydowa:

I.

Urodziłem się na Kaukazie.

Ojciec mój Józef, syn Jana Dawydowa, generała z czasów panowania cesarza Mikołaja, był rotmistrzem w liniowym pułku dragonów, który sprawował graniczną służbę od Turcyi azjatyckiej. Matka moja, którą w dzieciństwie straciłem, była córką gruzińskiego księcia i katoliczką; ojciec mój wykradł ją z domu rodzicielskiego i poślubił potajemnie wbrew woli jej rodziców i swoich.

Rodzina moja należała do rzędu tych rodzin, dość zwykłych pośród szlachty rosyjskiej, które z ojca na syna służyły w armii i dochodzą do wysokich rang i dostojęństw; o ile dojsć mogłem, to zdaje mi się, że gniazdem mojej rodziny były początkowo naddońskie osady kozackie, ale mój ojciec był już piątym z rzędu pośród moich przodków, który służył dynastyi nie jako kozak, lecz jako oficer regularnej armii. Majątek i znaczenie rodzin tego rzędu w Rosyi zależały zupełnie od szczęścia i powodzenia ich współczesnych przedstawicieli; za życia mojego pradziada, a nawet i dziada jeszcze, Dawydowy byli u szczytu powodzenia: mieli znaczenie u dworu, wpływy w Petersburgu i stosunki rodzinne świetne. Jeneral Jan Dawydow, mój dziad, po którym nawet i imię odziedziczyłem, był tem, co w Rosyi nazywają *szlachak*: cesarz panujący był mu Bogiem, a interes dynastyi zastępował mu religię. Ojciec był już innych czasów wychowawcą: dzieciństwo jego i pierwsza młodość upłynęły w czasach rozbudzenia ducha wolności i walki z tym kierunkiem, który wprowadził był cesarz Mikołaj. Gdy mój ojciec był małym dzieckiem, wówczas kwitł i został stłumiony związek dekabrystów; młodość jego zatruły ponętne, a tak zabójcze dla młodych a wrażliwych dusz, utwory Lermontowa. Dziad mój nie lubił swego jedyne

syna; czuł, że w tym wrażliwym i czułym młodzieńcu niema materyału na rosyjskiego generała. Dla popełnienia go w służbie, dla zachęcenia go do rzenia wojennego, postarał się o wysłanie go na Kaukaz — ojciec to przyjął za rodzaj kary i stracił serce do swego rodzica na zawsze.

Wiem o tem wszystkiem tak dokładnie, bo później, gdy już byłem dorastającym, i nawet prawie dorosłym młodzieńcem, to ojciec mój, który mnie kochał bardzo, choć po swojemu, często opowiadał mi o tych wszystkich zdarzeniach i okolicznościach.

W drugim roku służby na Kaukazie poznał on moja przyszlą matkę i od pierwszego spojrzenia zakochał się w niej na zabój. Ojciec jej stary książę Czerkawadze, człowiek dumny i zagorzały stronnik patriotycznej gruzińskiej partyi, ani chciał słyszeć o wydaniu córki za rosyjskiego oficera i schizmatyka. Przywiązanie jednak wzajemne moich rodziców nie dało się zwalczyć. W owych romantycznych czasach na Kaukazie bardzo było w modzie pomiędzy oficerami: wykradać miejscowe panny i żenić się z niemi. Gdy ojciec zdradził się przed kolegami ze swym zamiarem — sam mi to opowiadał — to ucieszyli się tem nadzwyczajnie i dopomogli mu wszelkimi siłami. Związek moich rodziców, zrodzony pod tak romantycznymi wróżbami, nie był szczęśliwy, brakowało mu błogosławieństwa Bożego, które zazwyczaj przez usta rodziców na głowy dzieci splywa.

Nasamprzód stary generał, dowiedziawszy się o ślubie syna, rozgniewał się okrutnie, pokrzyżowało bowiem to małżeństwo jego plany ożenienia syna z bogatą i posiadającą potężne stosunki dziedziczką; odmówił też natychmiast synowi wszelkiej pomocy materyalnej tak, że został on zaraz po ożenieniu prawie nędzarzem, bo żołd oficerski nie wystarczał mu na wino i tytoń, a cóż myśleć o kosztach utrzymania domu. Los mojej matki musiał być od początku jej małżeństwa smutny.

Od chwili, kiedy inteligencya moja zaczęła się rozwijać, jako pierwsze, niezatarte niczem wrażenie, wyrzyła się w mej

pamięci cudownie piękna, lecz wyrazem smutku zasepiona twarz matki. Zdaje mi się, że dziś jeszcze widzę jej głowę pochyłą nad moją kolyską, jej oczy wpatrzone w moje. Smutne, tęskne piosnki, które mi śpiewała, dźwięczą dotychczas w mej duszy; słów tych, jej rodzinnego języka, nigdy dokładnie nie nauczyłem się rozumieć, lecz nuta pozostała własnością mej duszy — jedynem może dziedzictwem po przedwczesznie zmarłej.

Ojciec rzadko w domu przebywał, chociaż gdy był, to pieścił mnie i całował i bardzo często płakał. Ze pożycie moich rodziców nie musiało być szczęśliwe, wnoszę z wielu szczegółów, które z drobiazgową dokładnością przechowała moja dziecięca pamięć. Raz pomnę, gdy już musiałem liczyć około pięciu lat, przez dłuższy czas, może przez miesiąc cały byłem sam z matką. Ona płakała coraz częściej; od czasu do czasu, patrząc na mnie ze smutkiem i boleścią, niby mimowolnie wyrwały się jej słowa: biedne dziecko! biedna sierota!

Różni jacyś starsi ludzie przychodzili wówczas do naszego domu, którzy zabierali sprzęty, matka sama oddawała im różne kosztowności i piękne suknie. Czulem już wówczas doskonale, że dzieje się coś, co musi sprawiać matce wielką przykrość, nie śmiałem jej jednak zapytać; instynktem przywiązanego dziecka przeczuwałem, że sprawiłoby to jej było jeszcze sroższą boleść. Ciekawość mnie jednak paliła; spytałem starego kozaka, służącego mego ojca, który pozostał przy nas i swoim sprytem karmił nas oboje. Na zapytanie moje, starowina zmieszal się i odpowiedział, że ojciec pojechał w sprawach służbowych, że wróci z pewnością, że pani martwi się niepotrzebnie.

Po wyrazie jego poczeiwej, otwartej twarzy poznałem, że nie mówił prawdy; rozbudziło to moją ciekawość tem silniej.

Tegoż samego dnia usłyszałem w kuchni ożywioną rozmowę. Stara Józefowa, Polka, wdowa po zabitym w bitwie z górcami polskim żołnierzu, która od dwóch lat służyła u nas jako kucharka i bardzo się do mej matki przywiązała, kłóciła się ze starym kozakiem Siańkiem; słowa przez otwarte

okienko od kuchni dolatywały aż do małego ogródka, gdzie byłem zajęty ścinaniem kwiatów, mając to najświętsze przekonanie, że siekę lby muzułmańskie. Słowa: »pan, pani, niegodziwość, ohyda, nieszczęśliwa, biedne dziecko«, obijały się o moje uszy co chwila. Podsunąłem się pod same okno i zacząłem podsłuchiwać; Siańko mówił ciszej, ale głos Józefowej grzmiał jak pozycyjne działo.

— A ja ci powiadam kozacze rozbójniku — mówiła kobieta lamany polsko-ruskim językiem, którego nauczyłem się i rozumiem doskonale — a ja ci powiadam, że kara Boska zejdzie na was obydwóch, za biedną tę gołąbkę. Kara Boska dopust wszelaki na tym świecie, a ogień piekielny najmocniejszy na tamtym. Zobaczycie! Zobaczycie!

— Cóż pan winien, że go po służbie posłali do jeneral-gubernatora, *naczalstwo* każe, wraży syn musi. Tak, tak, Józefowo, gołąbko!

— Co ty mi rozbójniku, *goloworezie* będziesz kota ogniem odwracał — krzyknęła z furją i stuknęła mocno nogą. — Patrzcie mi go, jaki mi lis, co się w cielátko przerzuca. Niby to ja nie wiem, niby to mnie kucharka od majora Tatiana Sidorowna nie opowiadała. Nie broń, nie gadaj, on taki sam, jak i ty — biedną gołąbkę chcecie zabić, mówicie sobie: niech z żalu ginie. Wiem, wiem. Ot tobie powiem, że wiem, gdzie nasz pan się podział, gdzie pojechał.

— Et, babskie gadanie — szepnął przez zęby Siańko, i machnąwszy ręką, zmierzał ku drzwiom.

— Myślisz, że nie wiem? — krzyknęła rozgniewana do reszty jego milczeniem Józefowa. — Ot, tobie powiem, że wziął urlop na miesiąc i pociągnął się za tą *aktryśą*, co tu śpiewała, za tą paskudnicą, co miała gębę zmazaną wapnem i kraską z buraka. Ot widzisz, że wiem!

— Cicho babo! Milcz! — zawołał kozak, zawracając na miejscu i stanowczym giestem nakazując Józefowej milczenie. — Długie włosy, rozum krótki! Ty panią kochasz, chwalisz się, że ją kochasz. Ot, niechby ona raz przypadkiem posłyszala

twoje gadanie i... już byłoby po niej. Takie to delikatne. Ty babo miej rozum, ty wiesz, człowiek grzeszny, człowiek nie święty, a i święci grzeszyli. Ot panu naszemu, Josifu Iwanowiczu, trafiło się, że zblądził; komu się nie trafi. Ale ty babo mierz, i naszej pani ani słowa nie mów, bo na sumienie weźmiesz swoje jej chorobę, albo śmierć nawet.

Przy słowach tych, wypowiedzianych pewnym, przekonującym glosem, gniew Józefowej ustawał, topniał, aż wreszcie we łzach się obfitych rozplynął.

— O dolaż moja nieszczęśliwa! — zawołała, szlochając gorzko. — A bodaj tę pluchę kazańską, tę niechluję pogańską, tę Tatianę Pan Bóg wszechmocny za to pobil! Bodaj ona ziemi swej rodzonej nie ujrzała! Bodaj w tym zakazanym, pogańskim kraju głowę swą rozczochraną położyła. Taż ona wszystko mojej gołąbce wczoraj jeszcze wyśpiewała.

Do śmierci nie zapomnę wściekłego głosu, jakim Siańko wygłosił straszne przekleństwo; później do uszu moich doleciał odgłos trzaśnięcia drzwiami, i ucichło w kuchni zupełnie.

Rozmowa ta co do słowa utkwiała w mej pamięci, choć wówczas nie rozumiałem jej i nie mogłem pojąć, co w niej było tak okropnego; siłą jednak kochającego serca zrozumiałem, że coś strasznego grozi mojej matce, że spotkała ją jakaś straszna niesprawiedliwość i połączona z nią boleść ogromna. Bezwiednie wybuchnąłem płaczem i czempędzej pobiegłem do matki.

Zastąpiłem ją samotnie siedzącą na niskiej otomanie, z której przykrywający ją dawniej perski kobierzec zabrali dzień przedtem wierzyciele ojca. Nie plakała, tylko zaognione jej oczy pałały dziwnym jakimś blaskiem, a biała jej cera przybrała była błękitne jakieś odcienie. Wbiegłszy do pokoju, stanąłem przed nią, i nie mówiąc słowa, spojrzałem na nią pytająco; ona domyśliła się snać, że w mej dziecięcej duszy zrodziła się świadomość jej niedoli, bo schwyła mnie na kolana i zaczęła mnie ścisnąć, pieścić i całować.

— Synku mój — szeptała do mnie z niewysłowioną słodyczą — bądź ty inny. Synku mój, miej ty serce ludzkie, nie wilcze. Dziecko, dziecko, miej ty zawsze Boga w sercu.

To był ów stanowczy dzień w mem życiu, od którego począwszy, pamiętałem już najdokładniej wszystko, co się wkoło mnie działo. Wspomnienia to bolesne i krwawe, a jednak wielu, ach wielu moich rodaków nie wynosi z lat dziecinnych wspomnień jaśniejszych, sercu miłszych, dla duszy zdrowszych.

W kilka dni później ojciec powrócił. Był smutny i złamany; świeżość młodości z jego oblicza znikła wówczas i już nigdy nie powróciła.

Przyjechał w nocy, ja spałem już w swem małym łóżeczku opodal od matki, usłyszałem jego wejście; ale udałem że śpię, a tymczasem przysłuchiwałem się i przypatrywałem wszystkiemu, co się w pokoju działo. Drżałem jak liść osiczyzny, jednak najłżejszym ruchem nie zdradziłem się, że czuвам.

Ojciec wszedłszy, stanął przed matką, która w tej chwili przestała się modlić i nie mówiąc ni słowa, patrzył na nią długo, długo; ówczesny wyraz jego oczu pozostanie mi również pamiętny na zawsze. We wzroku tym była cała historia życia mego nieszczęśliwego ojca; ja dziecko wówczas, a pojąłem odrazu, co wzrok ten mówił. Były w nim: i boleść straszna, i skarga żalсна, i przyznanie się do winy i błaganie przebaczenia a zapomnienia. Twarz jego kureczowo się krzywiła, a zalamane, splecione palce trzeszczały glucho. Matka podniosła głowę i popatrzyła nań. Scena ta niema trwała chwil kilka. Później on osunął się do jej kolan, zaszlochał cicho, a ona pochyliła się nad nim i pocałowała go w czolo.

W tejsze chwili rozczulenie tak gwałtowne opanowało całą mą istotę, że rozplakałem się głośno i długo, długo szlochałem, zanim udało się obojgu rodzicom utulić mnie i uspokoić. Nie pamiętam już nic więcej z tej nocy, płacz mój skończył się snem twardym.

Nazajutrz powrócił dawny porządek w domu i było tak jakby ojciec nigdzie nie był wyjeżdżał, tylko jasna cera i ru-

mieńce nie powróciły już nigdy na twarz mej matki, a ów błękitnawy odcień, który ujrzałem po raz pierwszy w czasie dłuższej nieobecności ojca, wzmagał się coraz bardziej i zmieniał się zwolna w szary jakiś, straszny cień.

Pamiętam również, że od owego czasu nie było już nigdy sprzeczek pomiędzy moimi rodzicami i oboje zaczęli się mną więcej zajmować i pieścili mnie z większą czułością niż dawniej; szczególnie w obejściu mego ojca ze mną odczułem zmianę ogromną, a dziecięcy nieomylny instynkt powiedział mi odrazu, że ojciec kocha mnie teraz więcej niż dawniej — i ja go wówczas dopiero pokochałem.

Wkrótce potem zaczęła się moja nauka czytania, udzielał mi jej sam ojciec i pamiętam, że był dumny z mej pojętności i chwalił się nią przed odwiedzającymi nas oficerami. W rzeczy samej nie pamiętam, jak i kiedy nauczyłem się czytać, była to widocznie zabawka, nie praca, kiedy nie wryła mi się w pamięć.

Okres ten, najszcześniejszy w mem życiu, pozostawił mi najwięcej miłych wspomnień. Pamiętam n. p. pewien dzień uroczysty, w którym przyszła z Petersburga nominacya dla mego ojca na wyższy stopień w armii. Oficerowie z całego pułku zeszli się powinszować mu tego odznaczenia; później był u nas wieczór z wystawną kolacyą, przy której grała muzyka pułkowa. Matka wystąpiła w paradnej sukni z termolamy, i pamiętam, że ślicznie tego wieczoru wyglądała; mnie przystrójono w karmazynową ezerkieskę i przypięto mi do boku mały, w srebro oprawny, jataganik, którym mogłem daleko dokładniej ścinać kwiaty, niż dawniej kijem. Siańko zhardział od owego dnia do tego stopnia, że prawie nie chciał rozmawiać z ordynansami innych oficerów i tłómaczył się przed Józefową, że nie wypada mu już być za pan brat z nimi, jemu, służącemu majora i komendanta drugiego dywizyonu w pułku. Po kilku dniach wróciło wszystko znowu do dawnego porządku.

Wkrótce później dostałem nauczyciela. Nie był to stały nauczyciel, któryby mieszkał u nas i ciągle się mną zajmował.

Nie! był to porucznik z naszego pułku, Polak, za jakąś polityczną winę zesłany na Kaukaz, jako prosty żołnierz; odwagą jednak, męstwem nieustraszonem i przytomnością umysłu uratował on razu pewnego oddział, na który napadli w górach zbuntowani Czerkiesi i za to awansowano go na oficera.

Dziwny to był człowiek ten pan Kotłowski; przez trzy lata, w których codziennie go widywałem, nie dojrzałem nigdy na jego wyschłej i ogorzalej twarzy uśmiechu, ale za to nie gniewał się, nie unosił nigdy. Uczyl mnie elementarзовych nauk, opowiadając mi najrozmaitsze bajeczki, a ja z nich czerpałem naukę, niedomyślając się tego nawet. Oprócz tego był zapalonym myśliwym i przyrodnikiem, i miał ogromny zbiór ptaków wypchanych. Mieszkał w dwóch małych izdebkach, wynajmowanych od Ormianina, naprzeciwko naszego domu; biegałem więc do niego często i nauczyłem się wkrótce: jak który ptak się nazywa, jakie życie prowadzi, gdzie się gnieździ i czem się żywi. Mój ojciec cieszył się ogromnie mojami postępami i zawsze, gdy zebrano się u nas kilku oficerów, to wyciągał mnie na egzamin, i później pytał gości, czy znali kiedy malca, któryby w tym wieku tyle umiał?

Kochana moja matka dodawała wówczas, że boi się, iż ja wkrótce będę więcej umiał od niej i żartem mawiała do pana Kotłowskiego, że i ona zacznie brać lekye od niego, by jej moja wiedza nie zawstydzała. Kotłowski zaś odpowiadał wówczas z największą powagą, że nigdy nie jest zapóźno zabrać się do nauki i że nikt nie powinien wstydić się pracy nad zwiększeniem zasobu swej wiedzy.

Od tego Kotłowskiego dowiedziałem się po raz pierwszy: co to jest ojczyzna?

Okoliczności, towarzyszące tej chwili, od której rozpoczęła się druga epoka mej świadomości, epoka wyższa i pełna już marzeń i rozumowań nawet, zapamiętałem również dokładnie. Było to tak:

Pewnego dnia na wiosnę, gdy miałem już siódmy rok, zauważyłem w naszym garnizonie ruch niezwykły: oficerowie

i ordynansi przychodzili bezprzestannie do mego ojca, który był komendantem miejscowej załogi; gońcy jacyś, na zziąanych, potem i kurzem okrytych koniach, przybiegli do kwatery ojca, starsi z sąsiednich gmin czerkieskich zjawiali się również i z pokornemi minami tłumaczyli coś ojcu. — Wszystko to, razem wzięwszy, zaintrygowało mnie ogromnie, wymknąłem się więc do kuchni, aby zasięgnąć języka od Józefowej, która była we wielu wypadkach moją encyklopedyą i pod względem mego ówczesnego wykształcenia i znajomości życia położyła była prawie takie same zasługi, jak i Kotłowski.

W kuchni zastałem dwóch podoficerów dragońskich i Sianka, który perorował coś zawzięcie i namiętnie wymachiwał rękami. Obecni nie zauważyli nawet mego wejścia; weisnąłem się w kąć i niepostrzeżony przez obecnych słuchałem:

— Psy niechrzczone, rozbójniki, *goloworexy!* — wrzeszczał Sianko — cierpliwość chrześcijańska musi się wyczerpać. W biały dzień napadli złodzieje na konwój, czterech dragonów zrabali, pocztyliona skluli tak, że dogorywa już, i *sunkę* (torbę pocztową z korespondencyami i pieniędzmi) z *kaxionnemi* (rządowemi) pieniędzmi zabrali. Cały *aul* (osada czerkieska) kazalbym za to wysiec; kazalbym wywieszać buntowników do jednego.

— Ależ bo i *maladey* sprawne ci gorey — mówił jeden z podoficerów. — Niema co mówić, sprawili się cicho: Patrol, który prowadził *xwodny*, (starszy podoficer) Liwuchyn, nie był dalej od tego miejsca, jak na wiorstę, i dragony nawet jęku nie słyszeli.

— Musiało ich być, tych rozbójników tyle, że naszych tak obskoczyli raptem i zadławili, że nawet strzelić żaden nie miał czasu. A silnie tną szelmy! dragonowi farfurnemu łotr któryś oddzielił głowę od kadłuba, jak nie przymierzając Józefowa kurczęciu — dodał drugi podoficer.

— Mniebyś przynajmniej nie mieszal do tego — szepnęła z niechęcią Józefowa i zatopila się w ustawionych przy ogniu rondlach.

— Eh! co tu gadać — zabrał znowu głos Siańko — nasz Josif Iwanowicz, choć go do rany przyłóż, ale na *koman-dira* (komendanta) za miękki człowiek. Ot! albo i teraz: ci *starszyny* zbójckie byli tu, pokłonili mu się, czołem bili, nałgali, że oni o niczem nie wiedzą, i on ich puścił, a jabym ich był kazał powiesić, i spokojby odrazu nastal i buntu śladby zaginał. Powiesić! powiesić, to najlepszy sposób!

— A, poganinież ty obmierzły! — zawołała nagle i niespodzianie kucharka, biorąc się jedną ręką w bok, a drugą, w której trzymała dymiącą warzechę, grożąc kozakowi. — A czyż to ty nie jesteś gorszy zbój, niż ci Czerkiesi? — wołała coraz groźniej. — Jemu tylko na myśli knut i szubienica. A nie masz ty sumienia! A cóż winni ci ludzie spokojni, że z tureckiej strony wpadli sultańscy Czerkiesi i pocztę rozbili. Wiem ja, pogańska duszo, że tybyś krew ludzką pił, a bo to tacy, jak ty, nie znęcali się nad naszymi katolikami, nad wierzniemi dziećmi Matki Boskiej, a bo takie brodacze, jak ty, nie karmili koni w kościołach, nie katowali sług bożych? Oh! patrz go, onby zaraz wieszal. Chwała Bogu, że nasz pan nie taki.

— Milez babo! — krzyknął kozak — a nie, to ci nahajem pysk zamknę. Czy to nie wiesz, że carska służba nie družba, że: *kak był' pa siemu — tak był' pa siemu*, że tu serca niema. Patrzcie na nią, jaka mi katoliczka, jej serca potrzeba. Nie stul mi tylko gęby, to powiem ja panu, że ty z Kotłowskim i z kapelanem dziecko mu na lącką wiarę przerabiacie. Czekaj, będziesz ty na starość na suchej kobyle oklep jeździła.

W tej chwili usłyszałem głos Kotłowskiego, wzywający mnie do lekcyi; czempredzej więc opuściłem kuchnię i wbiegłem do pokoju, przeznaczonego na »szkołę«.

Choć rozmowa żołnierzy i kucharki rozciekawiała mnie bardzo, nie pytałem jednak dnia tego mego nauczyciela o jej znaczenie, bo wstydziłem się przyznać, że podsłuchiwałem w kuchni.

Nazajutrz po opisanych wypadkach, rzeczy przybrały groźniejszą postać: Rozesłane patrole dragońskie przyniosły wieści o szerzącym się buncie; o tem: że auly sąsiednie opuściły swe dawne stanowiska i umknęły w góry; jeden z podjazdów, który zapuścił się dalej w góry, nie wrócił zupełnie, a ludzie, którzy umknąć zdołali, przynieśli smutną wieść o zupełnem rozgromieniu tego oddziału przez przemagającą liczbę czerkieskich jeźdźców.

Wieczorem tego dnia, przed naszym domem rozległ się grzmot bębnow i oddział piechoty, wezwany z sąsiedniej fortyfikacyi, przedelflowawszy przed moim ojcem, rozłożył się obozem na sąsiednim placu. Gwar i hałas panował całą noc; u nas zgromadzeni oficerowie naradzali się nad sposobami, jakich użyć potrzeba do stłumienia rokoszu. Moja matka siedziała w drugim pokoju wzburzona i niespokojna; tego wieczora po raz pierwszy usłyszałem suchy, ostry kaszel, wydobywający się z jej piersi, oczy jej świeciły gorączkowo.

Mnie udało się wśliznąć do pokoju, gdzie oficerowie, pijąc herbatę i paląc papierosy, dysputowali zawzięcie. Ojciec siedział zadumany, podparłszy głowę na dłoniach; nie nie mówił, tylko nożem przesuwiał okruszyny chleba, tworząc z nich dziwaczne jakieś floresy; czoło jego było sfaldowane, a w oczach dziwny jakiś niepokój z niesmakiem połączony. Kotłowski również milczał, złożywszy ręce na piersiach; oblicze jego suche i jakby uwędzone, nie zdradzało myśli nurtujących pod czaszką, ani uczuć drżących w sercu, tylko oczy duże, siwe, przybrały dziwny jakiś blask, świeciły jak klinga czerkieskiego jataganu; a z pod długiego, na dół zwisającego wasa wrywało się krótkie, siłą woli tłumione westchnienie.

Nagle mój ojciec wstał z miejsca i kłaniając się oficerom, rzekł:

— Teraz panów pożegnam. Jutro więc ze świtem w pochod! Okoliczności, które będą towarzyszyć naszej wyprawie, zdecydują o dalszem naszym postępowaniu. Daj Boże, żeby

sam widok wojska cesarskiego i powaga władzy poskutkowały i żeby się obeszło bez krwi przelewu.

Uklonił się wszystkim wkoło i oficerowie wyszli. Jeden tylko Kotłowski został w pokoju i długo jeszcze z ojcem rozmawiał.

Następnego dnia, przed świtem, wojsko ruszyło z miasteczka.

Ojciec mój z płaczem żegnał matkę, a ona długo leżała mu na piersi, szlochając cicho. Wreszcie ojciec pierwszy przerwał pożegnanie, uściskał i mnie i siadł pospiesznie na swego ulubionego, jak dukat lśniącego, karabaehskiego wierzchowca. Koń wspiał się, zarżał radośnie i za chwilę widzieliśmy, jak już szedł na czele oddziału.

— Pewne zwycięstwo! — zawołał pozostawiony z nami Sianko. Dargal tak zarżał, jak koń, pewny, że idzie na zwycięzki bój. Ach czemuż mnie pau nie wziął z sobą?

Odczułem to najwyraźniej, że słowa kozaka zrobiły mej matce nieokreśloną jakąś przykrość; z niechęcią spojrzała na wiernego sługę i wzięwszy mnie za rękę wróciła do swego pokoju. Tam uklękła i długo się modliła ze swej malej, w srebro oprawnej, gruzińskiej książeczki. Później i mnie poleciła uklęknąć obok siebie i kazała powtarzać słowa modlitwy, która utkwiała mi w pamięci na zawsze.

— Panie wszechmogący, nie racz nas karać za winy ojców naszych — wymawiała głośno i wyraźnie każde słowo, a ja powtarzałem za nią — lecz przebacz nam w niezmiernem miłosierdziu Twojem.

Modlitwa trwała dość długo, gdyśmy ją skończyli, matka usiadła na sofie i nie mówiąc słowa wpatrywała się we mnie; od czasu do czasu lzy jasne, duże zjawiały się na jej czarnych rzęsach, wówczas przyciskała mnie do piersi i szeptała czule, pieszczotliwe słowa.

Okolo ósmej godziny usłyszeliśmy głos dzwonka, to kapelan katolicki naszego pułku, który tu sobie w opuszczonym budynku rządowym urządził kapliczkę dla katolickich żołnierzy,

wzywał wiernych na modlitwę. Jakby prądem elektrycznym tknięta, zerwała się moja matka z sofy i zawoławszy Józefową, kazała jej zebrać się natychmiast i iść wraz z nami do kościoła.

Ubogi to był, obozowy prawie kościółek, z opuszczonego magazynu wojskowego przerobiony na dom Boży. Ksiądz w szatach kapłańskich stał przed ołtarzem, zbitym z desek i okrytym skromnym, białym obrusem, darem mojej matki. Nawa była prawie zupełnie pusta: nas troje, kilku inwalidów i dwóch czy trzech Ormian katolików, stanowili cały zastęp pobożnych.

Tego dnia zrozumiałem po raz pierwszy, co to jest modlitwa; poczułem węzły, łączące człowieka z Bogiem. Tak mały jak byłem wówczas — dziecko bezsilne — zrozumiałem, że życie ojca mego spoczywa w mocy Przedwiecznego, że On kierować będzie kulami wśród boju. O jakże często w późniejszym życiu wspomnienie tej chwili, tej pierwszej modlitwy z samowiedzą stawało mi żywo w pamięci.

Gdy Msza się skończyła i ksiądz zaintonował po polsku modlitwy za konających, to z dziwnym drżeniem i wzruszeniem łączyłem mój głos z donośnym i pewnym głosem Józefowej; moja matka, nieznająca tego języka, wzrokiem i myślą się tylko modliła. Promień światła słonecznego, padający przez niskie okratowane okienko oświetlał całą jej piękną twarz; wówczas dostrzegłem, że twarz ta była nieziemsko blada, że oczy jej okrażały sine, żelazisto-szare obwódki, a na białem jej czole wystąpiły drobne, lecz gęste krople potu.

Po skończonej modlitwie, matka wzięwszy mnie za rękę, wyszła pospiesznie z kościółka; czulem że jej ręka była okryta również zimnym, niemylim potem, przytem drżała gorączkowo.

Resztę dnia przepędziliśmy, nasłuchując, czy nie jedzie kto od strony gór? Nikogo jednak nie było.

Dopiero na trzeci dzień około południa przypędził służbowy dragon na spienionym koniu i oznajmił, że dniem przedtem wojsko stoczyło krwawą potyczkę z oddziałem powstań-

ców, że wyparło ich za granicę i wzięło kilkunastu jeńców. Ojciec mój wyszedł cało z tej rozprawy.

Patrzałem na twarz matki, gdy słuchała sprawozdania żołnierza: malowała się na niej radość, zmieszana z dziwnym jakimś smutkiem; już wówczas zrozumiałem, że raduje się tem, iż ojciec nieranny, lecz że smuci się przelewem krwi bliźnich.

W nocy tegoż samego dnia nadeiagnął zwycięzki oddział. Szum i gwar wyrwał mnie ze snu; zerwałem się pospiesznie i jako tako przyodziawszy się, pobiegłem na spotkanie ojca. Zsiadał właśnie z konia, uściskał mnie serdecznie, lecz kazał natychmiast iść z powrotem do łóżka. Obok ojca ujrzałem pana Kotłowskiego, był blady i miał rękę na temblaku.

Kilka dni po powrocie z wyprawy panował w naszej kwaterze zamęt i niepokój taki sam, jak przed nią: oficerowie zbierali się tłumnie, to przychodzili, to wychodzili; dosłyszałem z rozmów urywanych, że oczekują na kuryera od głównodowodzącego generała. Jeńców przyprowadzonych trzymano na odwachu pod silną strażą.

Wreszcie kuryer nadjechał.

Pamiętam najdokładniej, jak ojciec z otwartą depeszą w rękę wpadł do pokoju, w którym odbywałem lekcję z Kotłowskim, i nie zwracając uwagi na mnie, zawołał do mego nauczyciela:

— Najgorzej! Nie może być gorzej! Rozkaz: trzech najwinniejszych powiesić! Reszta na posilenie.

Kotłowskiego musiała rana świeżo zabołec, bo syknął boleśnie i usta zacisnął, po chwili dopiero rzekł spokojnie:

— Nie nasza wola! Niech giną, jak i inni zginęli!

Gdy po skończonej lekcji, wyszedłszy na dziedzińczyk przed domem, ujrzałem ze zdziwieniem, jak żołnierze i cieśle z miasta wkopywali wysokie jakieś słupy na placu, tuż przed naszym domem. Tłum ludu gromadził się wkoło nich, coraz to większy; tłum ten to szeptał coś cicho i złowrogo, to znowu śmiał się i żartował bezmyślnie, bydlęco. Pluton dragonów

przejeżdżał miarowem stępem przez plac, starając się odsuwać gromadzący się lud od pracujących rzemieślników.

Nikt nie nie mówił przedtem: do czego mają służyć te straszne, czarne słupy, a jednak jakiś dziwny, zimny dreszcz, który przejął naówczas całą moją istotę, zaspokoił odrazu moją dziecinną ciekawość. Stałem osłupiały, zdrętwiały, zapatrzoney we wznoszącą się szubienicę. Nikt sie mną tego dnia nie zajmował, śnać wszyscy, przejęci grozą zdarzeń, zapomnieli o mnie.

Sam nie wiem, jak długo stałem zapatrzoney w czarne, haniebne narzędzie śmierci; straciłem był wówczas wszelką rachubę czasu, lęk jakiś okropny, połączony ze straszliwą ciekawością, ubezwładniły mnie zupełnie. Śmiechy i żarty nawpół pijanych, garnizonowych dziewczek, miżdrzaących się do odbywających służbę patrolową żołnierzy, udarzały mnie ostrym cierniem wprost w serce.

Tymczasem od strony niedalekiego morza powiał wiatr zimny i przeraźliwie świszczący; horyzont nagle z jasnego stał się posepnym, a chmura ciężka, czarno-brunatna nasunęła się nad miasteczko i przesłoniła słońce, przed chwilą tak jasno świecące.

Grzmot głuchy, niby głos jakiś podziemny rozległ się właśnie w tej chwili, gdy wbijano ostatni gwóźdź w szubienicę.

Potem... ach potem... wyprowadzono skazanych. Stali oni wtłoczeni pomiędzy żołnierzy, ponad którymi polyskiwały jasno polerowane bagnety; odgłos bębnow żołnierskich klócił się z hukiem grzmotu niebieskiego. Tłum zamilkł i stał poważny i cichy, niby skamieniały.

Pamiętam, jak dziś stoją mi zawsze przed oczami postacie tych ludzi na śmierć wiedzionych. Byli rośli i piękni, a z twarzy ich biła silna wola i pogarda śmierci. Wstępowali na haniebne rusztowanie, jak na stos ofiarny i żaden nawet nie jęknął.

Gdy pierwszy z nich zawisł na sznurze, czarna chmura odkryła swe ogniste łono i piorun zygzakowaty, żarząco-jaskrawy

przeszył powietrze, oslepiając mnie na mgnienie oka. Gdym siłę wzroku odzyskał, ujrzałem już drugiego, drgającego w konwulsjach przedśmiertnych. Rozpacz jakaś bezwiedna chwyciła mnie za serce, wpilem drobne swe ręce w ogrodzenie ogródka i zdawało mi się, że lada chwila stracę przytomność.

W tej chwili uczulem, że jakaś ręka ciężka i bezwładna oparła się na mem ramieniu, odwróciłem oczy i ujrzałem — Kotłowskiego. Twarz jego ogorzała, zazwyczaj tak spokojna, mieniła się bólem straszliwym, kurczyła się i krzywiła dziwnie, oczy jasne przybrały dziwną jakąś ciemno-złotawą barwę i płonęły, żarzyły się jak węgle, lśniły jak karbunkuly.

W uniesieniu najśrodszej boleści, chwyciłem mego nauczyciela za szyję i oparłszy głowę na jego piersi, szlochając, zawołałem:

— Za co oni giną? Kto ich kazał zabić?

On uśmiechnął się strasznie, uśmiechnął się tak, jak lew bezbronny, zamknięty za kratą i rzekł:

— Ci ludzie giną z rozkazu waszego cesarza.

— Za co? za co?! — wołałem, płacząc.

— Ty tego dziecko nie rozumiesz — oni giną za ojczyznę — odrzekł i pogrążył się w głęboką zadumę.

— Co to jest ojczyzna? — szepnąłem, przemagając dławiające mnie kurcze w gardle. — Powiedz! ach powiedz mi, co to jest ojczyzna?

On na te słowa wyprostował się nagle, jedną zdrową ręką postawił mnie na ziemi i patrząc mi w oczy, mówił, lecz mówił niby sam do siebie:

— Po co pytasz dziecko o to? Wy, wy ojczyzny nie macie. Wasza ojczyzna, to car samowładny. Tyś malcze z rasy służalców i sam służalcem będziesz. Ty nie potrzebujesz nawet znać dźwięku tego boskiego słowa.

Zacząłem jeszcze żałośniejsz plakać i powtarzałem uparcie:

— Powiedz mi: co to ojczyzna?

Przy słowach mej prośby wyraz jego oblicza miękł zwolna, wreszcie w oczach jego zabłysła czulość jakaś, niewidziana

tam nigdy przedtem i żalność promienna; usta drżeć mu zaczęły i łza stoczyła się na długi, zwisły wąż.

— Chcesz, to ci powiem! — zawołał nagle. — Ojczyzna, moje dziecko, — to jest wszystko, co człowiek ma najdroższego, to ziemia, na której się zrodził, to niebo, zasiane gwiazdami, które świeciły nad jego kolebką; to pieśni matki i piastunek, to opowieści ojca i jego przyjaciół, to wspomnienia chwały przodków, poległych w obronie wiary i wolności, to blaski zórz, to szумы wiatrów, to szmery strumieni, to wonie kwiatów — to dusza narodu. Ty tego nie zrozumiesz, boś jest synem tych, którzy pracowali i krew przelewali na to, by sąsiednim narodom ojczyznę ich wydrzeć. Nie słuchaj mych słów, lepiej żyć bez ojczyzny — to ciężar.

Pomimo przestrogi słuchałem tych słów natchnionych i wryły się one wyraźnie w mą dziecienną duszę.

Później, z latami coraz wyraźniej pojmowałem znaczenie słów mego pierwszego nauczyciela i z goryczą przyznałem im zupełną słusność; rozumiałem, że my, Rosyanie, nie mamy takiej ojczyzny, jak ją mają inne narody ziemi.

Wreszcie Kotłowski zamilkł i wzięwszy mnie za rękę, zaprowadził drżącego i płaczącego konwulsyjnie do pokoju; stara Józefowa rozebrała mnie i przemocą położyła do łóżka. W nocy dostałem jakiejś gorączki i chorowałem parę tygodni, a straszne widziadła, wykrzywione twarze Czerkiesów snuły się wkoło mnie bez ustanku.

Wyzdrowienie moje było kresem mego dzieciństwa. Dojrzałem przedwcześnie; może to było nieszczęściem mego życia.

Po powstaniu z choroby, pojęcia moje o Bogu, o świecie, o ludziach ukształtowały się z piorunującą szybkością. W przeciągu kilku tygodni nauczyłem się rozumieć trzy języki: gruziński, polski i rosyjski i nawet mówiłem niemi niezłe. Za typ godności narodowej, wolności i szlachetności, za doskonale wcielenie wszelkich cnót obywatelskich uznałem mego nauczyciela Kotłowskiego, z którym powiązały mnie trudne do wytłomaczenia węzły duchowe. Pod względem uczuć religijnych

poszedłem za przewodem matki, starej Józefowej i naszego kapelana. To, co oni czuli i kochali, to nauczyłem się i ja czuć i kochać; ich Bóg stał się — moim Bogiem, ich wiara — moją wiara, ich przepisy moralności — mojemi. Ojciec stawał się dla mnie coraz bardziej obcym; starego Siańkę lubilem li z mocy przyzwyczajenia.

Wkrótce miał nastąpić i w rzeczywistości ostatni dzień mego dzieciństwa, miało zacząć się sieroctwo. Moja matka była chora; straszliwa choroba piersiowa podkopywała z dnia na dzień jej siły, życie nikło z każdym oddechem. Nie wiedziałem tego, nie zdawałem sobie z tego sprawy, nieszczęście uderzyło we mnie jak grom z jasnego nieba.

Blogosławieństwo przyjąłem, nie zdając sobie sprawy: co ono znaczy; patrzyłem na jej ostatnie tchnienie suchem okiem; dopiero gdy trumnę z jej zwłokami spuszczone do wymurowanego naprędce grobu, uczułem całą bezdeń niedoli, przez chwil kilka zdawało mi się, że wszystko się już dla mnie skończyło na świecie. Niema straszliwszego, bardziej bezgranicznego cierpienia, jak boleść przedwcześnie dojrzałego dziecka.

Jako pamiątka po zmarłej zostały mi: gruzińska księżeczka z modlitwami i srebrny, czarną emalią cyzelowany krzyżyk.

Chwile boleści zbliżyły mnie do mego ojca. I on rozpaczał strasznie, odchodził prawie od przytomności, pozbawiony wszelkiej dogmatycznej podstawy nurzał się w bezbrzeżnem zwątpieniu, głośno oskarżał się przed nami: że on był przyczyną jej śmierci, że jego lekkomyślne postępowanie wpędziło ją do grobu przed czasem. Podupadł fizycznie, zdziwaczał do reszty i zaczął pić. Wkrótce zdecydował, że dalsza służba wojskowa i pobyt na Kaukazie są ponad jego siły, podał się więc do dymisji i otrzymał miejsce »mirowego pośrednika« w polskiej ziemi, w podolskiej gubernii. Z nerwową drażliwością oczekiwał dnia wyjazdu; gdy tenże nadszedł, zdawało mi się, że ojciec nagle się uspokoił, że nabral nową otuchy i chęci do życia; pieścił mnie i całował bezustannie.

Z bólem serca opuszczałem kaukazkie brzegi; łzami obfitemi skropilem nieporosły jeszcze darniem grób matki; z tęsknotą w duszy pożegnałem najzacniejszego Kotłowskiego. Garść ziemi z mogiły matki zawiesilem na piersi, a gdy okręt odbił od grobli portowej, rozplakałem się rzewnie, powiewając chustką na pożegnanie serdecznego mego nauczyciela.

Józefowa i Siańko płynęły z nami.

II.

Na miejsce urzędowania przeznaczono memu ojcu Międzyrzecz, w podolskiej gubernii.

Pamiętam, że gdy znużeni długą i męczącą drogą, znaleźliśmy się wreszcie nad brzegiem szerokiego, podolskiego jaru, w głębi którego leży Międzyrzecz, wydała mi się odrazu miejscowość ta dziwnie piękną i uroczą. Samem dnem jaru sączyła się rzeka, dzieląca się na kilka ramion i tworząca wysepki, porosłe łożyną; jedna z nich była większa i zabudowana żydowskiemi domostwami. Po stromych brzegach wieszaly się dworki i chatki mieszczan, a pomiędzy nimi wznosiły się mury pięknego, gotyckiego kościoła. Dziwnie wspaniale i szlachetnie odbijała jego w niebo strzelająca struktura od przygniecionej, zielonym, płaskatym dachem pokrytej cerkwi schizmatycznej. Wówczas nie mogłem sobie jeszcze zdać sprawy z przyczyn, które spowodowały różnicę stylów, uderzyła mnie jednak ona i kto wie, czy nie wywarła wpływu na dalsze kształtowanie się mego umysłu. Kościół swemi śmiałemi, w niebo strzelającemi wieżami, frontonem ciosowym, zdobnym w szlachetne rzeźby, wzrok widza przykuwał do siebie, a duszę jego unosił ku niebu — cerkiew nasuwała jakieś smutne myśli i robiła wrażenie niewolnicy, która pochyliła kark w jarzmo i dźwigała go z bezmyślną rezygnacją.

Gdy wjeżdżaliśmy krętą i kamienistą drogą do środka miasteczka, promienie zachodzącego słońca ozłociły dachy domostw, szare mury kościoła i ogromny jakiś budynek, trochę

opuszczony i do ruiny zbliżający się, stojący na uboczu. Był to dwór miejscowy, dawniej zamek książęcego litewskiego rodu, później gniazdo rycerskiej polskiej rodziny — dziś pałac nowego nabywcy, Rosyanina.

Cichy dźwięk sygnaturki, wzywającej wiernych na »Aniol Pański«, powitał nas w nowym miejscu zamieszkania.

Zajechaliśmy początkowo do żydowskiego zajezdnego domu.

Tego dnia nie otrzymałem więcej żadnych wrażeń, albowiem natychmiast po wyjściu z powozu, dopadłem Józefowej, jadącej za nami na bryczce pocztowej i pod jej opieką zasnąłem snem sprawiedliwych i znużonych.

We wspomnieniach mej młodości, Międzyrzecz, to ustronne miasteczko podolskie, miało zająć najwybitniejsze miejsce; wspomnienia dzieciństwa, wrażenia otrzymane pośród wspaniałej kaukazkiej przyrody z czasem zacierać się zaczęły, a na ich miejsce występowały nowe, silniejsze, wyraźniejsze. Tylko pamięć mej przedwczesnie zmarłej matki i postać Kotłowskiego niczem zatrzeć się nie dały. Kotłowski jawił się zawsze w marzeniach moich ze słowem »ojczyzna« na ustach. Słowo to z czasem nabrało dla mnie dziwnego uroku; jakaś siła magnetyczna wiązała się z nim zawsze; pojęcie z nim związane przechodziło najrozmaitsze przeobrażenia, brało na się różne postacie, dopiero po latach wielu, po przejściu wielkich zawodów, srogich boleści zdołało się wreszcie skryształizować i w wyraźne kształty przyoblec. Jakiś czas Międzyrzecz był dla mnie ojczyzną, lud tutejszy rodakami, cierpienia jego — mojemu cierpieniami; patrzyłem wówczas oczyma starej Józefowej.

Oh, ta Józefowa! Po przyjeździe do Międzyrzecza, jakiś czas poznać jej nie mogłem, odżyła, odmłodziła, oczy jej śmiały się ciągle, twarz rozmarszczyła, czasami lzy radości spływały po jej pomarszczonych licach.

Ulokowaliśmy się bardzo wygodnie: ojciec najął domek w ogrodzie położony, stanowiący zupełnie odrębną całość; dla mnie przeznaczono pokoik z oknem na ogród, przestronny,

widny i obszerny. Oprócz tego była jeszcze w domu kancelaryja ojca i kilka pokoi, przeznaczonych na przyjmowanie gości.

Józefowa krzątała się z niebywałą u niej nigdy przedtem żywością; kuchnię przystroiliła tak, że od biedy uchodzić mogła za jakiś salonik, w pokojach gościnnych porozstawiała kwiaty, swym własnym przemysłem nabyte.

Razu pewnego ojciec zdziwiony temi nabytkami, spytał: zkąd one pochodzą?

— Alboż to my w pogańskim kraju — zawołała z dumą — alboż to nie ma pocziwych, chrześcijańskich dusz, które człowieka poratują w potrzebie? Pewno, że nie kradłam, ani kupowałam tych kwiatów. Ludzie, ludzie dobrzy podarowali mi je. Bo to, widzi pan...

Ojciec dalej jej nie słuchał, bo ktoś wszedł do przyległej kancelaryi, musiał więc wyjść przyjmować gości. Staruszka straciwszy w ojcu słuchacza, zwróciła się do mnie:

— Paniezu złoty — mówiła, a twarz jej promieniała radością — nareszcie dostaliśmy się do ludzkiej ziemi. Szkoda tylko, że nasza pani kochana, nieboszczka droga, nie doczekała tego. Kościół tu taki, że zdaje się człowiekowi grzeszemu, iż anioły boskie po nim latają, a naród katolicki pieśni śpiewa takie, że aż serce się w grzesznem ciele tłucze z radości. A jakie kobieciska tu osobliwie pocziwe. Jak im opowiedziałam, z jakich my tu bisurmańskich krajów przyjechali, to ręce z żalu łamały, każda z nich to już nie miała słów, jakby to mnie witać, a do domu swego prosić. A księża jacy? Poprostu miód im z ust płynie.

Słuchałem z zajęciem opowiadania Józefowej, co widząc ona, zapalała się coraz bardziej.

— Już to proboszcz, jak proboszcz — mówiła dalej — snać przemocna w nim stateczność i trochę z partesu się niesie, zwyczajnie osoba znaczna, z państwem więcej przestaje i sam podobno z wielkich panów jest rodem; ale zato staruszek wikary, to już umyślnie dla prostacka Pan Bóg go dał: tak do człowieka mówi, niby on sam pod słomianą strzechą wzrósł,

żadnej nie ma ceremonii, broń Boże; za serce prosto katolika bierze. Ot, u naszego księdza wikarego już spowiadałam się i rozgrzeszenie dał i powiedział: »Duszo chrześcijańska, Ojciec wszechmocny ma nad twojemi grzechami miłosierdzie, boś wiele w cudzym kraju wycierpiała.« Ot, gdzieby innemu na myśl przyszło z tego końca zagadać. Jak przyjdzie niedziela, to i panicza zaprowadzę do kościoła; pomodlimy się za naszą nieboszczkę kochaną.

Propozycya podobała mi się mocno i odtąd co niedzielę wymykałem się z Józefową na mszę do kościoła.

Wreszcie w jednej z ustronnych laweczek, wśród nawy dużego kościoła, otoczeni kobietami i dziećmi z ludu, przepędzaliśmy godziny całe na modlitwie. Pamiętam, że ogarnął mnie był wówczas pietyzm gorączkowy; pobożność dziecięca połączona ze wspomnieniami mej matki zapanowały w mej duszy bezspornie.

Największe wrażenie robiły na mnie suplikacye, które ksiądz wikary z niezwykłą uroczystością odśpiewywał. Drżałem cały, gdy od ołtarza zabrzmiała wspaniała pieśń, a lud cały ją powtarzał: »Od powietrza, głodu, ognia, wojny i niewoli zachowaj nas Panie!« — i powtarzałem wraz ze wszystkimi słowa, które łatwiej, niż inni dorośli nawet, mogłem zrozumieć; wspomnienia bowiem strasznej śmierci ofiar wojennych żywo stały mi jeszcze w pamięci.

Po mszy zazwyczaj następowała pogadanka Józefowej z nowemi jej znajomemi przyjaciółkami. Raz, gdy tak wmieszani w tłum mieszczan i chłopów staliśmy przed bramą kościoła, nagle nadszedł ksiądz wikary i miejscowy lekarz, Polak i bardzo zacny człowiek, jak później się przekonałem. Józefowa pospieszyła natychmiast przywitać księdza, i powiedziawszy kilka słów przypomnienia, pocałowała go w rękę; ja, idąc za jej przykładem, uczynilem to samo.

— A czyje to dziecko? — zapytał ksiądz, przypatrując mi się uważnie.

— Naszego pana — odrzekła kobieta.

— A po cóż wy prawosławne dziecko do kościoła przyprowadzacie?

Na twarz staruszki uderzyły nagle gorące rumieńce, a z oczu posypały się promienie gniewu.

— Dziecko katolickie — szepnęła, nachylając się do ucha swiego kapłana. — Nieboszczka jego matka była katoliczka, święta pani. Mnie go kazala w naszej wierze świętej wychowywać.

Ksiądz nagłym ruchem nakazał wzruszonej kobiecie milczenie, a później popatrzył na mnie smutnym wzrokiem; czułem w tem spojrzeniu litość i współczucie tak silne, że mimo woli wywołały one łzy w mych dziecięcych oczach. Nie mówiąc słowa, zbliżył się do mnie, poglaskał mnie po głowie i czempredziej wraz z milczącym doktorem poszedł ku furcie, znajdującej się tuż obok »wikarówki«.

W pierwszych miesiącach naszego pobytu w Międzyrzeczu ojciec niewiele się mną zajmował, miał bardzo dużo pracy urzędowej. Widywałem, że czasem do późnej nocy pracował, otoczony jakimisź dużemi księgami; bardzo często zjawiali się jacyś urzędnicy, w mundurowych czapkach i ojciec z nimi długie godziny przepędzał na rozmowach, których nie rozumiałem zupełnie. Znudzony niezrozumiałą dla mego umysłu rozmową wyносил się do kuchni i tam przepędzałem czas na gawędach z Józefową i starym Siańkiem, tęskniącym za Kaukazem, za pulkiem i narzekającym na *chachlacką* (chłopską) ziemię. Stara moja piastunka nie mogła nigdy przyjść do zgody z kozakiem; sprzeczali się ciągle, mimo tego godzili się w jednym uczuciu t. j. w miłości dla mnie.

— Jeneralski wnuk! — wołał porywezo kozak. — Po co ty go babo po kościołach katolickich wodzisz? *Jej Bohu* powiem panu!

— Mów! mów rozbójniku! — odpowiadała, wybuchając gniewem stara. Niby to pan nie wie? Niby to nasza pani nie była katoliczką. Ot siedź cicho i jedz, co ci daję.

Tu podsuwała mu zwykle jakiś przysmak, jakby na okupienie milczenia.

Kozak machał z niechęcią ręką i zasiadał do dymiącej misy.

W drugim miesiącu naszego pobytu w Międzyrzeczu, ojciec, jakby przypomniawszy sobie o mnie, umówił dla mnie nowego nauczyciela. Był to także Polak, ubogi chłopak, syn miejscowego mydlarza, który, ukończywszy kamienieckie gimnazjum, nie miał środków na wyjazd do uniwersytetu; nazywał się on Henryk Giński.

Zadaniem pana Henryka było przygotować mnie w przeciągu dwóch lat do trzeciej klasy. Nauki szły mi dobrze; węzeł serdeczny, taki, jaki był pomiędzy mną a Kotłowskim, nie zawiązał się jednak nigdy. Giński był dziwnym człowiekiem: sumienny i pracowity, ale zamknięty w sobie do dziwactwa prawie, a przytem jakiś niezwykle bojaźliwy i ostrożny i do tego stopnia panujący nad swemi wrażeniami, że przez dwa lata nie zdołałem się nauczyć poznawać jego myśli z wyrazu twarzy. Przychodził codziennie rano na trzy godziny lekyi, mówił zawsze tylko po rosyjsku, a gdy kiedykolwiek zadałem mu pytanie, niewiążące się ściśle z przedmiotem nauki, wówczas wzruszał obojętnie ramionami i odpowiadał, że to do niego nie należy; w chwilach lepszego humoru radził mi, że-bym zapytał o to ojca.

Zawiódlszy się na moim nauczycielu, zyskałem za to wkrótce obszerne koło przyjaciół, złożone z moich rówieśników. Miejscowy lekarz pan Wolski, którego po raz pierwszy spotkałem owego pamiętnego dla mnie dnia przy furcie kościelnej, zapoznał się i poprzyjaźnił wkrótce potem z moim ojcem i mnie zaprosił, żebym odwiedzał jego syna Stanisława, chłopaka w moim wieku.

Ze Stanisławem zawiązałem serdeczną przyjaźń, która przetrwała przez całą moją młodość i do dziś pozostawiła najmilsze wspomnienie. Gdy minęły lato i jesień, a nastąpiła ostra, śnieżna zima, rozpoczęły się nasze najweselsze zabawy. Z mieszczańskich chłopaków zebraliśmy sobie świtę i przepędzaliśmy całe popołudnia na zawziętych walkach w śnieżki. Albo znowu wystarawszy się o małe sanki, łączyliśmy oba

przeciwnie obozy w jedną gromadę i z krzykiem i hałasem spuszczaaliśmy się z otaczających miasteczko pagórków na dno jaru, ku rzece.

Z nadejściem wiosny zabawy nasze przeniosły się do obszernego i bardzo zacienionego ogrodu doktora. W tym to ogrodzie doświadczyłem wrażenia, które na długi czas rzuciło cień na moją ówczesną wesolość i stało się przyczyną długich i przykrych rozmyślań.

Pewnego razu przyszedłszy do Stasia na zabawę, zastałem przed gankiem doktora piękny powóz, zaprzężony czwórką ślicznych, rasowych koni; przestraszony tym widokiem już miałem zamiar wrócić do domu, gdy Staś, ujrawszy mnie wybiegł do mnie, chwycił za rękę i przemocą wprowadził do ogrodu.

Tam zastałem dwoje dzieci: chłopczyka mniej więcej w moim wieku i młodszą o parę lat dziewczynkę.

— A widzicie — wołał z tryumfem małoletni gospodarz do swych gości — prowadzę wam naszego czerkiesa!

Dzieci stały przestraszone trochę i milczące. Po chwili dopiero chłopczyk zbliżył się do mnie nieśmiało i zapytał:

— Czem jest twój ojciec?

— *Mirowym* — odrzekł za mnie ktoś.

— Pfe! Pfe! — krzyknęła niespodzianie dziewczynka, zakrywając twarz drobnymi rączkami i odwracając się. — Ja nie chcę Moskala! Moskał szkaradny! Moskał zły!

W tej chwili krew zbiegła mi do serca, uczulem tam ból przykry i coś w rodzaju gniewu i oburzenia. Nie wiem, jakby się ta scena skończyła, gdyby nie nadejście rodziców panienki, zwabionych rozpaczliwym wołaniem dziecka. Rozpoczęła się indagacya. Doktor opowiedział swym gościom moją krótką historję, po wysłuchaniu której piękna pani uściśliła mnie i czule pocałowała mnie w czoło.

— Biedne, biedne dziecko! — szepnęła kilka razy.

Pamiętam, że głos jej tak mnie rozczulił, iż wybuchnąłem gwałtownym łkaniem i z chorobliwą jakąś czulością całowałem jej białą i piękną rękę.

— Mania niegrzeczna! Mania niedobra! — zwróciła się pani do zawstydzonej dziewczynki. — Wiele razy mama Mani mówiła, że wszyscy ludzie są nasi bliźni i że wszystkich bliźnich trzeba kochać, jak siebie samego. Dlaczego Mania nie pamiętała o tem i temu chłopczykowi zrobiła przykrość? Proszę go zaraz przeprosić! Niech Mania chłopczyka pocałuje!

— Mania nie pocałuje Moskala! — zawołało dziecko, tupiąc nóżkami i zachodząc się znowu płaczem. — Nie chcę Moskala! Moskal nie bliźni!

Pani się rozgniewała, Mania dostała kilka klapsów i wyprowadzono ją do pokoju; nie pomogło to jednak, nie mieliśmy już zupełnie ochoty do zabawy. Ja pod pretekstem, że mam jeszcze na dziś lekcję, wymknąłem się do domu. Staś odprowadził mnie do bramy i przez drogę, idąc obok mnie, mówił:

— Nie bierz tego do serca. Co taka mała geś wie? Zwyczajnie za piecem to na wsi wyrosło, nasłuchiwało się historij o czynownikach i myśli, że wszyscy tacy.

Nie odpowiedziałem nawet na tłumaczenie Stasia, tylko, uściskawszy go gorączkowo, pobiegłem czemp prędzej do domu; tam ukrywszy się w mym pokoju, gorzko płakać zacząłem.

Nie pierwszy to już raz spotkałem się ze wstretiem miejscowych mieszkańców do narodowości mego ojca; inni dorośli, umiejący panować nad sobą, zdolali nie okazywać go jawnie i tak wyraźnie, jak ta dziewczynka, a jednak zdradzali się z nim mimowolnie. Wypadek powyżej opisany stał się dla mnie przyczyną długich rozmyślań i zrodził we mnie przypadkowo samowiedzę mego pochodzenia, obudził dumę narodową; uczulem teraz jasno, że skrzywdzeni przez nasz rząd tutejsi mieszkańcy nienawidzą nas, brzydzą się nami, a jednak za nie w świecie nie byłbym zgodził się na to, ażeby zdobywać ich sympatyę dla siebie zaparciem się swej narodowości. Pamiętne dla mnie słowa Kotłowskiego stanęły mi znowu żywo w pamięci, zacząłem nad niemi na nowo rozmyślać i pierwszy raz powstały w mym umyśle pewne wątpliwości. On powiedział: że ja nie mam ojczyzny, że my Rosyanie nie mamy jej wszyscy. W tej

chwili jednak czułem, że jest inaczej: że ja mam ojczyznę biedną jakąś i nieszcześliwą, inną, niż inni ludzie — ale taka, która wymaga ofiar i poświęcenia od swych synów, większych może, niż ojczyzna Polaków, dumnych i niepohamowanych synów zamordowanej matki. Dziwnie może wydadzą się podobne myśli w umyśle jedenastoletniego chłopaka, a jednak przypominam sobie najdokładniej, że istniały one i męczyły mój dziecięcy mózg niemilosiernie.

Z dumań tych wyrwało mnie wejście Stasia. Przybiegl on zdyszany i czerwony; na wstępie zaraz chwycił mnie za szyję i nie mówiąc nic, zaczął całować po twarzy i oczach. Po chwili dopiero zdołał opanować miotające nim wzruszenie i zawołał porywezo:

— Jasiu! nie gniewaj się na mnie! Com ja winien, że ta mała taka głupia? Ja wiem, żeś ty nie Moskal, że ty Polak!

Na te słowa odsunąłem się trochę od mego przyjaciela i rzekłem doń poważnie:

— Nie, ja nie jestem Polakiem! Jestem Rosyaninem i nim zostanę, ale przekonam was kiedyś, że i Rosyanin może być ucziwym i zacnym człowiekiem, tak, jak przekonałem się dziś, że i Polacy mogą być niesprawiedliwi.

Na tem skończyła się nasza rozmowa tego dnia; sprawę tę pochowaliśmy między sobą na kilka lat; dopiero później, gdy już byliśmy wyrostkami, marzącymi o życiu publicznem, o służbie dla kraju — sprawę tę poruszaliśmy znowu dość często.

Stasia od owego dnia pokochałem jeszcze mocniej, poznałem jego szlachetność i przywiązanie do mnie. I pani owa, matka niegrzecznej dziewczynki, zjawiała się dość często w moich marzeniach i zawsze — któż wytłumaczy dziwne objawy chłopięcej wyobraźni — marzyłem o tem, że gdy kiedyś stanę się zacnym i ucziwym Rosyaninem, to przyjadę podziękować jej za słowa prawdy, wypowiedziane do niesprawiedliwie skrzywdzonego dziecka.

Przykre to wrażenie minęło stosunkowo dość rychło, być może, że zatarło się ono jeszcze przykrzejszem, bardziej

bolesnem — takim, które wstrząsnęło moją duszę do głębi i stało się jedną z przyczyn długiego, rozpaczliwego błędzenia po manowcach ducha.

Gdy zaczął się wielki post w ciągu drugiego roku naszego pobytu w Międzyrzeczu, do mego ojca zaczął przychodzić często miejscowy pop schizmatycki — ojciec Kalinik. Osobistość ta wstręt we mnie budziła. Od Józefowej i jej przyjaciółek nasłuchiwałem się o nim najstraszniejszych opowiadań; uważałem go za najpodlejszą istotę pod słońcem. Wiedziałem n. p. dokładnie, że na chrzcinach i weselach schizmatyckich mieszkańców Międzyrzecza spija się tak, że dochodzi do stanu zupełnego zezwierzęcenia; wiedziałem i to, że jest narzędziem rządu prześladowającego katolików, że szpieguje katolickich księży i do swej wyższej władzy przesyła na nich bezprzerwanie denuncyaacye.

Już ten sam szczegół, że pop ten był przedmiotem obrzydzenia i pogardy całej miejscowej ludności, był dostateczną przyczyną, ażebym się czuł unieszczęśliwionym jego wizytami w naszym domu. Zresztą przeczuwałem, że wizyty te skończą się dla mnie jakąś przykrością — i nie omyliło mnie przeczucie.

Pewnej niedzieli, kiedy jak zwykle około południa powróciłem z kościoła, zastałem ojca Kalinika w jadalnym pokojku, wypróżniającego duże kielichy wódki i prowadzącego z mym ojcem ożywioną jakąś rozmowę. Od chwili wejścia zauważyłem, że niestety i ojciec był trochę podniecony, pop zaś był pijany już na dobre.

— A zkąd to młodzian powraca? — zapytał mnie duchowny, uśmiechając się zjadliwie.

— Z kościoła! — odrzekłem krótko i śmiało.

— Boże zmiłuj się! — jęknął na to pop, przybierając wyraz fałszywej boleści. — Zmiłujcie się nad dzieckiem, Józefie Iwanowiczu — mówił dalej, zwracając się do mego ojca — nie pozwólcie herezyi zagnieźdźać się w sercu małoletniego. Wasz obowiązek święty dbać o czystość uczuć religijnych waszego syna.

Ojciec słuchał tej przemowy namaszczonej z nieukrywaną ironią, wreszcie rozśmiał się sucho i rzekł:

— Eh! Ojczy Kaliniku, po co ta komedia? Niby to my nie śmiejemy się w duszy z tych błazeństw, tak jak śmiali się rzymscy augurowie. To dobre dla chłopca, ale wy, wy uczony człowiek, w duszy kpić musicie z tych wszystkich teatralnych awantur.

Pop w pierwszej chwili zmieszał się, lecz wrócił wkrótce do przytomności i rzekł pokornym głosem:

— Wasza wola, dostojny panie. Nie nasza rzecz mieszać się do sumień ludzi tak wysoko urodzonych, jak wasza miłość, ale co do dziecka, to inna sprawa; będę zmuszony, obowiązek mnie do tego zniewoli, że dam znać wyższej mojej władzy o tem: że tutejsi księża starają się ukraść duszę waszego syna, odciągając ją od naszej świętej prawosławnej cerkwi. To moja powinność!

Widziałem najwyraźniej, jak na skroniach mego ojca wystąpiły grube, jak sznurki, błękitne żyły; zauważyłem płomień gniewu, strzelający z jego oczu; snać jednak siłą woli zwyciężył ten wybuch, bo wnet wesółym, żartobliwym tonem zawołał:

— Lepiej, ojczy duchowny, napijmy się jeszcze po kieliszku wódki. Patrzcie go, jaka straszna gorliwość w nim się zjawila — i klepał go poufale po ramieniu. — Słuchaj stary, mój syn będzie taki sam, jak ja; nie będzie ani katolikiem, ani prawosławnym, ani żydem, ani muzułmaninem, będzie ateistą. Rozumiesz mnie: musi być ateistą, choćby nie chciał, bo któż go potrafi czemś innem zrobić. Może ty trzonku od kadzelnicy, który ani w djabła, ani w Boga nie wierzysz, tylko w rubla, w rubla, no i w kieliszek wódki

Zdumiony i przerażony patrzałem w twarz mego ojca, gdy on wymawiał te straszne słowa; oblicze to inne było jak zazwyczaj: ból jakiś połamał te apatyczne zazwyczaj rysy i wykrzywił dziwacznie, z oczu buchało żarem jakimś piekielnym, wokół ust rysował się cyniczny uśmiech. Stałem jak skamieniały, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

— Mnie tego nie mówcie, dostojny panie! — odparł pop, drapijąc się w przesadną powagę. — Mnie tego słuchać się nie godzi. Róbcie z dzieckiem co chcecie, to rzecz waszego sumienia; na jedno tylko nie pozwolę, a to na to, aby wasz syn chodził do kościoła i innym czynił zgorzenie.

— Ależ głupia cerkiewna mózgownico! — zawołał ojciec już z gniewem. — Cóż mam z dzieckiem robić? Teatru niema, żadnych rozrywek niema, niech choć raz na tydzień napatrzy się komedyi ludzkiej. Tam w kościele przynajmniej nie śmierdzi tak wódką i kożuchami, jak u ciebie w cerkwi.

— Nie bluźń dostojny panie, nie bluźń, choćby żartem! — przerwał mu pop stanowczo. — Nie na żarty ja tu przyszedłem, ale dla zbawienia zaniedbanej, opuszczonej duszy waszego dziecka, waszego syna, który powinien być, który musi być prawosławnym. Dowiedziałem się już oddawna o tem, o czem wy ojeiec nie wiedzieliście. I dziś żądam stanowczej zmiany, stanowczej odpowiedzi. Słuchajcie wasza miłość i zapamiętajcie sobie: syn wasz musi tego postu spowiadać się i komunikować u mnie, u swego pasterza duchownego.

— Ty kanalio, pijaku, chcesz być pasterzem duchownym mego syna! — krzyknął mój ojciec, wybuchając spazmatycznym śmiechem. — Dość tego! Dość tej głupiej i niesmacznej komedyi. Zaszedłeś mnie z mańki; udawałeś dobrego towarzysza, spokojnego człowieka, a dziś pragniesz z niewinnej rozrywki dziecka korzyść wyciągnąć. Powiedz odrazu, wiele chcesz, dam, odczep się tylko od nas.

Pop uśmiechnął się chytrze, małe czarne oczka z wszelkimi uznaniem spoczęły na twarzy mego ojca, i pochylając się przed nim, rzekł grzecznie i uniżenie: wszystko przyjmę, co wasza miłość dać raczy, to na boże pójdzie! biedni my i opuszczeni w tym pogańskim kraju. Jednak nie odstąpię od mego warunku: syn wasz, panie, musi się spowiadać i komunikować publicznie w cerkwi. Dla was samych będzie to lepsiej; już i tak zwrócono na to uwagę w górze, miałem już zapytania w tej delikatnej sprawie. A zresztą, co to wam może

szkodzić, chłopak napije się wina, zakąsi »proskurką« i koniec, spowiedzią nie myślę go męczyć. Ręka rękę myje; hi! hi! hi!
— śmiał się ohydnie.

— Widzisz popie, jak z tej beczki gadasz, to prędko się zrozumiemy; chciałem dziecko uchronić od świętokradztwa, jak to wasze biblie zowią, ale jeżeli gwałtem tego pragniesz, to mniejsza z tem.

— Chłopcze — rzekł ojciec, zwracając się ku mnie — za dwa tygodnie pójdziesz do cerkwi spowiadać się u ojca Kalinika.

— Nie pójde! — zawołałem na to stanowczo i poczułem po raz pierwszy w życiu ów straszliwy ból, sam nie wiem, czy duszy czy ciała, ów ból, który zda się, że rwie i szarpie nerwy jeden po drugim, druzgocze samowiedzę, gasi duszę. — Nie pójde! — krzyknąłem z całej siły i strętwiałem całym ciałem, tak, że musiałem się oprzeć o ścianę, bo inaczej byłbym upadł na podłogę.

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się pop ironicznie. — Jaki mi męczennik, chcesz być polskim świętym. Ty panie, wnuk russkiego generała. Tobie nie będzie, nie! Ale panowie księżdy, doktor, Józefowa, wszyscy, wszyscy, którzy cię do tej pogańskiej bożnicy wodzili, pójda sobie na Sybir w palce dmuchać. No jeszcze i *papaszę* zapytają się, jak synka wychował. A co rycerzu? co?

Słowa te zgnębiły mnie do reszty, umknąłem z pokoju i schowałem się za szafę spiżarnianą w izdebce Józefowej. Rozpaczliwe myśli snuły się gęstymi kłębammi po zbolalym mózgu. Chciałem doczekać się nocy i uciekać gdzieś w świat daleki, hen w nieskończoność, byle tylko tam nie było popów i zielonych cerkwi. Chwilami jeszcze rozpaczliwsze zamiary mnie opanowywały; przedstawiałem sobie, że pobiegnę do znanego mi głębokiego miejsca w naszej rzece, tam przed młynem i wskoczę w wodę, że później wydobędą mnie z wody i białego, sztywnego, umarłego położą na wysokim katafalku, na środku nawy kościelnej, a księża i lud cały będzie się modlił i sławił mnie jako — męczennika.

Napróżno Józefowa starała się wydobyć mnie z za szafy, ażebym coś zjadł z obiadu; nie chciałem, zdawało mi się, że już od teraz rozpocząłem owe męczeństwo.

Przesiedziałem tak do zmierzchu. Przed wieczorem słyszałem przez odchyłone drzwi, jak ojciec opowiadał »stanowemu« i dwom oficerom, którzy przyszli odwiedzić go, o scenie z popem; panowie ci śmiali się wesoło i oświadczyli, że pragną mnie zobaczyć, pomimo jednak najczulszych próśb Józefowej, nie dałem się wywabić z mej fortecy. Wkrótce później usłyszałem, że ojciec z gośćmi, rozmawiając najswobodniej w świecie, wyszli na winta do sędziego śledczego. W kilka minut później wyłazłem z za szafy.

Cicho i ostrożnie wymknąłem się na ulicę i drżąc z zimna i brodząc po topniejącym śniegu i bajorach błota, pobiegłem do domku, w którym mieszkał ksiądz wikary. Sam nie wiedziałem dobrze, po co właściwie idę do niego? Dziwne rozdrażnienie i rozstrój opanował mnie całego i w tym stanie podrażnienia wyobrażałem sobie, że ksiądz mi da jakąś pomoc lub przynajmniej pociechę.

Gdy wszedłem przez wąską furtkę do małego ogródka, ujrzałem przez oświetlone okna starego księdza, zatopionego w czytaniu jakiejś staroświeckiej, dużej książki. Pospiesznie prześliznąłem się przez ogródek i wszedłem do środka. Ksiądz podniósł oczy od kart księgi i popatrzył na mnie z nietajonem zdziwieniem; po jego wzroku odgadłem, że mnie nie poznawał. W kilku słowach mu przypomniałem, kim jestem.

— W czymże ci dziecię mogę być pomocnym? — zapytał, przystępując bliżej.

Opowiedziałem mu dzisiejsze zdarzenie.

Staruszek zadumał się głęboko; widziałem, że moja prosta opowieść żywo go zajęła; mileząc począł chodzić wielkimi krokami po izbie, wreszcie zatrzymał się znowu przedemną i rzekł:

— Pomódz ci dziecię nie mogę!

Na te słowa wybuchnąłem płaczem i bezładnie, gwałtownie zacząłem mówić: iż pod żadnym warunkiem u popa

spowiadać się nie będę, ani komunii w cerkwi nie przyjmę, że chcę być katolikiem, tak jak moja ś. p. matka była katoliczką. Wreszcie w najwyższym stopniu rozdrażnienia zawolałem: »przedaj utopię się, niż mam zostać schizmatykiem.«

Ksiądz zbliżył się znowu do mnie, położył mi na głowie swe duże spracowane dłonie i rzekł:

— Nie mów tak synu, bo sam nie rozumiesz swoich słów, a kiedyś w życiu mógłbyś ich żałować. Po tem, coś mi teraz powiedział, tem bardziej nie dla ciebie zrobić nie mogę. Jesteś małym dzieckiem, zależyś w zupełności od woli ojca, i musisz — rozumiesz mnie — musisz słuchać jego rozkazów. Gdy dorośniesz, a postanowienia nie zmienisz, to potrafisz znaleźć tysiąc dróg do dopięcia zamierzonego a tak pięknego celu. Niech cię Bóg błogosławi dziecie na drogę żywota.

Mówiąc to, przeżegnał mnie krzyżem świętym. Ja ukląknąłem przed nim i zdawało mi się, że wraz ze słowami czcigodnego kapłana spokój jakiś wpłynął do mej duszy, że z jego oczu światło jakieś wlewało się w mój umysł, rękę jego ucałowałem z takim uniesieniem i rozkoszą, że do dziś pamiętam tę chwilę.

Gdy wstałem, ksiądz wziął na siebie znaną całemu miasteczku czarną watowaną i dokładnie wyszarzaną rewerendę i wraz ze mną wyszedł z pokoju. Odprowadził mnie aż do bramy naszego domu. W bramie spotkaliśmy mego ojca, któremu dano znać o mojem zniknięciu, wrócił więc z wieczorynki, ażeby rozpocząć poszukiwania za mną.

— Zbiega wam prowadzę, panie sędzio! — rzekł ksiądz, witając ukłonem ojca; jeżeli łaska, to wejdźmy na chwilę do pokoju — mówił dalej — mam panu coś ważnego do powiedzenia.

Weszliśmy razem w drzwi domu.

Gdy znaleźliśmy się w pokoju, ksiądz opowiedział wszystkie szczegóły mego zjawienia się na wikarówce, powtórzył naszą rozmowę, i jeszcze raz dał mi te same rady.

Ojciec podziękował mu serdecznie; gdy wychodził, odprowadził go aż do bramy, później wrócił i chodząc wzburzony po pokoju, myślał głośno:

— Jak oni nie mają być silniejsi, niż my — mówił sam do siebie — dziś miałem przykład, jaka jest różnica między ich duchowieństwem a naszym. Ten pop... ten pop... niech go djabli porwą! Zginiemy, przepadniemy, na nic się nie zdała nasza przewaga materyalna; państwo podkopane, społeczeństwo podminowane, a jednostki... jednostki... zgniłe.

Nagle, jakby sobie przypomniał o mojej obecności, przerwał — a zwracając się do mnie, rzekł po raz pierwszy w mem życiu z gniewem i oburzeniem:

— Głupiś! Głupiś! Głową muru nie przebijesz! Nie biegaj do księdza, bo go na najsroźsze przykrości narazisz. Pójdiesz do popa do spowiedzi — rozumiesz!

Zbliżyłem się do niego i całując go w rękę, szepnąłem:

— Teraz pójde, ale jak dorosnę, to zostanę katolikiem.

— Jak zechcesz, jak zechcesz — odrzekł pospiesznie, odsuwając mnie i wychodząc z pokoju.

We drzwiach jeszcze raz szepnął sam do siebie:

— Może on ma i rację, może mu to da szczęście i jakąś podstawę w życiu.

Wkrótce potem odbyła się wstrętna dla mnie ceremonia.

Pociągnęła ona za sobą najfatalniejsze skutki dla mego zdrowia moralnego. Ten sakrament i niby nie sakrament wszczepił w mój umysł pierwsze krople jadu obojętności religijnej, która później miała się rozrósć w bujną roślinę, głuszając szlachetniejsze porywy duszy. Zimny i obojętny szedłem do cerkwi, prowadzony przez zapłakaną Józefową; ojciec nawet dziś nie chciał mi tam towarzyszyć.

Spowiedź odbyłem, bez przeświadczenia, że to jest spowiedź; szepnąłem, co mi na myśl przyszło od niechcenia; pop odmówił modlitwę, powiedział mi, że powinnością moją jest: być pobożnym i prawowiernym — i na tem się skończyło.

Komunię przyjąłem jeszcze z większą obojętnością, nerw żaden nie drgnął we mnie; wychodząc z cerkwi, śmiałem się wesolo.

To był pierwszy dzień mej przymusowej, lecz na szczęście mej duszy, tylko czasowej przynależności do rosyjskiej państwowej cerkwi.

Wnet potem wraz ze Stasiem zabraliśmy się gorliwie do nauki; mileżący i zamknięty w sobie korepetytor teraz nam obu razem lekyi udzielał. Pilne zajęcia przygotowaniami do egzaminu zatarły chwilowo wrażenia mej smutnej spowiedzi i komunii; ziarno indyferentyzmu, rzucone tego dnia na bujny i w wyobraźnię bogaty grunt mej duszy, dopiero później miało wzejść; na razie kwestye konjugacyj łacińskich i reguły trzech pochłaniały moją uwagę w całości.

W sierpniu obaj zdaliśmy egzamina z wyszczególnieniem i zostaliśmy przyjęci jako publiczni uczniowie do trzeciej klasy kamienieckiego gimnazjum.

Z moim korepetytorem Gińskim pożegnałem się bez żalu; przesunął się on przez moje życie, jako niewiadoma w zrównaniu; przez dwa lata widywania się codziennego, oprócz obowiązkowej pomocy w nauce, nie słyszałem od niego żadnego słowa. Dziś myśląc o nim, przypuszczam, że musiał to być człowiek bardzo nieszczęśliwy i do ludzi zrażony.

III.

Po kilku dniach pobytu w murach kamienieckich — byłem tam, jak w domu.

Dziwny, niewytłumaczony urok miało dla mnie to miasto, pełne pamiątek historycznych; — bramy te, baszty, wieże i parapety z przywiązaniem do nich tradycjami czynów bohaterkich oczarowały mnie odrazu i serce me przywiązały do siebie na zawsze. Jakieś niezatarte piętno Wschodu widnieje do dziś na zabytkach tej kresowej warowni, cecha ta przypominała mi Kaukaz, dnie dzieciństwa i matkę moją.

Gdy znalazłem się po raz pierwszy w kamienieckim kościele ormiańskim, to serce mi biło ze wzruszenia i zdawało mi się, że jestem w jednej ze świątyń ojczyzny mej matki: napisy na odwiecznych nagrobkach, w swych hieroglifach niezrozumiałe dla dzisiejszych mieszkańców Kamieńca, przemówiły do mnie głośno i serdecznie — podobnem zupełnie piśmem była drukowana książka z modlitwami, którą dostałem od umierającej a nigdy niezapomnianej.

Odrazu dobrze mi tu było.

Za poradą naszego doktora ulokował mnie ojciec, wraz ze Stasiem, u pani Waruskiej, krewnej doktora, a wdowy po zmarłym przed kilku laty, zubożałym właścicielu ziemskim. Syn pani Waruskiej, Kazio, nasz kolega, stał się wkrótce naszym wspólnym przyjacielem. Do tego triumwiratu przyłączył się wkrótce jeszcze czwarty towarzysz Adaś Ogrodzki, syn bogatego obywatela, który w czasie ostatniego powstania polskiego, jako marszałek szlachty jednego ze wschodnich powiatów Podola, poniósł wielkie straty majątkowe i był wraz ze wszystkimi marszałkami podolskimi więziony w petro-pawłowskiej fortecy, a później zesłany do oddalonych gubernij.

Przyjaźń w tym wieku zawiązuje się bardzo rychło i przybiera formy tak zupełnie inne, jak w późniejszych latach życia; my wszyscy czterej po miesiącu koleżeństwa nie mieliśmy dla siebie nawzajem żadnej tajemnicy, po dwóch miesiącach doszliśmy do zupełnego komunizmu pod względem własności; na drugie zaraz półrocze Adaś uprosił ojca, że ten oddał Francuza, który z nim mieszkał i kucharza, który znowu dla nich obu jeść gotował i przeniósł się na mieszkanie do nas.

W klasie nasza czwórka zajęła odrazu wybitne stanowisko, nauczyciele lubili nas, a wskutek pilności i dobrych postępów w nauce, przebaczała nam niejedną wybryk, pochodzący z wrodzonej temu wiekowi weselości. Swoją drogą ja najeźdźcą sięgałem na siebie nagane, ale dzięki urzędowi i społecznej pozycji mego ojca, uchodziło mi to zazwyczaj na sucho.

Klasa nasza składała się z trzydziestu ośmiu uczniów, z tego ośmnastu było Polaków, a reszta byli to Rosyanie i żydzi. Pomiędzy Rosyanami było kilku porządných chłopców, ale większa połowa byli to synowie popów i do tych uczulem odrazu wstępn nieprzewyciężony. Wadami ich były: niepomierna pokora i skłonność do pochlebstwa, dla mnie szczególnie — gdy dowiedzieli się od Stasia, że mój dziad jest wysokim jencralem — nie mieli miary w okazywaniu mi swego uwielbienia. Wywdzięczałem się im za to — pogarda.

Z pierwszych dwóch lat mej nauki w gimnazyum nie wiele mam do zapisania: jeden dzień był zupełnie podobny do drugiego, rano szliśmy do klasy, po obiedzie przygotowywaliśmy się do lekcji dnia jutrzejszego. Pamiętam tylko, że gniewały mnie straszliwie wizyty inspektora gimnazjalnego, który wpadał czasem w nocy nawet i robił rewizję w naszym mieszkaniu. Raz nawet wezwał mnie do kancelaryi dyrektora i tam po długiej i uroczystej przemowie, w której podniósł zasługi mego dziada, blask nazwiska, które noszę — zapytał: czy towarzysze moi nie czytają w domu polskich książek?

Odpowiedziałem: — nie — i skłamałem po raz pierwszy w życiu. To był pierwszy skutek rosyjskiego systemu wychowania.

W rzeczy samej mieliśmy dużo polskich książek, ale te przechowywały się w pokoju panny Anieli, kuzynki naszej gospodyni. W wolnych od zajęć szkolnych chwilach z rozkoszą oddawałem się czytaniu; szczególnie poeta polski Krasiński trafił mi wprost do duszy, gust ten podzielałem z Adasiem; Staś znów wraz z Kaziem unosił się nad klasycznym spokojem Mickiewicza.

Czytanie polskich poezyj nie przeszkadzało nam zachwycać się pięknosciami słowa rosyjskich poetów; pomiędzy tymi znów moim ulubieńcem był Lermontow; portret tego smutnego i rozmarzonego piewcy Kaukazu wisiał nad moim łóżkiem, a jego utwory dopomagały dzielnie krzewieniu się owych ziarn niewiary, rzuconych w mą duszę za pomocą świętokradkiej

pierwszej spowiedzi. Dotychczas nie mogę sobie wytłómaczyć: jakim sposobem katolicki duch, panujący w poezjach Krasin'skiego, mógł się godzić z ironiczną, bajronizmem przesiąkniętą muzą Lermontowa? Fenomen ten należy do tych objawów duchowych, z których człowiek sam sobie nie jest w stanie zdać sprawy.

Po skończeniu pierwszego roku naszych nauk szkolnych, z doskonałemi świadectwami przyjechalśmy do Międzyrzecza na ferye letnie. Kazio Waruski przyjechał z nami.

W czasie tych feryj zaszedł wypadek, który zmienił zupełnie położenie materyalne mego ojca: dziad mój, jeneral Jan Dawydow, po długiem życiu umarł nagle bez testamentu i drogą spadku mój ojciec stał się spadkobiercą kapitałów pozostałych po nieboszczyku; wynosiły one sto kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Dziada nigdy w życiu nie widziałem, nie uczułem więc żalu po jego śmierci; zmiana zaś majątkowa zawróciła mi trochę głowę, była jednak i przyczyną pewnej obawy. Bałem się, czy ojciec, stawszy się bogatym człowiekiem, nie opuści służby i nie przeniesie się do rdzennie rosyjskich prowincyj; tak bowiem zrósłem się z tym krajem, tak pokochałem mych towarzyszy, że opuszczenie ich, byłbym uważał za najstroższy cios.

Obawy moje były zupełnie płonne, ojciec ani myślał opuszczać służby i Podola; w Rosyi nie pozostawił nic, co by było drogiem jego sercu, służba zaś, połączone z nią zajęcie, zresztą znajomości tu zawarte, stały się i dla niego magnesem, przyzwyczaił się do nich, znałogował. Tylko w sposobie naszego życia zaszły stanowcze zmiany — zaeziliśmy żyć wystawnie.

Ojciec nabył natychmiast dom, który wynajmowaliśmy dotychczas, kazał go odświeżyć i rozbudować. Na dziedzińcu stanęła nowa stajnia, w której mieściło się kilka szlachetnych, arabskich koni, nabytych u jednego z polskich magnatów. Oprócz tego kupił futor, o kilka wiorst odległy od Międzyrzecza, w którym był śliczny las i kilkadziesiąt morgów lasu.

Na zapytanie moje: dlaczego nie kupi większego majątku ziemskiego? — odpowiedział mi: że uczciwy Rosyanin nie może korzystać ze sposobów, jakie rząd wymyślił w celu wydarcia tutejszym polskim właścicielom oszczędności ich ziemi, ziemi, którą przodkowie ich krwią własną bronili przed nawałą bisurmańska.

— Futor, który nabyłem — mówił dalej — nie należał do szlachcica polskiego, posiadał go już jeden z okolicznych popów. Skrupuły więc moje nie miały w tym wypadku racji bytu.

Słowa te ojca sprawiły, że uczucia moje dlań, które tak były ochłodły, ożywiły się na nowo. Dziś jeszcze zastanawiam się nieraz przez długie godziny nad dziwną mieszaniną dobrych i złych, szlachetnych i niskich popędów i instynktów, nagromadzonych w duszy mego ojca. Obecnie widzę wyraźnie, że był on najdoskonalszem skryształizowaniem idei, wierzeń, błędów i cnót, które kierowały naszym społeczeństwem za dni Aleksandra II i wielkich reform społecznych. Za słaby, aby zdołał otrząsnąć się z niektórych zabytków barbarzyństwa i służalstwa tradycyjnego, z lenistwa duchowego i sybarytyzmu cielesnego, wrodzonego naszej rasie, a przez miękkie życie pokoleń całych spotęgowanego; za szlachetny, za dobry, aby poddać się gorszym instynktom swej rasy, aby stać się barbarzyńcą i powolnym narzędziem brutalnej władzy, życie całe przepędzał w walce pomiędzy złem i dobremi popędami; nie miał dość siły, aby porzucić służbę, sumienia zaś zawiele, aby służyć tak, jak tego przełożeni wymagali. Połowiczność ta i brak decyzji znamionowała wszystkie jego czynności; była przyczyną ciężkich walk wewnętrznych, upadków moralnych i chwilowego podnoszenia się z tychże. Połowiczności i zmienności tej jego natury przypisać dziś muszę i to, że usposobienie moje dla ojca zmieniało się tak często: były chwile, w których kochałem go serdecznie; były zaś i takie, w których przywiązanie synowskie zmieniało się prawie w nienawiść i pogardę. Dziś żałuję tego — ojciec mój jest z natury dobry i szlachetny, otoczenie tylko i warunki życia wykrzywiły jego charakter.

Józefowa była uszczęśliwiona naszym wzbogaceniem, ale ponoś jeszcze szczęśliwszą i dumniejszą się czuła z moich dobrych postępów w szkole.

Kolegów moich pocziwa staruszka umieściła w swem sercu tuż obok mnie i największą przyjemność jej to robiło, gdy mogła nas przyjmować i traktować przysmakami. W podobnych wypadkach rozradowane kobiecisko starało się zabawić nas opowieściami ze swego życia. Słuchaliśmy ochotnie.

Z surową przedmiotowością przesuwiała ona przed naszymi oczyma obrazy z urozmaiconego garnizonowego i obozowego życia. Polska wieśniaczka i żarliwa katoliczka wyszła za mąż za chłopaka młodego, sąsiada swych rodziców; w niespełna rok później męża jej wzięto do wojska, nie chciała go opuścić i rozpoczęła uciążliwą wędrówkę po obszarze niezmiernego państwa; wlokąc się za pułkiem, zwiedziła ona większą część carskiej imperyi; śniegi Riazaniu, stopy Turkiestanu i lodowce Kaukazu widziały tę biedną kobietę, która piorąc i prasując bieliznę oficerom, zarabiała na skromne utrzymanie uczciwego żywota.

— Gdym mego nieboszczyka Józefa pochowała — mawiała, ocierając łzy — gdy umarł biedaczysko, strawiony zgnilą gorączką w tej pogańskiej ziemi — byłabym przepadła, gdyby nie łaska naszej ś. p. pani, waszej matki, paniezu złoty.

— Jakże dawaliście sobie radę pani Józefowo? — zapytywał Kazio, którego opowieści te najwięcej zawsze zajmowały.

— Ha! paniezu, Bóg mi tak już dopomagał. Szczęście moje było, że dzieci nie miałam nigdy. No i to, że mnie Bóg nie obdarzył urodą; gdybym była piękną, to trudnoby było przeżyć uczciwie. Boże odpuść grzechu, ale nad przystojnemi »soldatkami« strasznie panowie oficerowie zbytkowali i mężowie cierpieć musieli, bo co żołnierz może naprzeciw oficera.

Ze zmianą stosunków majątkowych, mój ojciec pozawiazywał rozleglejsze stosunki, między innymi zapoznał się z kilku szlachecami polskimi, których majątki leżały w okręgu, należącym do jego jurysdykcyi. Panów tych zaprosił pewnego

razu na obiad. Z rosyjskich urzędników nie było nikogo, z mieszkańców naszego miasteczka tylko doktor i trzech oficerów ułańskich, należących do szwadronu tu stojącego; my wszyscy trzej należeliśmy również do współbiesiadników. Pomimo tego, że dopiero miałem czternasty rok, zmysł spostrzegawczy rozwinął się był we mnie niezwykajnie; przedewszystkiem lubilem obserwować ludzi. Polscy panowie, znajdujący się owego dnia przy obiadowym stole mego ojca, zwrócili mi baczną uwagę. Nasamprzód, mimo nalegań gościnnego gospodarza, nie pili prawie zupełnie wina, następnie nie dali unosić się ożywieniu i mówili bardzo mało; robili na mnie takie wrażenie, jakby się bali — powiedzieć za wiele.

Była to epoka pierwszych ruchów na półwyspie bałkańskim, poprzedzająca na kilka lat naszą ostatnią wojnę z Turcją; oficerowie byli bardzo zajęci temi ruchami, już wówczas przepowiadali, że musi się to skończyć wojną i rozplywali się w uniesieniu, malując w idealnych barwach przyszłą szczęśliwość ogólno-słowiańskiej rzeszy pod berłem cesarza Wszechrosyi.

Polacy potakiwali ruchem głowy, słowami jednak nie wyrażali swego zdania.

Ojciec tylko rzekł, że nie ma zupełnie nadziei, aby ludzie kierujący wówczas nawą państwową w Rosyi mogli przyczynić się do szczęścia Słowiańszczyzny.

— Przybędzie tylko cesarstwu kilka nowych gubernij — mówił, zapalając się — a południowi Słowianie dostaną się z pod korbacza tureckiego pod nahajkę kozacką.

Przy słowach tych zauważyłem, że szlacheńcy spojrzeli po sobie, a wyraz przykrego zdziwienia i rosnącej nieufności wypiętnował się na ich marsowych i otwartych obliczach. Ojciec mówił dalej, przechodząc z niezwykłego u niego zapалу w codzienną apatję:

— Zresztą, co mnie tam te pastuchy nierogacizny i drobni »torgowcy« obchodzą. Wszystko mi jedno, kto ich dusić będzie, nie ten, to ów, jest to ponoś bydło, przeznaczone na to, by go zawsze ktoś obcy pasł. Pal ich tam czart!

W tej chwili jeden z Polaków, mrugnawszy do drugiego znacząco, powstał i uroczyście wznosił »zdrowie Najjaśniejszego Pana«. Wszyscy z udanym zapalem wypróżnili kielichy szampańskiego wina. Przy stole zapanowało głębokie milczenie.

Wnet po obiedzie polscy goście pożegnali gospodarza i opuścili nasz dom, ojciec z oficerami zasiadł do partyi bezika. Był podniecony libacyami i rozdrażniony zachowaniem się szlachciców. Z drugiego pokoju słyszałem, jak mówił do do swych partnerów :

Dziwny naród! cienia się własnego boją. Czyś uważał rotmistrzu, jakie miny porobili, gdy o tych posłuchach z za Dunaju mówił? Wiem, że rządu nie cierpią, a starają się uchodzić za najwierniejszych poddanych cesarza. Pfe! nie lubię hipokryzyi.

Nasza to ponoś wina — odrzekł oficer. — W każdym Rosyaninie widzi Polak szpiega i zbira, nie dziwnego, że się kryją, bojąc się wpaść w pułapkę. Posłuchajno, jak się im język rozwiąże, jak zaczną rozprawiać *ad duxi*, to w kąć nasze liberały; za swą rzeczpospolitą oddaliby ostatnią kroplę krwi. Od nich się nam uczyć; żeby my mieli takich ludzi, to pewno kamarylla nie rządziłaby nami, jak trzodą owiec. Zresztą *exort pabieri!* Osip Iwanowicz, każ duszko dać butelkę likieru! Trzeba strapienie w kieliszku topić.

Wiedziałem, co to znaczy. Wnet rozpoczęła się pijatyka na dobre i gra hazardowna.

Zostawiwszy ojca z gośćmi, poszedłem do Stasia.

Drugi rok moich nauk szkolnych niczem prawie nie różnił się od pierwszego. Upamiętnił on się tylko w moich wspomnieniach awanturą, jaką zrobiłem z pewnym popowiczem, naszym kolegą.

Teofil Zalińskij był bratańcem naszego nauczyciela schyzmatyckiej religii, Aleksandra Zalińskiego. Tego nauczyciela nienawidziliśmy wszyscy serdecznie, był to bowiem typ fałszywego bizantyńskiego mnicha-ascety. W klasie i na ulicy robił wrażenie męczennika, nazywaliśmy go przez ironię »zatwor-

nikiem¹⁾. Wszyscy jednak wiedzieliśmy doskonale, że nocami w ukryciu, wyprawia sobie orgie i był człowiekiem najgorszego życia.

Bratanek tego tartufa, a nasz kolega, spełniał przy stryju podłą służbę donosiciela i szpiega. Umiał on wśliznąć się na każdą «kwatere» i wymyszkować, co tam się dzieje; nasze mieszkanie było przedmiotem najpilniejszej jego uwagi. Zjawiał się nie wiedzieć kiedy i po co i znowu znikał, by za pół godziny powrócić. Jak później przekonaliśmy się, podejrzewał on nas, że mamy u siebie polskie książki, i chciał koniecznie podejść nas niespodzianie i zdradzić przed stryjem.

W dodatku do szlachetnego rzemiosła szpiega uprawiał on jeszcze sport żebraczy; umiał sprytnie i niepostrzeżenie przemówić się do wszystkiego i wyludzał od nas mnóstwo fraszek i drobiazków.

Kosztowne te i niemile wizyty dokuczyły wreszcie nam wszystkim; postanowiliśmy, bądź co bądź pozbyć się go z mieszkania.

Pewnego wieczora zajęci byliśmy czytaniem jakiejś nowej książki, przesłanej Adasiowi przez jego matkę; Wiktorrek, młodszy brat Stasia, pierwszo-klasista, stał na kurytarzu na warcie, story w pokoju były szczelnie pozapuszczane; czytaliśmy zawzięcie, głośno, jeden po drugim, kolejno. Nagle wpadł Wiktorrek z doniesieniem, że ktoś pod oknem podsłuchuje. Książkę natychmiast odniósł Adaś do panny Anieli, a ja tymczasem z kijem wypadłem na dziedziniec i ujrzałem, jak cień jakiś z pod okien umykał ku furtce; pogoniłem za nim i udało mi się raz dosięgnąć go kijem po plecach.

Nazajutrz pierwsza lekeya przypadła właśnie na naukę religii. Pop wszedł zirytowany, wyniszczona rozpustą twarz jego

¹⁾ *Zatwornik*, nazwa rosyjska, dawana owym świętym cerkwi schizmatyckiej, którzy za życia kazali się — jak mówi podanie — zanurzywać w ciasnym celach lub pieczarach i tam karmieni z dobroczynności pielgrzymów, oczekiwali śmierci.

mieniła się jakimiś błękitno zielonemi cieniami. Po odmówieniu modlitwy odrazu zwrócił się do mnie — powstałem w ławce.

— Wyjdź z ławki na środek — wrzasnął — w ławce ci podpowiadają.

Wyszedłem. Zadał mi pytanie; ani słowa nie odpowiedziałem, lekecy bowiem nie uczyłem się zupełnie.

— To lekecy nie umiesz — wołał nieludzkim głosem — »zakon bożyj« śmierdzi ci, jaśnie wielmożny paniecu, a z polaczkami książki polskie rewolucyjne, zakazane czytasz. Ruszaj mi na miejsce parszywa owco, a ja ci przepowiadam, że narzecie cierpliwość władzy się wyczerpie i dla przykładu ukarzą cię publicznie, ukarzą cię pletniami.

Zakipiało we mnie, nie mogłem się powstrzymać i głośno krzyknąłem:

— Nikt nie ma prawa mnie bić, jestem szlachcicem!

— Zobaczymy! — odrzekł pop, i tymczasem historia na tem się skończyła.

Nie mogłem się jednak uspokoić; nieznanne mi przedtem uczucie opanowało moje ciało, krew strasznym warem krążyła w żyłach, zaciskałem konwulsyjnie pięści, usta aż do krwi gryzłem. Czulem, że dochodzę do szaleństwa.

Wreszcie lekecy się skończyła, pop wyszedł, w sali zrobiło się gwarno, katolicy wracali z lekecy, którą mieli ze swoim kapelanem. Wybiegłem ze swego miejsca i stanąwszy przed kolegą Zalińskim, zapytałem go głosem zdławionym od gniewu:

— Czy to ty podły żebraku donosy na mnie robisz?

Ten odwrócił się do mnie tyłem i rzekł:

— Pójdź precz! Odczep się odemnie pański lizunie!

Nie wiem, co się dalej stało. Na kilka chwil straciłem przytomność i odzyskałem ją dopiero wówczas, gdy koledzy odciągnęli mnie na stronę. Popatrzyłem na mego przeciwnika: leżał zupełnie martwy, twarz miał białą jak papier, a z nosa i ust lała się czerwona krew. Skamieniałem; wydało mi się, że zabiłem go na miejscu; żal jakiś okrutny ścianał mi serce, oddech zatamował, stałem wpatrzony martwemi oczyma w twarz

bezlitośnie skatowanego chłopaka. Ani przez chwilę nie pomyślałem o następstwach, jakie mogą mnie spotkać za czyn popełniony — nie! pierwszą myślą moją było: ratować pobitego, jeśli jakikolwiek ratunek jest jeszcze możliwy. Z konwulsyjnie zaciśniętych ust wyrwało mi się pierwsze słowo:

— Wody! wody!

Ocucono go. Mnie poddano śledztwu, grożono karą cielesną, wydaleniem z gimnazjum. Ojciec jednak przyjechał, zaprosił dyrektora na obiad i skończyło się na kilku godzinach karceru.

Wypadek ten zrobił ze mnie bohatera, koledzy uwielbiali mnie, wynosili pod niebiosa; Adaś powiedział mi:

— Teraz widzę, że jesteś prawdziwym szlachcicem, kiedy umiesz tak w pysk bić.

W głębi duszy czułem się jednak dziwnie zawstydzony brutalstwem mej natury i dałem sobie słowo nigdy nie dać się unieść namiętności gniewu, która zmienia człowieka w zwierzę. I dotrzymałem danego sobie słowa.

Od owej bytności, spowodowanej awanturą, przezemnie zrobioną i kilkudniowego pobytu, ojciec mój stał się częstszym gościem w gubernialnem mieście. Mówił mi zawsze, niby tłumacząc się, że sprawy służbowe sprowadzają go tu i przez dłuższy czas zatrzymują. Rad z tego byłem, bo obecność ojca połączoną była zawsze z różnemi darami dla mnie.

Coraz więcej czasu przepędzałem z nim teraz, chociaż zazwyczaj tylko w popołudniowych godzinach odwiedzałem go; przed wieczorem zawsze wyprawiał mnie do domu, utrzymując, że wieczór ma zajęty, to wizytą u gubernatora, to zebraniem w klubie, to jakąś proszoną kolacją. Wierzyłem, bo nie miałem przyczyny nie wierzyć.

Pewnego poranku w styczniu wstałem wcześniej niż zwykle i nie wiem sam, z jakiego powodu przyszła mi myśl odwiedzenia ojca przedtem, nim pójde do szkoły.

Pospiesznie, ślizgając się po obmarzniętych chodnikach, przebiegłem kilka uliczek, dzielących naszą »kwaterę« od hotelu,

w którym mieszkał ojciec. W bramie spotkałem dobrze znanego mi portyera.

— Czy pan Dawydow spi? — spytałem pospiesznie.

— Nie! — odpowiedział odźwierny i dziwnie jakoś się uśmiechnął.

Wszedłem do numeru i stanąłem w pierwszej chwili zdziwiony, oślepiiony; dym cygarowy, zapelniający szczelnie oba obszerne pokoje, nie pozwolił mi długo rozpoznać, co się tam działo. Gdy wreszcie przyzwyczaiłem wzrok do tej sztucznej a niemile gryzącej mgły, dziwaczny widok przedstawił się oczom moim: wokoło kilku pozsuwanych stołów karcianych siedziało kilkunastu mężczyzn, ubrania ich były w nieładzie, twarze zmęczone, oczy zaognione i okrażone ciemnymi obwódkami. Na stole leżały całe stopy kart i kupy pomiętych banknotów — »djabelek« szedł w najlepsze.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co z sobą zrobić; milcząc rozglądałem się ciekawie po zebranem towarzystwie, z wolna zacząłem rozpoznawać osoby. Byli tam i młodzi polscy panicze, znani ze swych pohulanek i utracynszostwa, i oficerowie kawalerji, i urzędnicy wyższych stopni. Mój ojciec z pańską miną, wesoly i najświeżej pośród nich wyglądający, ciągnął właśnie bank. Przegrał tysiąc rubli, uśmiechnął się po-błażliwie, zwitek banknotów z lekceważeniem wrzucił do puli. Podobał mi się wówczas. Spojrzałem nań z wyrazem uwielbienia. On znać uczuł mój wzrok, bo wnet popatrzał w moją stronę, spojrzenia nasze spotkały się, i mnie wydało się, że w pierwszej chwili rumieniec wstydu oblał piękne jego rysy, wnet jednak znikł, a twarz jego przybrała wyraz gniewu.

— A tyś się tu z kąd wziął? — zapytał porywczo. Zaraz mi ruszaj do szkoły! — dodał łagodniej.

Nim głos jego przebrzmiał, byłem już za drzwiami. Do klasy było jeszcze zaweseśnie, nie wiedziałem, co z sobą zrobić — zacząłem błąkać się po mieście, wreszcie wszedłem do otwartego kościoła katedralnego. Weisnąłem się tu w najmniejszą kącik i zacząłem rozmyślać nad tem, co dziś ujrzałem.

Zaimponowało mi to dostrzeżone w ojeu lekceważenie pieniędzy, ta pańska obojętność na stratę, tak odbijająca od wyrazów wypiętnowanych na obliczach innych graczy. A jednak głos ojca i spojrzenie, jakie na mnie rzucił, i ten mgnienie oka trwający rumieniec, wyraźnie mi mówiły, że to co on robił, było złem, i on się tego wstydzil.

W przekonaniu tem utwierdziłem się jeszcze mocniej tegoż samego dnia po południu.

Jak zwykle, zaraz po obiedzie poszedłem do ojca; był sam — gdy wszedłem, uśmiechnął się jakoś niewyraźnie, a ja odczułem odrazu, że jest zmieszany. Potem zaczął się tłumaczyć, że partya wczorajsza złożyła się niespodzianie, że poschodzili się znajomi na pogadankę, i ktoś zaproponował grę, która aż do samego rana się przeciągnęła.

Słów tych słuchałem z trudnem do opisania zdumieniem; idąc tu, byłem przygotowany na burę za niestosowne moje zjawienie się rano; tymczasem ojciec przedemną, malcem, zniżał się do tłumaczenia ze swych czynności. Wkrótce zrozumiałem przyczynę.

— Widzisz — mówił dalej — że gry hazardowej nie lubię; szczególnie nie lubię, żeby u mnie, w mojem mieszkaniu grywano. No, stało się. Dlatego ci to wszystko mówię, bo chciałbym, ażebyś i ty nabrał wstrętu do gry — tu spuścił oczy — abyś i ty wiedział, że to może być nieszczęściem życia.

Czułem, że potrzeba mówienia o tym przedmiocie sprawia mu wielką przykrość, skierowałem więc nieznacznie rozmowę na inny przedmiot. Ojciec dostrzegł tę moją delikatność i najwyraźniej zrobiła mu ona przyjemność, bo wpadł w doskonały humor, chwalił moje postępy w szkole, obiecał mi na wakacye kupić pięknego wierzchowego konia, wreszcie napisać do dyrektora bilet z prośbą: o pozwolenie zabrania mnie z sobą do teatru.

Teatr lubilem i rad chodziłem na przedstawienia. Tego wieczora zajęliśmy dwa fotele w pierwszym rzędzie na parterze. Po naszym wejściu wnet podniesiono kurtynę i tu zato-

pilem się w słuchaniu. Grano *Petersburskiego rewizora*; siedzący obok nas wyżsi urzędnicy, sztabowi oficerowie, ludzie — zgodnie z ówczesną modą — liberalni przyklaskiwali aktorom i mnie sztuka podobała się; czułem jednak, że mi coś przeszkadza w słuchaniu, że mi coś nie pozwala skupić uwagi. Czułem, że jakiś dziwny, trudny do wytłómaczenia wpływ działa na mnie, nie pozwala mi patrzeć na scenę, ale ciągnie mój wzrok na prawo. Nie mogłem się oprzeć — spojrzalem. W łoży parterowej, tuż ponad nami siedziała nad wyraz piękna kobieta i z niezwykłą ciekawością wpatrywała się we mnie. Była to blondynka o płowych, bujnych splotach włosów, matowej cerze twarzy i jasnych czarno-zielonych oczach; oczy te miały jakąś dziwną magnetyczną siłę — przykuwały do siebie. Patrzałem w nie przez chwilę, później nagle poczułem pewien rodzaj wstydu, zarumienilem się gwałtownie i spuściłem oczy. Nie mogłem jednak zebrać już uwagi i słuchać pilnie gry aktorów; czułem bezprześcannie wzrok tej pięknej pani, utkwiony w mą twarz i to zmieszalo mnie w trudny do opisania sposób.

Po skończeniu pierwszego aktu, mój ojciec powstał i zwróciwszy się w stronę owej piękności, złożył jej pełen galanterii ukłon, ona odkloniła mu się zaledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, lecz skinieniu temu towarzyszył tak znaczący uśmiech, iż odrazu domyśliłem się, że muszą się znać dobrze i być z sobą w zażyłości.

Gdy kurtyua znowu się podniosła i ojciec usiadł, przysunąłem się ku niemu i szeptem spytałem:

— Kto jest ta piękna pani?

— Piękna... A więc uważasz, że ona jest piękna? — odparł również szeptem, a uśmiechając się przytem z wyrazem wewnętrznego zadowolenia, to ty masz gust chłopcze!... To jest Julia Edwardowna Szurina, żona tego łysego, ogolonego radcy izby sądowej. Moja znajoma.

Więcej nie powiedział, ja też nie pytałem o więcej. Uczułem tylko dziwny ból koło serca i nie wiem dlaczego zniema-

widziłem odrazu tę piękną panią; przeczuwałem, że ona odbierze mi serce mego ojca, byłem zazdrosny.

Przez cały czas trwania przedstawienia ukradkiem spozierałem na sąsiadkę z parterowej łoży i zauważyłem, że i ona obserwuje mnie bacznie, tylko wystrzegaliśmy się już teraz wzajemnie, aby spojżenia nasze nie spotkały się.

Gdy kurtyna zapadła, ojciec pospiesznie wstał i dał mi znak, żebym natychmiast wyszedł za nim. Rozpychając tłoczącą się na kurytarzach parterową publiczność, dostaliśmy się do wejścia; tu ojciec zawołał doróżkę i kazał odwieźć mnie do domu, sam pozostał w bramie teatru; zanim doróżkarz z powodu natłoku mógł ruszyć z miejsca, zobaczyłem, że pani Szurina wraz z łysym ogolonym małżonkiem znalazła się już także w bramie i witała się z ojcem, mówiąc coś z ożywieniem. Do uszu moich dolatywały tylko urywane słowa:

— To pański syn? czemu go pan do nas nie przyprowadzisz? aż miło nań spojrzeć, jaki ładny chłopak.

Gniew mnie porwał, omal że nie krzyknąłem z odkrytej doróżki: co ci do tego, czy ja ładny, czy brzydki? Na szczęście doróżkarz zdołał się wyplatać nareszcie z tłoku i ruszyliśmy szalonym kłusem do domu.

Na drugi dzień ojciec do dnia wyjechał z miasta.

Nazwisko jednak pani Szurinej utkwilo mi głęboko w pamięci.

Pomiędzy uczniami wyższych klas byli i tacy, którzy wiedzieli, co się w miejscowym wielkim świecie działo; do Adasia Ogrodzkiego przychodził dość często Bolek Ursyński, siódmokłaśnik i wielki »frant«, brat młodszy Walka Ursyńskiego, najgłośniejszego lwa i lowelasa kamienieckiego. Pomiędzy różnicy wieku byliśmy z Bolkiem w dobrej zażyłości. Pierwszy raz, gdy przyszedł do nas, zapytałem go, co wie o pani Szurinej?

Zapytany wypatrzył się na mnie ze zdziwieniem i wnet potem wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Cha! cha! cha! — śmiał się jak szalony — wysoko Waniu mierzysz! za wysoko! Patrzcie-no go! A toś się wybrał!

Koledzy moi również śmiać się zaczęli i dokuczali mi na wyprzedki. Radzi byli, że znaleźli wreszcie przedmiot i mogli mi odpłacić pięknem za nadobne. Wszyscy oni bowiem wdychali skrycie do którejś z uczennic żeńskiego gimnazjum, ja tylko byłem wolny od tej słabostki i — co prawda — żartowałem z ich uczuć niemilosierdzie. Śmiech ten i przycinki rozgniewały mnie na dobre tak, że porywczo zawolałem:

— Nie macie w swych głowach kropli oleju! Jeżeli pytam się Ursyńskiego o panią Szurinę, to muszę mieć do tego racjonalny jakiś powód. Nie takim znowu głupi, żeby się kochać w starej babie.

— Dobrze! dobrze! — krzyczeli, śmiejąc się jak wariaci. — Każdy tak mówi! Szurina stara baba!... cha! cha! cha! Nie wykreśisz się bratku, wreszcie złapaliśmy anachoretę!

— Trzeba mu powiedzieć — zawolał wreszcie Ursyński, przybierając poważną pozę mentora — niech się darmo nie balamuci. Nic gorszego, jak beznadziejna miłość w jego wieku — mówił dalej, drapując się w zabawną powagę. — Otóż musisz wiedzieć, że Szurina jest sobie... ot, jakby ci to powiedzieć bez obrażenia twej skromności... jestto wesoła kobiecina, ale przy tem djabelnie mądra. Mój brat w przeszłym roku robił jej kure, ale dał pokój, bo przekonał się, że nie nastarczy pieniędzy na prezenta; porzucił i dobrze zrobił, bo co mi to za miłość, za którą trzeba brylantami płacić. Teraz kocha się w Kareninie, aktorce z operety i kosztuje go to... prawie nic, ot czasem kolacya. No a Julia Edwardówna skubie teraz tego Niemca Sakena, podpułkownika ułańskiego, ale temu nic nie zrobi, bo podobno niemieczysko bogate, jak żyd. No, dowiedziałeś się? Mam nadzieję, że dasz sobie pokój i nie będziesz się wystawiał na śmieszność.

Nie odpowiedziałem na całą tę tyradę, a w duszy rad byłem, że koledzy powzięli to śmieszne posądzenie i nie wpadli

na prawdziwy domysł. Drugi wypadek był o wiele dla mnie przykrzejszy.

Dnie mijaly za dniami, ojca dłuższy czas nie było w mieście, tak, że zapomniałem prawie o moich posądzeniach, a gdy przypomniałem sobie czasem o nich, to sam z siebie się śmiałem. Wróciły one jednak z większą siłą, zmieniły się wkrótce w pewność.

Z nastaniem zimy mój ojciec stał się prawie stałym mieszkańcem stolicy naszej gubernii; przesiadywał całymi tygodniami, sprowadził tu swe piękne konie i ekwipaż jego zachwycał przechodniów.

Raz, pamiętam, wracałem ze szkoły na obiad do domu, na skrócie z Bankowej ulicy w rynek, ujrzałem olbrzymią kawalkadę; cały szereg sanek przesuwiał się przez rynek od pocztowej ulicy w kierunku tureckiego mostu. Na samym przedzie rwały z kopyta prześliczne, kasztanowate araby mego ojca. Powozil sam, obok niego siedziała owa pani z teatru — Julia Edwardowna; nachylona ku powożącemu, uśmiechała się swym demonicznym, magnetyzującym uśmiechem; twarz jej zarumieniona od wiatru i mrozu odbijała precudnie od białej puszystej czapeczki i takiegoż szerokiego kołnierza. I ojciec wyglądał jakoś inaczej niż dawniej — młodziej, czerstwiej, weselej; znać na nim było staranie około swej powierzchowności.

Przelecieli jak błyskawica, ja stałem zapatrzony w kierunku, w którym zniknęli mi z oczu; stałem zamyślony i boleśnie zdziwiony. Bylbym tak stał Bóg wie jak długo, gdyby nie to, iż przechodzień jakiś potrafił mnie tak silnie, że omal nie upadłem na ulicę, pod konie. Oprzytomniałem i ruszyłem do domu.

Kilka dni później Ursyński znowu odwiedził Adasia. Ujrawszy mnie na samym wstępie zawołał:

— No już wiem, dlaczego pytałeś się o Szurinę. Ho, ho! Twój stary tegi *maladiec*, odbił Niemcowi babę. Mój brat tak się z tego cieszy, jakby mu kto zgniał gruszkę w kieszeń włożył. Mówi, że twemu staremu wyprawił wspaniałą kolację.

Chwat, dalibóg, ale ty nie wdałeś się w niego, będziesz chyba księdzem.

Rozśmiałem się serdecznie na to przypuszczenie, zdawało mi się tak cudackiem i zabawnem, a jednak roztrzępany Bolko przypadkiem odgadł mą przyszłość.

W tydzień potem całe miasto głośno mówiło o tem: że mój ojciec jest urzędownie przyjętym kochankiem Julii Edwardówny. Nikt się temu zresztą nie dziwił; zepsucie rosyjskiego społeczeństwa jest tak wielkie, iż fakt podobny nie jest w stanie wywołać nietylko zgorzenia, ale nawet zdziwienia. Jestto obecnie chleb powszedni.

Jedni ojcu zazdrościli; drudzy przepowiadali, że go ta kobieta zrujnuje; inni zaś znowu wzruszali ramionami i sądzili, że nie warto nawet na to zwracać uwagi.

Co mnie ze wszystkiego najmocniej bolało i gniewało, to to, że wszyscy znajomi ojca mówili przy mnie głośno o całej tej historii, a nawet byli i tacy, którzy mnie zapytywali o zdanie. Dziwne znieczulenie zmysłu delikatności!

Sprawa ta wywarła na moje usposobienie o wiele silniejsze wrażenie, niżby się tego można było spodziewać. Zdzi-
czałem. Wstydzilem się za ojca bardziej, niżbym był w stanie wstydzić się za swój własny błąd. Szukałem samotności i nawet unikałem mych najlepszych przyjaciół, towarzyszy mieszkania.

Melancholia jakaś i dziwne zniechęcenie do życia zaczęło mnie ogarniać. Chwilami zdawało mi się, że nienawidzę sam siebie; innym razem znowu chciałem płakać nad sobą i nad losem okrutnym i nad opuszczeniem własnem. Czulem się sam, samiuteńki wśród niezmierzonej przestrzeni świata, jak mała opuszczona łódka, jak lupinka krucha na wzburzonych falach bezbrzeżnego oceanu. Dopiero w chwilach rozpaczy odczulem dokładnie całą boleść sieroctwa zupełnego i prosiłem Boga, żeby zmiłował się nademną i zabrał mnie z tego świata — tam do siebie, do matki.

Doświadczyłem wówczas i trującego wpływu gorzkiego jadu zazdrości. Zazdrościłem tej zielonookiej kobiecie miłości mego ojca, i za siebie i za moją zmarłą matkę.

Stosunek mój z ojcem ochłódl zupełnie, wyrzutów czynić mu nie śmiałem, nie miałem odwagi; on jednak wiedział doskonale, jakie uczucia w mej duszy goszczą, i co więcej — zdaje mi się, że w gruncie przyznawał mi słuszność, nie miał jednak tyle silnej woli i stanowczości, żeby zerwać związek, będący zaporą pomiędzy mną a nim. Wada całej generacji, wada może nawet całej warstwy społecznej, przez kilka pokoleń trwająca, czyniła go nieszczęśliwym. Jednakże ja nie zdobyłem się na tyle miłosierdzia, żeby go wówczas żalować.

IV.

Gorycz, gniewdząca się w mej duszy, zmieniła, skrzywiła zupełnie kierunek mego ówczesnego rozwoju umysłowego.

W następstwie owego rozgoryczenia zdziaczałem i straciłem humor i wesołość, za którą lubili mnie koledzy i przyjaciele. Zdziwienie to doszło do tego stopnia, że wyniosłem się nawet w następnym roku z naszej wspólnej kwatery u pani Waruskiej. Poczciwi chłopcy, serdeczni koledzy Staś, Adaś i Kazio robili wszelkie starania, ażeby odegnać od mej duszy smutek ten straszny, a tak widoczny; perswadowali, prosili, błagali — nic nie pomagało, zaciąłem się i słowem przed nimi nie zdradziłem przyczyn mego usposobienia; oni zaś choć znali je dokładnie, przez wrodzoną im delikatność nie śmieli nigdy tej sprawy tknąć, nie odważyli się mówić otwarcie, bez ogródek. Ulokowałem się u starego nauczyciela Wiaziencewa, znanego ze swych dziwactw, małomowności i pesymizmu; pani Wiaziencewa w wadach tych, czy przymiotach przewyższała jeszcze swego męża; dom ten nazywano »klasztorem Kamedulów«. Miałem tam zupełnie osobny pokój i pozwolenie chodzenia po dość obszernym, w piękne drzewa bogatym ogro-

dzie, który przypierał prawie do starych murów, otaczających ormiański kościół.

W cieniu tych olbrzymich wiekowych drzew przepędziłem niejedną godzinę, pogrążony w najsmutniejszych myślach. Wkrótce doszedłem do tego, iż zacząłem się lubować w moim smutku i sztucznie go podniecać; wpływ bajronizmem przejętych poetów, których dzieła czytywałem, usposabiał mnie do tego; wyobrażałem sobie, że jestem jednym z pośród demonicznych bohaterów Bajrona, Puszkina lub Lermontowa. Wystawiałem sobie, że cierpię nudę, splin zupełnie taki sam, jak ów, który prześladował Jewgenija Aniegina, że doświadczam tych udręczeń, jakie szarpały duszę »bohatera naszych czasów.«

Smutek więc ów przechodził w sztuczną, nienaturalną fazę i prawdopodobnie po pewnym przeciągu czasu byłby znikł zupełnie, byłby się ulotnił bez śladów i byłbym z pewnością powrócił do dawnych przyjaciół i do dawnego usposobienia, bo w duszy uczuwałem już był nieraz tęsknotę za minionymi rozrywkami i serdecznymi kolegami, gdyby nie zapoznanie się z pewnym uczniem, który myśli moje skierował na zupełnie nowe, a nigdy przedtem nieznanne mi drogi.

Znajomość ta stała się dla mnie przyczyną strasznych udręczeń umysłowych, walk jakichś tytanicznych a niepochwytnych, bo staczanych w umyśle, nie postrzeżonych przez nikogo i nikomu nieznanych. Dziś jeszcze dreszcz zimny przechodzi cały mój organizm, gdy wspomnę, po jakich jałowych manowcach ducha umysł mój błądził, po nad jakimi strasznymi przepaściami dusza moja przelatywała i z głębi serca mego składałam dzięki Bogu przedwiecznemu za to, iż przez rozliczne uczucia: boleści i rozkoszy, cierpienia i błogości dopomógł mi poznać całą blahość obłądzenia owego, w którym na on czas pogrążony byłem i pozwolił duszy mej powrócić na prostą drogę, a oświecił ją prawdziwym światłem.

U Wiazniencowa mieszkał i drugi uczeń — Rosyanin, jedyny syn ogromnie bogatego przemysłowca, cukrowara: Arkadij Arystydowicz Werbenow. Miał on zupełnie oddzielne

mieszkanie, był starszy odemnie i o dwie klasy wyżej był posunięty w naukach; zrazu nie spotykałem się z nim tylko przy obiedzie. Arkadij był milczący; spoglądał na mnie z tem bezzmiernem lekceważeniem, z jakim tylko patrzeć może uczeń siódmej klasy na piątoklasowca.

Mnie on zajął odrazu; był zupełnie inny, różny od innych uczniów. Już sama zewnętrzna postać wyróżniała go: był słuszny, gibki, wygimnastykowany i silny po nad wiek; nigdy się nie śmiał ani oddawał zabawom studenckim, lecz za to nie pograżał się równie w bezpłodne marzenia; ćwiczenia ciała, którym oddawał się z zajądłością prawie, traktował nie jako zabawę i rozrywkę, ale stawiał je na równi z pracą umysłową. Ogród profesorski był dlań miejscem popisów. Przepędzaliśmy tam nieraz długie godziny, nie zwracając na siebie nawzajem zupełnie uwagi: ja, pograżony w bezpłodnej zadumie lub zajęty czytaniem jakiegoś poematu — on, oddany ćwiczeniom ciała.

Raz — pamiętam to doskonale, bo w tym dniu przemówił on pierwsze słowo do mnie, po za obrębem jadalnego pokoju — udało się Arkadiemu wykonać nadzwyczajną ewolucję na drażku, przeznaczonym do gimnastyki.

— Patrzcie! — zawołał on do mnie, zabierając się do powtórzenia nadzwyczajnego kozła. — Patrzcie, bo nie zaraz zdarzy się wam zobaczyć to ćwiczenie. Nikt w Kamieńcu zrobić go nie potrafi; wyuczyłem się go z książki — i machnął jakiś karkołomny młyniec.

Zbliżyłem się ku niemu, czułem, że słowa jego, że zwrócenie na mnie uwagi robi mi niewysłowioną rozkosz. Nie przesadzam, mówiąc, iż serce mi wówczas bić silniej zaczęło, a w duszy zrodziło się uwielbienie dla tego dziwnego sąsiada. Był on prawdziwym Herkulesem pod względem fizycznym; z wysokiego zaś i białego jego czoła, z oczu szarych, zamysłonych tryskały promienie jakiejś dziwnej, ponurej trochę, lecz za to zimnej i surowej inteligencyi. Patrzyłem, nie przemówiwszy ani słowa, tak długo, zanim Werbenow nie skończył swoich ćwiczeń i zeskoczywszy z drażka nie stanął obok mnie. Po-

dziw mój wzrósł jeszcze, gdy przemówił do mnie, głos mu nie drżał nawet, a po tak forsownych ćwiczeniach, twarz jego była zaledwie trochę zarumieniona, oddychał swobodnie.

— Zaczynajcie się gimnastykować Iwanie Osipowiczu — rzekł do mnie, spoglądając mi w oczy — człowiek, który nie ćwiczy ciała na równi z umysłem, musi być kaleką. W szkole obok nas rosna sami kandydaci na kaleki. Wy macie jeszcze czas, no i wszelkie warunki na silnego, na doskonałego mężczyznę, weźcie się do roboty, będę was uczył z ochotą. Cóż wy na to?

W pierwszej chwili nie mogłem się zebrać na odpowiedź, tak byłem zdziwiony, powiem wręcz wzruszony przemową tego dziwnego młodzieńca. Po chwili dopiero odpowiedziałem mu, że z największą przyjemnością korzystać będę z jego uprzejmości.

Wnet potem rozpoczęła się moja pierwsza lekcya gimnastyki.

Od owego dnia zawiązałem ścisły stosunek z Werbenowym; nie była to przyjaźń młodzieńcza, podobna do przyjaźni, jaka łączyła mnie ze Stasiem, Adasiem lub Kaziem — nie! Arkadij otaczał się zawsze względem mnie jakimś nimbem wyższości i nieprzystępności, traktował mnie jako swego ucznia i trochę nawet niby podwładnego. Najdziwaczniejszem było to, że ja wyższość tę przyjmowałem jako rzecz zupełnie naturalną i stósowną; umysł jego olśnił mnie i sprawił to, iż uznałem go swym mistrzem.

Z biegiem czasu spoufaliliśmy się trochę z sobą. Uśmiecham się jeszcze dziś, gdy wspomnę, jakim drżeniem radości byłem przejęty, gdy on zaproponował mi, żebyśmy sobie nawzajem mówili: ty. Jak dziecko radowałem się, że mistrz w laskawości swej powiedział mi po raz pierwszy: że ja mam zdolności wybitne i że mógłbym daleko zajść, gdyby nie pierwotny skrzywiony kierunek mych myśli i chorobliwe rozbu-janie uczuć.

Do śmierci nie zapomnę owej rozmowy, w której Werbenow uchylił przedemną swej zimnej mądrości. Było to w rok

prawie po zawiązaniu naszej znajomości. Uczyłem się fizyki, a nie mogąc zrozumieć dokładnie znaczenia pewnego ustępu, udałem się do niego z prośbą o pomoc. Trudny do pojęcia dla mnie ustęp traktował o stosunku siły do materji; przeczytałem mu go i prosiłem o objaśnienie. On uśmiechnął się skeptycznie i rzekł:

— Żebyś mógł to zrozumieć, musisz odrzucić cały balast głupich wierzeń, całą kupę bezsensowych dogmatów, w które zaopatrzone cię laskawie w czasie twego dzieciństwa. Do zrozumienia tej sprawy trzeba przystępować z jasnym umysłem.

Prosiłem go, żeby mi wytłumaczył, a ja postaram się podążać myślą za nim.

— Żebyś nie zlorzeczył mi później — zawołał, uśmiechając się jeszcze ironiczniej — bo ja mimowolnie muszę obalić w tobie to, co głupi popi zowią wiarą. Materja i siła to węzeł życia, to geneza jasnego pojęcia i zrozumienia natury — mówił, przybierając śmieszna trochę powagę mistrza.

— Siły od materji nikt nigdy nie rozdzielił.

— A przecież dusza oddziela się od ciała — w chwili śmierci.

— Dusza! cha! cha! dusza! — zawołał, zanosząc się od śmiechu Werbenow. — Och, ty dziecino! ty wierzysz, ty wierzysz w jakąś tam duszę, a może i w nieśmiertelność duszy? — słowa »dusza«, »nieśmiertelność« wymawiał z dziwnym sarkazmem. — Wszystkie siły świata — mówił dalej — na pozór tak różnorodne, są objawem jedyne go motoru, związanego nierozdzielnie, rozumiesz mnie, nierozdzielnie z materją, która znowu w całej swej różnaitości pozornej składa się z atomów, nie różniących się w niczem pomiędzy sobą. Gdy nauka chemii i fizyki postąpi, to znajdą się napewno niezbite dowody tej prawdy naukowej.

— A dlaczego siła opuszcza materję w chwili, gdy człowiek umiera? — pytałem go uparcie.

— Kto ci powiedział, że opuszcza? — krzyknął porywczo. — Kto kiedy widział tę duszę, tę siłę wychodzącą z ciała,

opuszczającą materję? To głupstwa, poezya zbalamuconych umysłów, to dogmat, głupi dogmat, wymyślony przez popów, pragnących brać zapłatę za usługi, oddawane duszy. Jeżeli chcesz być trzeźwym człowiekiem, nie maniakiem, nie bydlęciem, wodzonym na pasku, przez narzucający się światu dogmat, to pluń na to wszystko, co się wiarą cha! cha! wiarą nazywa! Nie wierz w nie! Na miejsce wiary wstaw wiedzę, a dopiero staniesz się człowiekiem, godnym naszych oświeconych czasów.

Rozmawialiśmy jeszcze w ten sposób długie godziny, a słowa Werbenowa, wypowiedziane wówczas do mnie, były przyczyną strasznej rewolucyi duchowej, której stałem się ofiarą. W smutku i zniechęceniu do życia, jakie uczuwałem wówczas, doktryna, którą odsłonił mi Werbenow, wydała mi się zbawieniem, zimna negacya duchowego pierwiastku w człowieku działała na mnie znieczulająco, jak narkotyk.

Zimny przedtem i tak obojętny dla mnie Arkadyj z trudną do pojęcia i wytłumaczenia gorliwością zabrał się do apostołowania religii »czystej wiedzy«; godziny całe tłumaczył mi najrozmaitsze zawikłane teorye, zasypywał mnie rozlicznemi pseudonaukowemi książkami. Dając mi do przeczytania powierzechową, napuszczonym stylem napisaną broszurę Büchnera *Kraft und Stoff*, twierdził, że to jest ewangelia nowej racjonalnej religii, religii rozumu.

Czytałem namiętnie te wszystkie głupstwa i w zaślepieniu dziwnem nie zdołałem wówczas zrozumieć, iż jestem igraszką złudzenia; że szumne słowa i brzmiące teorye nie przynoszą nic a nic nowego, że zamieniają tylko znaczenie słów i na miejsce moich dawnych religijnych dogmatów wstawiają swoje gołosłowne »dogmaty«. Nie rozumiałem wówczas, że ta zimna i bezduszna nauka każe wyrzec mi się tego, co było pociechą mego dzieciństwa, co łączyło mnie z duszą mej zmarłej matki — wiary w Boga, w nieśmiertelność duszy, w zmartwychpowstanie po śmierci — a narzuca mi nową wiarę w pseudo-pewniki naukowe, które dopiero ktoś kiedyś ma udowodnić.

Wszystkiego tego, co jest dziś dla mnie jasne jak dzień, nie rozumiałem jeszcze wówczas; czułem jednak zawsze, że brakuje mi czegoś, że pragnę czegoś ustawicznie, bezprzerwanie i brak ten czynił mnie nieszczęśliwym.

Podziwiałem Werbenowa; on zimno i cynicznie z nauki brał to tylko, co jego pragnieniom dogadzało, był przytem zdrów, wesół, miał wyborny apetyt i gimnastykował codziennie. Mnie wątpliwości, rodzące się w mej duszy, gnębiły, sen mi odbierały, gorączkę w ciele wywoływały; ćwiczenia gimnastyczne przechodziły moje siły, oddawałem się im uparcie, na przekór dziwnemu osłabieniu, które z każdym dniem bardziej opanowywało całą moją istotę.

Czasami rozmowy nasze, odchodząc od ściśle naukowych tematów, wkraczały w dziedzinę przedmiotów, dotyczących życia codziennego. Razu pewnego Werbenow tknął bezlitośnie sprawy stosunku mego ojca do pani Szurinej; stosunku, który był bardzo głośny i każdemu już wiadomy. Oburzyłem się w pierwszej chwili na tę niedelikatność.

— Dziwak jesteś — rzekł mi, krzywiąc twarz ironicznym wyrazem. — Stary twój ma rozum, bo baba śliczna. Dla ciebie zapewne, że to źle, zawsze szarpnie ona coś z kapitału. Choć kto wie, czy twój stary nie wydaje teraz mniej niż dawniej; w karty grać przestał.

Przerwałem mu porywco, oświadczając, że mi jest to zupełnie obojętne, wiele ojców wydaje i że bolał mnie stosunek ten z innych przyczyn, moralnej bardziej natury. Dawna struna zadźwięczała w mem sereu i zapominając do kogo mówię, zawolałem:

— Nie uszanował miłości mej matki, podeptał najszczytniejsze uczucie, dawna miłość przestała dlań mieć wartość.

— Ty zawsze zostaniesz romantycznym głupcem — przerwał mi niebawem z najzimniejszą krwią. — Miłość! Co to jest miłość?

I przez długi kwadrans wykladał mi teorię fizyologicznych objawów kojarzących się w świecie organicznym z uczuciem

milości. Słuchałem go z nateżoną uwagą, lecz równocześnie czułem, że mi się tam w głębi duszy coś rwie, łamie i druzgocze; mój mistrz pryypuścił atak do najwarowniejszej twierdzy, mych młodocianych marzeń, słuchałem go i nie zdradzałem się z tem, że dowodzeń jego nie uznaję, bałem się jego ironicznego śmiechu i sceptycznej pogardy.

— Chcesz? to wszystko, co tu mówisz — rzekł wreszcie z flegmą — mogę ci twem własnem doświadczeniem udowodnić. Chodź ze mną!...

Nie opisuję, jakie życie rozpocząłem.

Jeszcze teraz bez wstępu nie mogę wspomnieć epoki, która po tym dniu nastąpiła. Jakiś dziwny zimny szal mnie opanował. Czułem obrzydzenie coraz większe do samego siebie i starałem się zagłuszyć go sofizmatami. Wkrótce później Werbenow po świetnem zdaniu egzaminu dojrzałości wyjechał zupełnie z Kamieńca, ja zostałem sam jeden u starego profesora. Na ferye letnie do Międzyrzecza nie pojechałem tego roku, ojca bowiem tam nie było, wyjechał za urlopem wraz z panią Szuriną na dwa miesiące do Krymu.

Gorączka wiedzy, pragnienie poznania »absolutnej« prawdy opanowała mnie jeszcze zawzięciej. Dwa miesiące wakacyjne przepędziłem zatopiony w księgach, które mi do czasu pozostawił Werbenow. Pożerałem tom po tomie, przetrawiałem jedną hipotezę po drugiej i wszędzie znajdowałem — tylko wątpienie i złudzenie.

Walka wewnętrzna, nateżenie umysłowe i zmęczenie fizyczne sprawiły, że wymizerniałem ogromnie, straciłem świeży koloryt twarzy i sposepniałem do reszty. Już wówczas w duszy zaczynałem ucuwać żal za tem, co straciłem; już wówczas miewałem chwile, w których przypuszczałem, że nauka, której holdował Werbenow, jest w gruncie pusta i fałszywa.

Ze stanu tej gorączki umysłowej wyrwali mnie koledzy powracający z wakacyj. Wszyscy trzej Staś, Kazio i Adaś ze łzami prawie w oczach zaczęli mnie prosić, abym znowu do nich powrócił i wraz z nimi przygotowywał się do egzaminu

dojrzałości, chcieli oni bowiem skorzystać z przysługującego nam prawa i wprost z siódmej klasy składać egzamin. Myśl ta uśmiechała mi się, pragnąłem jak najrychlejsz wyrwać się z więzów regulaminu gimnazyalnego. Przeniosłem się do nich.

Trucizna jednak rzucona przez Werbenowa nie przestała była jeszcze działać we mnie. Po kilkodniowym wspólnym pobycie z kolegami zacząłem kiedyś w czasie pogawędki wygłaszać teorye wyuczone od Werbenowa lub zaczerpnięte z jego książek. Wszyscy zamilkli głucho, zapanowała nad wyraz przykra cisza. Pierwszy ją przerwał Adam, twarz jego przybrała dziwnie uroczysty wyraz i nad wiek i usposobienie jego spoważniała.

— Jasiu! — rzekł on i wnet serdeczniejsza nuta zadrgała w jego głosie, — Jasiu! nam żal ciebie, żal, żal! My ciebie chcemy przerobić, nie próbuj daremnie ty nas. My o wszystkich tych rzeczach słyszeliśmy już, ale nam, nam Polakom nie wolno wierzyć w te głupstwa, a zapominać naszej wiary, wiary naszych ojców, wiary, która jedna sprawia, że dotychczas jeszcze jesteśmy narodem, z którym muszą się rachować największe potęgi świata. Jasiu, prosimy cię, daj nam pokój!

Czułem, jak gwałtowne rumieńce oblały moje wybladłe policzki; zawstydzil mnie ten chłopak swojemi tak prostemi słowami. Nigdy już później pomiędzy nimi nie wszczynalem tych kwestyj.

Wreszcie nauka szkolna, której oddaliśmy się wspólnie wszyscy, kazala mi wkrótce zapomnieć o zawikłanych mrzonkach, gubiących mą duszę przez dwa ubiegłe lata. Uczyliśmy się z zapalem; teraz dopiero dostrzegłem, jak wiele zaniedbałem przez czas błędzenia po manowcach; ambicya moja nakazywała mi pozapelniać jak najspieszniej te niedobory, nie mogłem znieść myśli nawet, bym pozostal w tyle za kolegami.

Horyzont mój rozjaśnił się i pod innym względem: mój ojciec zerwał z panią Szurina. Piękna pani powróciła była sama z krymskiej wycieczki; głośna wieść krążyła po mieście,

że przyczyną zerwania był jakiś gwardyjski oficer, dla którego pani Julia była ponoś zanadto uprzejma.

Gdy po tem zdarzeniu po raz pierwszy spotkałem się z ojcem, po raz pierwszy, po wielu, wielu dniach spojrzeliśmy sobie znowu serdecznie w oczy. On nie mówiąc słowa, z dziwną tkliwością i niepokojem wpatrywał się w moją wybladłą twarz, później przycisnął mnie do piersi i czule pocałował w czoło. Obaj mieliśmy łzy w oczach.

Biedny to człowiek, słaby i miękki, jak wosk, lecz serdeczny, i mający niezmierzone zasoby czułości w swej steranej duszy; przypuszczam, że mógłby zostać wzorowym mężem, ojcem i obywatelem kraju, gdyby był się urodził w innej ziemi i inne wpływy nań działały — w Rosyi stał się »rozbitkiem.«

Rok szkolny, zapełniony nauką i chwilowemi rozrywkami, przeleciał niepostrzeżenie. Od wiosny począwszy pracowaliśmy po piętnaście i ośmnaście godzin dziennie. Najbardziej dziwiło mnie to, że praca ta usilna nie nużyła mnie wcale, i wydawało mi się, że w porównaniu do dawniejszych zaciekań i błędzeń wśród niepewności, spędzam czas na rozrywkach i zabawach.

W pierwszych dniach lipca zdawaliśmy egzamin — wszyscy czterej jednego dnia. Powiódł się nam doskonale, Adasia odznaczono złotym medalem, my zaś trzej zdaliśmy z wyszczególnieniem.

Gdzieżeście wy teraz serdeczni towarzysze i przyjaciele moi, jak wam życie to płynie, czy zdołaliście w życiu zdobyć to, co było ideałem waszych młodzieńczych dni? Suchy wiatr życiowy powiał i rozproszył nas po szerokim świecie, rozegnał daleko jednych od drugich. Czy w sercach waszych wspomnienie dni razem przepędzonych odzywa się jeszcze tak żywym echem, jak w mojem? W mojem, w sercu syna obcego, wrogięgo narodu, którego przygarnęliście do siebie, uczuciem swem ogrzali i kazali mi zapomnieć o niejednym zmartwieniu, o niejednej boleści, szarpiącej wrażliwą duszę i serce ogniste.

Po uczeie, którą wyprawił nam ojciec Adasia, uszczęśliwiony pomyślnym rezultatem nauk syna, a na której znajdowali

i mój ojciec i doktor i dwóch najsympatyczniejszych nauczycieli — wyruszyliśmy do domu. Staś, Kazio i ja do Międzyrzecza — Adaś zaś z ojcem, ale obiecał nam solennie odwiedzić nas w czasie feryj — i dotrzymał obietnicy.

V.

Są czasem dziwne zwroty w życiu, nieoczekiwane, niemożliwe do przewidzenia, niewytłumaczone niczem; są reakcyce gwałtowne i wszechpotężne, niby jakieś przewroty rewolucyjne, obalające w umyśle doszczętnie to, co umysł ten pracą usilną i długi czas trwającą zbierał, porządkował i za najdrogocenniejsze swe mienie, za najcenniejszy dorobek uważał.

Podobna reakcyca zaszła we mnie w czasie mego dwumiesięcznego pobytu w domu mego ojca w Międzyrzeczu. Na przewrót ten złożyło się wiele różnorodnych czynników, które — w miarę tego, jak one występowały i działały stopniowo — opiszę szczegółowo.

Przyjechaliśmy już do Międzyrzecza w doskonałych usposobieniach. Ja specjalnie uradowany byłem niezwykle tem, że zaporą, odsuwającą mnie od mego ojca, została nareszcie usunięta. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek doznawał takiej radości z powitania tego sercu memu tak drogiego miasteczka — jak wówczas. Świeże powietrze, lekki południowy wietrzyk, zieleni spotykanych po drodze lasów, balsamiczna woń świeżo skoszonych łąk wlewały nowe siły w zmęczony nadmierną pracą umysłową organizm. Nad wyraz pospiesznie odzyskiwałem siły, a równocześnie znikaly: zniechęcenie do życia i sztuczny pesymizm, wyrobione naukami Werbenowa.

W bramie naszego domu czekali nas: zgarbiona i znacznie podstarzała Józefowa i siwowłosa lecz zawsze dziarski Siańko. Nie dali mi wysiąść z powozu, sprzecząc się zawzięcie i nie szczędząc sobie przycinków, cisnęli się ku mnie, ścisnęli mnie i całując.

Józefowa tryumfowała z powodu mego powodzenia przy egzaminie; do tego stopnia była uradowana, że zatrzymywała przechodzące mimo bramy nieszczki i głośno im obwieszczała »szczęśliwą nowinę«. Siańko z zasady lekcewał naukę, rad więc był, że się ona — jak sądził — skończyła raz nareszcie.

— Teraz wam paniezu — mówił z zapalem — czas już do pulku. Ja z wami się zabiorę, zbroję będę znowu czyścił, w stajni koni doglądał, *dieńszczyków*¹⁾ naganiał do roboty. Hej! hej! Nie będzie nam biedy, posłużymy z rok w *junkierskim*²⁾ stopniu i zrobiamy nas wnet oficerem. Teraz uczonych to lubią. W pulk, w pulk! Tam to życie, a tu między tem chłopstwem człowiek gnije tylko. W pulk paniezu! w pulk!

Nie miałem serca odrazu rozwiąć świetnych nadziei starego Siańki, który po za pulkiem nie rozumiał życia. Skinałem tylko potwierdzająco głową i wyrwawszy się z jego objęć, pobiegłem do wnętrza domu obejrzeć pokoje, których od dwu lat nie widziałem.

Jest jakaś dziwna, niezbadana siła magnetyczna, przyciągająca serca dzieci do mieszkań ich rodziców. Przechodziłem z pokoju do pokoju, a zaduma coraz głębsza duszę mą opanowywać zaczęła, a do oczu cisnęły się łzy nieprzewidziane, natrętne. Ze swobodnym uśmiechem pomyślałem: coby na łzy te powiedział Werbenow? — Wyśmiałyby mnie! — Przypuszczenie to było dla mnie tego dnia zupełnie obojętnem. Wogóle wspomnienie Werbenowa rozplywało się coraz bardziej w mgłę zapomnienia, a gdy zjawiał się jeszcze czasem przed oczyma mej duszy, to postać ta zimna i cyniczna budziła we mnie raczej wstrętne niż mile wrażenie.

Błądząc tak po pokojach, usłyszałem po za sobą ciche jakieś kroki: to Józefowa, nagadawszy się do woli z kumoszka, wróciła do mnie.

— Dziecko ty moje najukochańsze! — szeptała staruszka

¹⁾ *Dieńszczyk*, żołnierz usługujący oficerowi.

²⁾ *Junkier*, kadet.

i znowu ścisnąć mnie i całować zaczęła. — Ptaszku ty mój szczebiotliwy, kwiatku ty mój najwonnejszy, jakże oni cię tam wymęczyli, wymizerowali, zagłodzili.

Potem, jakby przypomniawszy coś sobie, wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez szereg dawnych pokoi do nowo wybudowanego skrzydła. Skrzydło to składało się z dwóch pokoi, mających osobne wyjście na ogród; pokoje były świeżo i pięknie umeblowane.

— To dla ciebie, paniczku mój złoty — szepnęła stara — ojciec kazał te pokoje przygotować.

Stałem, rozglądając się po gustownie urządzonej mieszczynie. Uwagę moją zwrócił nasamprzód kąć, urządzonej w ten sposób, że robił niby wrażenie ołtarzyka pokojowego. U góry, pod samym prawie sufitem, wisiał obraz Matki Boskiej, złotymi blachami pokryty, obraz ten był niegdyś własnością mej matki, odziedziczony po jej katolickich przodkach; przed obrazem płonęła mała, słabo świecąca lampka. Poniżej ujrzałem niewielkich rozmiarów olejny portret, najwyraźniej z fotogramu zrobiony; z dziwnym rozczuleniem i biciem serca poznałem na obrazie tym ukochane rysy mej matki. Tuż pod obrazem stał stolik, zakryty bogato haftowaną wschodnią serwetą i na nim czyjaś ręka ułożyła srebrny cyzelowany krzyżyk i modlitewnik, także pamiątki po ś. p. mej matce.

Nie wiem, co się ze mną stało, ale poczęłem drżeć cały jak liść osikowy; uczucia jakieś nieokreślone pierś mą tak napelnily, tak rozpierały, że prawie oddechu schwycić nie mogłem — wreszcie wybuchnąłem głośnym płaczem i padłem na kolana przed owym ołtarzykiem i poczęłem szeptać słowa pacierza, słowa odżywające wówczas w mej pamięci, słowa, które przez lat cztery nie zjawiały się nigdy na mych ustach.

Józefowa mileząco wyszła z pokoju.

Nie wiem, jak długo klęczałem, nie mam wyobrażenia, jakimi słowami się modliłem — wiem tylko, że po odmówieniu pacierza, dusza moja zanosila jakieś prośby przed tron Przedwiecznego, że myśl moja gwałtem dążyła gdzieś wyżej.

Modlitwę przerwano mi zbyt rychło. W sąsiednim pokoju usłyszałem jakieś kroki; uczulem coś w rodzaju wstydu i pospiesznie zerwawszy się z klęczek, otarłem z oczu ślady łez. Do pokoju wszedł za chwilę mój ojciec, szukający mnie od kwadransa po całym domu.

— A ty tu Jasiu? — rzekł ujrzawszy mnie. Jakże ci się twoje mieszkanie podoba? Za to podziękuj Józefowej — mówił dalej, wskazując wzrokiem na ów ołtarzyk — to ona miała taką pamięć.

Nie mówiąc słowa, bo bałem się, że znowu się rozplaczę, uściskałem ojca serdecznie.

— Teraz chodź do stajni — rzekł pospiesznie, kryjąc wzruszenie — pokażę ci konia, którego dla ciebie od Sadowskiego kupiłem.

Poszliśmy. Koń zachwycił mnie — był to biały arab, z długą grzywą i pysznym jedwabistym ogonem; oczy El-Bedewa — tak się zwał — miały wyraz rozumu i dobroci. Najmilszego wrażenia doznałem, gdy koń, ujrzawszy mnie, zarżał radośnie i przez kraty klatki wychylił ku nam swą małą piękną głowę.

— Ręką pójdzie — zawyrokował uradowany Siańko, kiedy poznał swego przysłego pana i rży do niego. Daj wam Boże panie, żebyście na nim choć do pułkownikowskiej szarży dojechali.

— A cóż to za gniada klacz obok w klatce? zapytałem pospiesznie dla przerwania ulubionego dla Siańki tematu.

— A to z zamku przysłali, żebym ją trochę podjeździł — odparł Siańko — czart angielski, djabeł nie kobyła, to trzęsie się, nie wiedzieć czego, jak legawy pies, to znowu skacze powyżej dachów. Kupili to dla Anny Piotrówny, ale zdaje się, że tę kobyłę prędzej psy zjedzą, niż na niej jaka panna będzie jeździć.

— Kto to Anna Piotrówna? — spytałem ciekawie, zwracając się do ojca.

— Panna Barchatenska, córka tutejszego właściciela — odrzekł, jakby dziwiąc się, że nie wiem tego. — Jego eksce-

lencya tajny radca Piotr Maksymicz Barchatenski z całą rodziną zjechał do zamku na lato. Musimy tam być, mili to ludzie i przyjemne z nimi stosunki.

Gdy ojciec to mówił, rzuciłem okiem na zamek, leżący na przeciwniej górze, i zauważyłem, że w starej tej budowlu zaszły znaczne zmiany: główny budynek jaskrawo świecił świeżo wybielonemi ścianami, a nad niemi wznosił się dach, cały, widocznie nowy i pomalowany na jasno-zielony kolor. Zmiana ta zrobiła niemile na mnie wrażenie; przywykłem był patrzeć na szare, ponure, lecz dziwnie poważne mury starego zamku i mocą wyobraźni przedstawiać sobie dawnych dziedziców zamku, jakichś polskich senatorów, których portrety do dziś dnia zdobią ściany miejscowego kościoła, opierających się olbrzymiej tatarskiej nawale. Dawniej, choć zamek i włości przeszły były w obce ręce, a ostatni potomek rycerskiego rodu w pozostałym mu z całej fortuny jedynym folwarku sadził buraki dla cukrowni nowego właściciela — mimo to zachowywano zamek w dawnym stanie. Jego ekscelencya nowy dziedzic zajmował miejsce przy ministerstwie w stolicy, a gdy przyjeżdżał do majątku na kilka dni, to mieszkał zazwyczaj u dyrektora w cukrowni. Dziś snąc zmienilo się wszystko; zmiana ta sprawiła mi bezwiedną przykrość.

Za chwilę zapomniałem o tem wszystkim. Koledzy moi po przywitaniu doktora i najbliższych znajomych przyszli po mnie i zabrali mnie z sobą do kąpieli. Później aż do nocy zwiedzaliśmy miejsca, które wryły się były w naszą pamięć, jako pola naszych zabaw i igrzysk dziecińczych. Przeszliśmy most na rzece i oglądaliśmy zlekka pochyłą, staremi lipami obsadzoną drogę, wiodącą do zamku.

Nagle usłyszałem gwałtowny tętent, obejrzałem się i zobaczyłem amazonkę, pędzącą wyciągniętym galopem pod górę ku zamkowej bramie. Twarz jej tylko mignęła mi się przed oczami, ale wydała mi się dziwnie piękna i urocza; od wiatru i słońca zarumieniona twarzyczka ta dziewczęca, otulona błę-

kitnym woalem, spadającym z wysokiego kapelusza, zrobiła na mnie wrażenie skończonej, doskonałej piękności.

— A niech ją! — zaklął Staś, gdy amazonka i jadący za nią kozak zniknęli za bramą. Jedzie ci pannica jak huzar, albo jak kozak z listem. Jakaś zuch dziewczka!

W kilka dni później byliśmy z wizytą w zamku.

Cały ten przeciąg czasu, który przeszedł od dnia mego powrotu do domu do tej wizyty, przepędziłem w niezwykłych i nieznanych mi zupełnie marzeniach. Postać pięknej amazonki wracała uparcie przed oczy mej wyobraźni i bezprześcannie kojarzyła się ona z najdziwaczniejszymi zdarzeniami, utworami rozbujalej fantazyi, w których ja sam odgrywałem najgłówniejszą rolę. Wspomnienia dzieciństwa rojem cisnęły mi się do duszy, widoki wspaniałych gór kaukaskich stawały żywo w pamięci; wyobrażały mi się jakieś walki zażarte, jakieś boje tytaniczne, a wszędzie, wśród gradu kul, huku dział, jęku rannych i kona-jących, była ona, byłem i ja — jej wybawca, jej rycerz wierny.

Marzenia te opanowywały mnie mimo mej woli, a nawet wbrew niej; chwilami rozgniewany dziwną suggestyą, tym niewytłomaczonym wpływem na me myśli istoty, którą raz tylko w życiu i to w przelocie widziałem, umiałem na jakiś czas stłumić te marzenia, nie na długo jednak.

Pamiętam, że gdy jechaliśmy do zamku, ubierałem się z większą starannością, aniżeli zwykle, a zaprzag mego ojca, owe prześliczne kasztany, zrobiły mi ogromną przyjemność; niewypowiedzianie radowało mnie to, że zajedziemy przed zamkowy ganek najpiękniejszymi w okolicy końmi.

Dziś, gdy na zimno, krytycznie rozbieram tę epokę mego życia, gdy pamięcią sięgam w przeszłość i skalpelem analitycznym kraję wszelkie wrażenia z tej dziwnej, pełnej szalu i uniesienia doby mej młodości — to jeszcze nie jestem w stanie wytłumaczyć sobie wielu, bardzo wielu rzeczy. Drobnych szczegółów, specjalnych przyczyn i następstw stanu, w który padłem wówczas, opisywać nie będę, czuję bowiem, że zrobić tego nie potrafiłbym; wiem i rozumiem to dokładnie, iż niejedno

stronniczo lub zgola fałszywie sobie tłumaczyłem wówczas i tłumaczę tak dotychczas. Zresztą wszystko, co działo się ze mną wówczas i dzieć się miało przez cały następny rok, da się zamknąć w kilku słowach: zakochałem się w Annie Piotrownie.

Podczas owej pamiętnej mi »pierwszej wizyty« siedziałem przy herbacie naprzeciwko niej. Pomimo tego, iż dziś nie myślę nigdy o niej, pomimo, że z obrzydzeniem przychodzi mi wymienić jej imię, zawsze jednak od czasu do czasu wspomnienie jej dziwnie, nieziemsko-pięknej postaci staje przed memi oczami i widmo to nie robi mi przykrości, grzesznicy tej bowiem dał był Pan postać, nawodzącą na myśl anielskie istoty, cherubów jakich niebieskich. Słuszna była, wiotka i powiewna, a w szesnastym roku życia wyglądała już na zupełnie rozwiniętą, do miłości ziemskiej stworzoną kobietę. Twarz jej podłużna, owalna, była blada, tą dziwną niby marmurową bładością, z pod której bucha krew wrząca, zdrowie niezmożone i nieprzeparta żądza życia i życie. Największą jednak ozdobą tej twarzy były oczy, oczy jej duże, ciemno-szafirowe, świecące dziwnymi migotliwymi blaskami, mieniające się i grające całą gamą światel kolorów; raz spokojne, nieruchome i melacholijne, to znowu biegające jak iskry, rozszalale, szatańskie. A umiała niemi władać mistrzowsko; umiała niemi powiedzieć to, czego żadne słowo, żadna pieśń, żadna najśłodsza muzyka powiedzieć nie są zdolne. Ja uwierzyłem był tej mowie i marzyłem przez rok cały, aż ona sama, bezlitosna przekonała mnie dowodnie, że mowa ta była kłamstwem.

Za pierwszym widzeniem nie wieleśmy z sobą mówili. Ona ciekawie mi się przypatrywała i najwyraźniej uśmiechała się z mej nieśmiałości. Ja patrzyłem tylko w jej cudne oczy i z trudnością przychodziło mi choćby lakonicznie odpowiedzieć na jej rzadkie, lecz śmiało rzucone pytania. Miałem oczy wlepione w nią tak, że to aż zwróciło uwagę mego ojca i zaraz po herbacie skinął na mnie i starał się wprowadzić mnie do rozmowy, toczącej się pomiędzy panem Barchatenskim, jego żoną, mym ojcem i jeszcze jakimś palkownikiem, gościem

gospodarza. Pamiętam, że odpowiadałem z niezwykłym roztargnieniem, przytem czulem w sobie nieśmiałość jakąś i trwożę, jakiej nigdy później i nigdy przedtem nie uczuwałem. Jego ekscelencya zauważył ten mój stan i podobał on mu się nawet, zaczął ze mną dysputę na temat: jak to szczęśliwie, gdy młodzieńcy nie dojrzewają przed czasem, ale zachowują jak najdłużej młodocianą wstydlivość, nieśmiałość i świeżość uczuć.

— Żebyście Józefie Iwanowiczu poznali mego syna — zwrócił się do mego ojca — dwudziesty rok, kornet w kawalergardach, na oko dziecko jeszcze, a jaki on już przeżyty, jaki bestya cynik! — tu nachylił się ku ojcu i począł mu coś szeptać do ucha. — No wasz nie taki — rzekł głośno. — Poznać zaraz, że nie taki. Winszuję wam syna.

Spiekłem raka tak potężnego, iż wszyscy go dostrzegli.

W tej chwili Anna Piotrówna, jakby zrozumiawszy moje kłopotliwe położenie i ulitowawszy się nad niem, zbliżyła się ku nam i zapytała mnie śmiało, bez najmniejszego zakłopotania:

— Czy pan zna tutejszy ogród, nowe oranżerye i cieplarnie?

Odpowiedziałem: że ogród znałem dawniej, gdy był jeszcze pustką, lasem dzikim, nowych zaś wzniesionych tam budowli nie widziałem wcale.

— To chodź pan ze mną, pokażę panu to wszystko.

Wstałem, patrząc na nią z wdzięcznością, ona skinęła na małą, ośmioletnią może siostrzyczkę i na popielatego mopsa, i na czele tak złożonego orszaku jak królowa ruszyła naprzód przez most, dawniej zwodzony, łączący zamek z dużym parkiem, roztaczającym się na spadziściach jaru.

Do śmierci pozostała mi pamiętną ta pierwsza nasza wycieczka. Czar jakiś dziwny wiał od tej dziewczyny i sprawił, że podbiła mnie odrazu, jednym spojrzeniem zrobiła ze mnie swego sługę, niewolnika i zaczęła panować.

Mówiliśmy niewiele; ja cały wzburzony, z sercem bijącym, przesywany dreszczem, jakimś nieznanym mi dotychczas,

szedłem trochę w tyle za nią i urywanemi zdaniami odpowiadałem na pytania, które mi ona rzacać była łaskawa.

— Często później myśląc o owem naszym pierwszym spotkaniu, zastanawiałem się głęboko nad pytaniem: — czy miłość może zrodzić się w jednej chwili, od jednego spojrzenia? — Doświadczenie moje kazalo mi zawsze odpowiedzieć: że tak!

Tak! tak! tak! Ja w czasie tej pierwszej wizyty w zamku międzyrzeckim zakochałem się w Annie Piotrównie, zakochałem się ślepo i namiętnie, tak, jak tylko kochać mogą ośmnaścieletni młodzieńcy.

— Czy pan nie zachwycasz się tym widokiem? — pytała mnie ona wówczas, stanawszy na parapecie starego muru i wskazując drobną swą ręką roztaczający się przed nami widok na miasteczko, kościół, rzekę, wijącą się kręto u naszych stóp i czerniejące w dali bory dębowe.

— Oh! tak — odrzekłem z uniesieniem — zachwyty mój nie zna granic.

Mówiąc to, nie patrzyłem zupełnie na wskazywany mi krajobraz, tylko w niemem upojeniu spoglądałem nieśmiało na jej twarz, doskonale piękną, na jej oczy, dziwnego czaru pełne. Ona dostrzegła odrazu, co było przedmiotem mego zachwyty i z niewysłowionym wdziękiem, z niezrównanie wycieniowaną wstydlivością spuściła oczy ku ziemi i pozwoliła swej twarzy oblać się zdrowym, purpurowym rumieńcem. W tej chwili uczulem się nieszczęśliwym, zdawało mi się że popełniłem jakąś zbrodnię straszną, niekzemną, za którą niema przebaczenia nigdzie i nigdy. Jakiś czas stałem skamieniały, niby paraliżem tknięty.

Przerażenie to podobało się jej, bo podniósłszy zwolna, ostrożnie oczy, spojrziała na mnie i nagle rozśmiała się serdecznie, po dziecinnemu. Patrzała tak chwil kilka, a kaskady jej srebrnego śmiechu odbijały się echem od starych murów i strzelnicami wybiegały po za obręb parku. Nagle spoważniała i podając mi rękę, rzekła:

— Widzę, że pan masz taką samą naturę, jak ja. Zdarza mi się często, nie wiedzieć dlaczego, wpaść w tak dziwny stan nieśmiałości. Iwanie Osipowiczu, bądźmy przyjaciółmi.

Głos jej cichy, szept prawie słodki jakiś i pieszczony rzeką słodczyzy wpływał do mej duszy. Nieśmiało, delikatnie, ostrożnie ścisnąłem jej rękę i nie mogłem zdobyć się choćby na jedno słowo odpowiedzi. Na słowo nie zdobyłem się, ale spojrzenie moje powiedziało jej wszystko, wszystko, więcej, niż jakiegokolwiek słowa mogą powiedzieć, niż jakikolwiek język określić może, powiedzało jej więcej, niż było w mej świadomości, zdradziło przyszłość, przyszłe rozkosze, utrapienia, niepokoje — przyszłą boleść nawet.

Zapatrzeni tak w siebie staliśmy kilkanaście sekund; nagle ona pierwsza przerwała tę chwilę poważnego natchnienia, roześmiała się swawolnie i po dzieciinnemu frunęła naprzód na stok góry. Była wesoła, swobodna, śpiewała jakieś rozkoszne arye bez słów, ścisnęła małą siostrzyczkę, całowała nawet szkaradnego szaro-burego mopsa.

Nastrój ten i mnie się udzielił: zacząłem mówić dużo i swobodnie. Opowiadaliśmy sobie nawzajem dzieje naszego dzieciństwa.

Ona usiadła pierwsza na murawie i z dziecięcą naiwnością prawiała mi: o ciężkich utrapieniach, jakie w zakładzie wychowawczym przebyć musiała, o tem, jak ją nauka nużyła i męczyła, jak ona się obecnie czuje szczęśliwą, gdy już o tem myśleć nie potrzebuje.

— Jestem już dorosła, dorosła, panna — zawołała z tryumfem — sam to papa powiedział. Dość tej męki.

Później ja, wzruszony i dziwnie podniecony, spowiadałem się przed nią. Zdawało mi się, że ujrzałem małą kryształową leżkę w jej oku, kiedy opowiadałem o śmierci mej matki. O Werbenowie i jego wpływie na mnie nie wspominałem zupełnie. Dziwnym objawem psychicznym było, że w tej chwili wyraźnie już uczułem wstręt srogi do tego bożyszcza kilku lat mej młodości; niby zasłona jakaś z oczu mi spadła i po-

zwoliła odczuć całą ohydę tej wstrętnej nauki i jej apostoła. Za to o innych moich kolegach, o Stasiu, Kaziu i Adasiu opowiadałem jej z nieklamany zachwytem.

Śluchała tych opowieści z uwagą nateżoną; nagle w ciągu opowiadania znowu się czegoś rozśmiała głośno; śmiech ten niemile mnie dotknął. Odczuła to natychmiast i niby tłumacząc się, rzekła:

— Panie! poszliśmy oglądać nowe oranżerye, a siedzimy tu i gwarzymy. Co pan odpowieć, gdy go zapyta papa: jak mu się te budowle podobały? Chodźmy! chodźmy!

I powstała pierwsza, zwracając się ku oszklonej, wielkiej oranżeryi, której na zielono malowany dach przypierał do nieźmiernie wysokiego, a u góry w strzelnice zaopatrzonego muru. Poszedłem za nią ze zwieszoną głową, smutny, że chwila czaru pełna prysła, skończyła się, minęła, bezpowrotnie może.

— Jakże się panu te nowe budynki podobają? — zapytała, spoglądając mi w oczy.

Odrzekłem, że nie podobają mi się. Nie mogłem przed nią skłamać, a czulem prawie wstręt do tych sążniowych szklanych ścian, do tego zielonego dachu, tak jaskrawo wybielonych przymurków, które zakryły stare zamkowe parapety, pamiętające walki bohaterskie, boje homeryczne; mimowolnie przed oczyma stanęły mi surowe twarze dziedziczek tego zamku, uwiecznione na portretach zawieszonych w kościele, i pomyślałem: z jakim zgorszeniem i oburzeniem patrzyłyby te kasztelanki na oranżerye, przypadła do zamkowego parapetu.

— Nie podobają mi się! — dodałem z naciskiem. — Ażeby je wznieść, trzeba było zniszczyć dawne pamiątki, związane z miejscową tradycją, a tradycją narodu, któremu niesłusznie wydarliśmy ojczyznę i wolność, który znosi najniesprawiedliwsze prześladowania.

Śluchała z uwagą, nie przerywając mi; nie mogłem odgadnąć po jej zmartwiałej nagle twarzy, jakie moje słowa sprawiły na niej wrażenie; czulem tylko, że powiedziałem jej rzecz nową, że odkrywałem przed nią nowe, nieznanne jej przedtem

widnokreği. Nagle sposepniała widocznie i cichym głosem rzekła:

— Może masz pan i słusność, ale z temi przekonaniem nie występuj przed moim ojcem. On jest zupełnie przeciwnego zdania i powiada: że naszym zadaniem właśnie jest zacięrać wszelkie ślady, jakie pozostały po nieprawem i buntowniczem panowaniu Polaków nad tą szczerze ruską ziemią.

— Pójdź pani kiedy do tutejszego kościoła — zawołałem namiętnie, uczuwszy, że jakieś dawne, dawno zamilkłe wspomnienia budzą się w mej piersi — pójdź pani tam, to zobaczysz: czy to rosyjska ziemia. Posłuchaj pani modłów tych tysięcy ludu polskiego katolickiego i wtenczas powiedz: kto ma słusność.

W tej chwili głos jakiś wzywający nas do pokoju dał się słyszeć, przerwałem me słowa i poszedłem za nią ku mieszkalnemu gmachowi.

— Wyrokować nie mogę — szepnęła mi jeszcze, nim weszliśmy na most — nie moja to rzecz, ale proszę pana — tu spojrziała na mnie błagalnie jakoś — nie zdradzaj się pan z temi przekonaniem przed papą, on znośić tego nie może, a ja tak pragnęłabym, żeby on pana polubił. Tak bardzobym pragnęła tego.

Nie miałem już czasu odpowiedzieć jej słowami, ale wzrok mój powiedział jej wyraźnie: że jej życzenie najdrobniejsze będzie dla mnie rozkazem, będzie świętością.

Wróciwszy do salonu, zastałem mego ojca, zabierającego się do odjazdu. Przed pożegnaniem Ekscelencyja powiedział kilka uprzejmych słów o mnie i zaprosił mnie, ażebym przyjechał towarzyszyć jego córce na wycieczkach konnych.

— Syna mego niema — mówił łaskawym tonem — Aniuta namiętnie lubi konną jazdę, a jest nieopatrzna i zannadto śmiała amazonką; będę uszczęśliwiony, jeżeli tak rozważny i tak pięknie wychowany młody człowiek będzie jej towarzyszyć. Oh! będę o nią spokojniejszy. Koni mamy podostatkiem.

Podziękowałem Ekscelencyi za dobre o mnie wyobrażenie i dodałem, że nie lubię jeździć na cudzych koniach, i jeżeli pozwoli, to wycieczki te będę odbywać na swoim własnym arabie.

Całe to zdanie musiało być przepelnione młodzieńczą junakieryą i emfazą, bo dostrzegłem, że mój ojciec aż uśmiechnął się pod wąsem, słuchając moich słów; na Annie Piotrównie zrobiły one jednak jak najlepsze wrażenie, a o to mi głównie chodziło.

— A więc do widzenia Iwanie Osipowiczu! — zawołała wesołym głosem. — Do jutra, do jutra! Czekam pana o siódmej rano, w stajni.

Uściśnąłem jeszcze raz jej rękę i oczarowany, oszolomiony wsiadłem obok ojca do powozu. Konie w lansadach ruszyły z przed ganku.

Cały czas krótkiej podróży nie przemówiłem ani słowa.

Od tego dnia rozpoczął się był dla mnie czas szalu i uniesień miłosnych.

Nigdy w życiu późniejszym nie wyrzucałem sobie tych uniesień. Ja, dziś kapłan i sługa Boży, z rozczuleniem wspominam owe dni ekstazy jakiejś wzniosłej, poetycznej i podnoszącej mą duszę z upadku, w jakim była pogrążona w ostatnich latach moich nauk szkolnych.

Miłość moja była czysta i zwierciadlana, niezmacona brudem: żadnym, niezatruta niską żądzą. Czułem wówczas, że wyrastają mi u ramion skrzydła, że dusza wlatuje w wyższe sfery, że z aniołami, z cherubinami bratać się zaczynam. Dreszczem wstępu i obrzydzenia przejmowały mnie tylko wspomnienia niedawnego a tak nędznego upadku. Długie godziny nieraz spędzałem na rozmyślaniach: czy wart jestem doznawać jeszcze uczuć tak świętych i tak pięknych, czy dusza moja, tak niedawno jeszcze zanurzona w otchłani zgnilizny moralnej, jest w stanie podnieść się na takie wyżyny?

W Annie odkrywałem coraz większe zasoby duchowe; zdawało mi się, że spotkałem na ziemi tej istotę nie ziemską,

nie grzeszną, a z promieni i blasku uwitą, istotę doskonałą, bez plamy i grzechu, bez skazy i winy, istotę, która bezkarnie może przejść przez piekło brudu i nie skała swej jasnej szaty. Oh! niech się święci młodość, niech się święci zdrowie serc i wiara w nieskazitelność dusz i ciał, w doskonale wcielenie idei Boskiej w istoty ludzkie.

Codziennie odbywaliśmy wycieczki konne, a co drugi dzień przynajmniej odwiedzałem zamek i w popołudniowych godzinach. Nietylko Anna, ale i jej rodzice przyjmowali mnie nadzwyczaj laskawie, po przyjacielsku. Z Anną nigdy wyraźniej nie mówiłem o mojem uczuciu; wystarczyło mi patrzeć w jej cudowne, rozmarzone oczy, słyszeć jej głos dźwięczny, uściśnąć jej rękę. Wiedziałem doskonale, że ona widzi, co się w mem sercu dzieje, i to mi wystarczyło; zdawało mi się, że gdyby się jej to nie podobało, to jednym słowem dałaby mi to poznać i toby było wystarczyło — byłbym ucałował się nieszczęśliwym, ale nie odważyłbym się narzucać jej gwałtem uczucia, które byłoby jej wstrętnem.

Byłem wówczas prawie całkiem szczęśliwy. — O dawnych wątpliwościach, o zaciekaniach filozoficznych zupełnie zapomniałem, a pograżyłem się w odczytywaniu dzieł mistrzów słowa; w księgach poetów szukałem obrazu tych słodkich uczuć, które teraz bezspornie zawładnęły mem sercem.

Czasami tylko i to z coraz to większą siłą wracały wyrzuty sumienia, budząc w mej duszy pragnienie jakiejś ulgi. Chwile te, krótkie wprawdzie, stawały się jednak przykreml nad wszelki wyraz. Zdawało mi się wówczas, że jestem haniebnym zbrodniarzem, samozwańcem i złodziejem, który przywłaszcza sobie skarb, do którego niema prawa. Myśli te ołowiem ciężły mi na mózgu i nieraz postanawiałem wypowiadać się przed Anną — nie miałem jednak odwagi, zdawało mi się, że ze wstrętem odwróci swą piękną twarz odemnie, że zgine w jej wyobrażeniu na zawsze, na zawsze!

Razu pewnego, zadumany w ten sposób, błędziłem wieczorem po miasteczku i nie wiem sam, jakim sposobem zna-

lazłem się u furtki domku, zajmowanego przez staruszkawikarego. Dawne wspomnienia tłumnie ogarnęły mą duszę; widziałem i teraz tak, jak wówczas w dzieciństwie, siwowłosego starca, zagłębionego w czytaniu. Nie wiem z kąd i jak przyszła mi nagle myśl pójść do niego, wyznać mu wszystko, prosić o przebaczenie, o pociechę, o rozgrzeszenie. Uczulem najwyraźniej, że tylko w ten sposób uwolnię się raz na zawsze od nieznośnego tego ciężaru. Otworzyłem gwałtownie drzwi i wszedłem do środka.

Ksiądz łaskawie, bez najmniejszego zdziwienia, spojrział na mnie i powitał mnie przyjaznym uśmiechem, tak jak gdybyśmy wczoraj dopiero się rozstali.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem machinalnie, nie wiedząc nawet, że to mówię.

— Na wieki wieków Amen! — odrzekł ksiądz, a słowa jego brzmiały jakoś dziwnie uroczyście, niby tryumf wiary.

Zbliżyłem się do niego i milcząc, pocałowałem go w ramię. Popatrzył na mnie słodko łagodnie, przygasłemi trochę oczyma i ruchem ręki wskazał mi miejsce na krześle, sam usiadł na twardym, ascetycznym łóżku. — Oprócz stołu i kufra w izbie tej nie było więcej mebli.

— Wiedziałem, że przyjdiesz! — rzekł do mnie cicho, patrząc nie na mnie, tylko na krucyfiks, zawieszony nad stołem. — Dziś już jesteś człowiekiem. Weisz, co czynisz, czego żądasz, dziś mówić z tobą będę.

Dziwny, nieokreślony prąd przeszedł mnie całego, przysunąłem swe krzesło do samego łóżka i cicho, wzruszonym i drżącym głosem zacząłem mu opowiadać; ufność jakaś wstąpiła we mnie i odkrywałem starcowi temu najgłębsze tajemki duszy, najskrytsze porywy nerwów i czulem, jak w miarę postępujących wyznań lżej mi się na duszy robiło, niczy coś zsuwało mi się z sumienia, a nieznaną mi błogość i zadowolenie splywały w głąb duszy, zajmując miejsce dawnych wyrzutów i utrapień. Była to spowiedź, tak, choć nie formalna, choć nie miałem jeszcze prawa do spowiedzi jako nie katolik, jednak

była to moja pierwsza spowiedź. Wówczas poczułem, jak słodką pociechę dal Kościół grzesznikom w tym niepojętym dla wielu, a tak potężnym sakramencie.

Godziny mijaly. Ja opowiadałem; staruszek pochyłony, słuchał uważnie słów moich — czasami mi przerywał, tłumaczył, nauczał.

Gdy skończyłem, powstałem zadowolony i szczęśliwy, powstałem nowym człowiekiem; wiara, która tlała w mej duszy, od dziecka zaszczeplona przez ś. p. matkę moją, zwyciężyła wszelkie przeszkody i buchnęła teraz jasnym płomieniem.

— Ojcie — rzekłem stanowczo — chcę być katolikiem.

— Niech cię Bóg błogosławi synu — odparł ksiądz, żegnając mnie znakiem krzyża świętego; dziś jesteś człowiekiem, masz prawo rozporządzać swem sumieniem. Choćbym miał życiem to przyplacić, to dopomogę ci w twych pięknych zamiarach ... dopomogę! dopomogę!

Rzuciłem mu się do kolan. Podniósł mnie pospiesznie, mówiąc:

— Przed Bogiem padaj na kolana, a nie przed grzesznikiem równym tobie. Nie masz za co dziękować — to mój obowiązek ... to mój kapłański najświętszy obowiązek. Powstań synu!

Ucałowawszy rękę starca, wyszedłem. Długo błądziłem wśród nocy. W duszy mej zapanował dziwny jakiś stan słodkiego upojenia; zdawało mi się, że przestałem być człowiekiem śmiertelnym, że u ramion skrzydła mi urosły, i że tylko woli mej potrzeba, ażeby wznieść się w obłoki i tam gdzieś w nieznanym mi światach obcować z istotami nadziemskimi.

Lecz po cóż mi było aniola, kiedy wiedziałem, że jutro rano zobaczę Aniutę, Aniutę ubóstwianą, Aniutę nie gorszą, nie mniej czystą, jasną, promienistą, jak Cheruby i Serafy.

Rozmowa z księdzem wlała nieznanym mi oddawna już spokój w serce, wiarę w jasną przyszłość; opromieniła mi wszystko, na co patrzyłem, świat cały w eden słodkiej woni pelen — zmieniła.

Oh! jak byłem szczęśliwy! jak szczęśliwy, tego nikt na świecie wiedzieć nie może.

Właśnie w tym samym czasie zdarzył się fakt, który przypominał mi żywo lata mego dzieciństwa i miał wywrzeć ważny wpływ na moje usposobienie i zamiary.

Pewnego poranku wróciwszy z przejażdżki z Aniutą, zastałem mego ojca z niezwykle ożywieniem odczytującego jakiś list. Przed nim leżała nierozcięta jeszcze książka i papier, wraz z porozrywanymi sznurkami — widocznie, świeżo otworzona przesyłka pocztowa.

— Co to jest ojciec? zapytałem — ciekawie patrząc na książkę.

— Niespodzianka! — zawołał uradowanym głosem. Wyobraź sobie: Kotłowski... No, Kotłowski, ów Polak, porucznik naszego pułku, twój pierwszy nauczyciel, odbywszy lata przymusowej służby, wziął dymisyę, postarał się o paszport emigracyjny i wyjechał do Austrii. No, i na wielkiego autora polskiego wyszedł. Przysyła mi tu — rozumie się dla ciebie — ową polską, swą pierwszą książkę. Pisze, że mają to być wspomnienia z Kaukazu. Ciekawym! ciekawym!

Z nieopisaną pożądlivością chwyciłem książkę, nie dosłuchawszy nawet tego, co ojciec mówił i skryłem się do mego pokoju.

Wierzę najsilniej w jakieś niezbadane »pokrewieństwo dusz«, istniejące na świecie. Książka Kotłowskiego pierwsza zrodziła w mej duszy zarodki tej wiary. Przeczytałem książkę tę jednym ciągiem i chwilami nie mogłem wyjść z zdumienia; zdawało mi się, że dawny mój nauczyciel wręcz moje własne myśli i marzenia ubierał ślicznie w swe polskie słowa i puszczał je w świat.

Dzieło Kotłowskiego — były to obrazki trochę fantastyczne, niby powieści, niby pamiętniki, niby jakieś studia społeczne. Przyroda Kaukazu, ludzie tam żyjący, czynniki socyalne i ów jakiś dziwny fataliam dziejowy, pędzący współczesną Rosyę do zaborów, do grabieży, występowały w tej książce

dymisyonowanego oficera tak żywo i wyraziście, że nie mogłem zwalczyć złudzenia, i zdawało mi się, iż mam znowu siedm lat, że siaduję u kolan matki, lub patrzę w modre oczy mego nauczyciela, pomagającego mi w trudnej pracy zgłębiania tajemnic głosek alfabetu.

W wieluż to miejscach, gdy autor stawiał horoskopy przyszłości, gdy wskazywał rany i błędy rosyjskiego społeczeństwa, gdy radził użycie pewnych środków, mogących uzdrowić ten rozstrojony organizm — zdawało mi się, że chyba pomyślały te musiał wykraść z mej własnej głowy, wszakże one tyle razy spać mi nie dawały, wszak one były moje własne, rodzone.

Przez jakiś czas *Szkice z Kaukazu* stały się najulubieńszą moją lekturą, pożyczałem tę książkę moim przyjaciółom, mówiłem o niej z Aniutą, wreszcie zaniósłem ją i księdzu wikaremu. Książd przeczytał i powiedział mi, że książka ładnie napisana, ale nie zapalił się do niej zupełnie, nie wyróżniał jej i nie podnosił ponad inne podobnej treści.

Przyznam się, że sąd ten oziębły, pod którym domyślałem się pewnego lekceważenia, zrobił mi wielką przykrość, wytłumaczyłem to sobie jednak znieczuleniem poczucia piękna i dobra ogólnoludzkiego w człowieku, który oddanym był pracy duszpasterskiej w ciasnej parafii.

Dla mnie książka ta przez dłuższy czas pozostała arcydziełem i stała się powodem powstania najrozmaitszych myśli i projektów. Dziwnem mi się to wydaje, że czytając przedtem tak wiele książek, napisanych przez autorów, przewyższających o całe niebo geniuszem mego dawnego nauczyciela, nigdy nie powziąłem zamiaru zostania autorem, a ta właśnie myśl tę w mej duszy zrodziła. Tłómaczę to sobie tem, że Kotłowski zużytkował w swych powieściach te właśnie wrażenia, które i ja odbierałem w dzieciństwie i które najsilniej wyryły się w mej pamięci.

Do miłości ściśle idealnej, do pewnego rozegzaltowania religijnego, przyłączyły się obecnie jeszcze i marzenia o przyszłej karierze autorskiej. Któż jest w stanie opisać dziwne

zygzaki marzeń owych, owych snów na jawie, w których widziałem się twórcą powieści i dramatów, podziwianych i oklaskiwanych przez tysiące, setki tysięcy, miliony. Były chwile, w których przez dziwne halucynacje wyobraźni wydawało mi się: że posiadam olbrzymią władzę duchową nad niezliczonymi milionami mych rodaków; że miliony te z niecierpliwością wyczekują każdego słowa, które z pod mego pióra wyjdzie; że morze głów pochyla się przedemną, a serca tego tłumu biją tak, jak im moja woła, moje natchnienie bić każe.

Ah! złudo — marzyłem o wszechwładztwie ducha, a pisałem wówczas sonety i ody, niezgrabne naśladownictwa czytanych poetów, na cześć ubóstwianej Anny Piotrówny.

Wszystkie te złudzenia, wszelkie te sny — oprócz nauk starego wikarego — miały rozprysnąć się, rozpląnąć w przestworach niebytu; miały zniknąć jak lotny dym pod powiewem mroźnego wiatru grudniowego. A jednak lato to pozostawiło w pamięci najmilsze wspomnienie, wspomnienie niczem niezmaconej błogości, szczęścia jakiegoś tak doskonałego i wszechstronnego, iż równe ponoś li w czystej medytacji religijnej lub modlitwie znaleźć człek na ziemi może.

Marzeniami mojemu dzieliłem się z Aniutą; ona podzielała — tak przynajmniej zdawało mi się wówczas — moje złudzenia, nawet zachęcała mnie do obrania literackiej karyery. Mówiła mi raz, śmiejąc się zawsze figlarnie, że pragnęłaby znać jakiego wielkiego poetę, któryby na jej cześć pisał poematy, przez cały świat podziwiane. Gdy ona tak mawiała, drżałem cały, serce mi biło gwałtownie i myślałem w duszy: wszak ty już jesteś tak szczęśliwa i powtarzałem w pamięci zwrotki ostatniego mego sonetu, który miał być, według mego zdania, świetnym arcydziełem; a jednak wołałbym był wówczas raczej trupem odrazu paść, niżbym miał odkryć przed nią tajemnicę mej autorskiej twórczości.

O odwiedzinach, które składałem księdzu wikaremu, o usposobieniu mej duszy, o zamiarach zmiany religii nie mówiłem ani Aniucie, ani kolegom; wiedziałem doskonale, że

najlżejszy cień podejrzenia, rzucony na bogobojnego starca, byłby dla rządu powodem, aby go natychmiast wydalić z tu-tejszej parafii, a nawet może wywieźć gdzieś daleko na Północ; a miłszem byłoby mi śmierć męczeńską ponieść, niżbym miał się stać powodem krzywdy, wyrządzonej temu świętemu prawie kapłanowi i jego wiernej owczarni. Jednak zamiary moje nie ostygły, przeciwnie potężniały, kształtowały się jaśniej z każdym dniem i łączyły się z marzeniami o przyszłej autor-skiej działalności; układałem sobie: jak kiedyś w pismach moich będę apostołem jedynej prawdziwej wiary, która jedna zdola odrodzić trupiejszejący organizm schizmą przetrawionej Rosyi.

Pewną rozmaitość w mojem ówczesnem życiu sprawił przyjazd Adasia.

Dotrzymał on obietnicy i na tydzień przed końcem feryj, w drodze już do Dorpatu, gdzie zamierzał udać się dla dal-szych nauk w tamtejszym uniwersytecie — zawitał na kilka dni do nas. Stał u doktora, ale i w naszym domu był czę-stym gościem.

Nie mogłem powstrzymać się, ażeby go nie zapoznać z rodziną Barchatenskich; zaprowadziłem go tam na herbatę zaraz na drugi dzień po jego przybyciu. Chociaż ani słowem nie zdradziłem się przed nim z mojemi uczuciami, odgadł on jednak odrazu, co się w mem sercu działo. Po powrocie z zamku zapytałem go, niby od niechcienia:

— Jakże ci się ten dom podoba?

— Brzydki — odparł z dziwnym grymasem — zozydlił stary zamek tą jakąś parweniuszowską świeżością, no i tym monstrualnym zielonym dachem.

— Ależ nie o to mi chodzi — przerwałem mu niecier-pliwie. — Jak ci się podobali ludzie? ... Jak Anna Piotrówna?

Przy słowach tych Adaś nagle spoważniał, jak on to umiał i z dziwną twardością w głosie rzekł:

— Janie, to nie twoi ludzie. Nie! nie! nie! Stary jest najordynarniejszą pijawką, jest nędznym okazem rosyjskiego

czynownika, zubożonego nadużyciami, poczynionemi w służbie. A panna? Och! panna jest śliczna, ale wierz memu przecuciu, że djabeł w niej siedzi. Zobaczysz!

Zasepiłem twarz na te słowa przyjaciela i on poznał odrazu, że zrobił mi wielką przykrość, zamilkł więc na chwilę, a później innym już tonem, chłodniejszym jakimś i niby dyplomatycznym dokończył:

— Zresztą mogę się co do panny mylić. Nie jestem ani prorokiem, ani nieomylnym fizyonomistą; zdarzają się wypadki, że na podlej dziczce rodzą się czasem szlachetne owoce.

— Oh! ona jest szlachetna — zawolałem z zapalem. — Ona najszlachetniejsza z kobiet tej ziemi! Żebyś ty ją znał.

— Daj ci Boże, żebyś się nie pomylił — zakonkludował smutnym jakimś głosem Adaś i natychmiast zmienił przedmiot rozmowy.

Pomimo że mieszkańcy zamku niepodobali się memu przyjacielowi, on jednak zrobił w zamku jak najkorzystniejsze wrażenie. Ślicznie mówił po francusku. Zaraz na drugi dzień zostaliśmy zaproszeni do wzięcia udziału w jakiejś urzędzić się mającej wycieczce do sąsiedniego lasu. Naturalnie, że pojechaliśmy obaj.

Rodzice Anny i mój ojciec jechali powozami, my młodzież konno. Biały mój arab — jakby wiedział, że mi o to chodzi — pysznił się jak paw; ogon swój jedwabisty rozwinął, jak chorągiew, parskał ogniście i wyprawiał takie skoki, że można było sądzić: iż nie bylejakim jeźdźcem potrzeba być, aby na nim dosiedzieć, w rzeczy samej był najspokojniejszym i najpotulniejszym zwierzęciem pod słońcem.

Siedziałem na koniu jak wmurowany i radując się jego fantazją, jeszcze podniecałem jego żywość, patrząc bezprze-stannie w oczy Anity. Smutne dziś one były i jakieś łzawe, jakoś zamglone. Rozmawialiśmy o najobojętniejszych przedmiotach, Adam bowiem, jadący dziś na owej nerwowej, gnia-dej, angielskiej klaczy, z prawdziwie angielską flegmą, ani na krok się od nas nie oddalał. Jego spokój i pewna ręka wy-

wolywały okrzyki podziwiania z ust mego ojca i pana Barchatenskiego; mnie ta zimna jego krew, ten spokój i ten nadzór nad nami niecierpliwie już zaczynały.

Przepędziwszy kilka godzin wśród lasu i wypiwszy tam herbatę, już ze zmierzchem ruszyliśmy z powrotem. Konie nam zabrali chłopcy stajenni, a my przesiadliśmy się do powozów. Ojciec mój z Ekscelencją pojechali przodem doróżką, a my ulokowaliśmy się obok pani Barchatenskiej w dużym powozie. Usiedliśmy w ten sposób: Aniuta z matką na głównem siedzeniu, ja naprzeciw panny, a Adaś naprzeciw jej matki na przedniej ławeczce. Noc była cudownie piękna, cicha, balsamiczna, pełna blasku gwiazd migotliwych i szeptów jakichś tajemniczych. Aniuta milczała, rozmowę prowadzili wyłącznie Adaś z panną Barchatenską. Ja zadumany oparłem głowę o poduszkę powozu i zatopiłem się całkowicie w podziwieniu blasku cudownych oczu Aniuty, które wśród ciemności świeciły niemniej jasno, jak gwiazdy na niebie.

Uczuwałem dziwny smutek: za tydzień miałem wyjechać do uniwersytetu, a i oni: i Aniuta z rodzicami opuszczała na całą długą zimę Międzyrzecze, ażeby przepędzić ten czas wśród zabaw i gwaru wielkoświatowego w Petersburgu. Czy świat jej nie zepsuje? Czy wróci ona taką, jak jest teraz? Zadawałem sobie z drżeniem serca te straszne dla mnie wówczas pytania.

Może ona nie wie nic o mej miłości — szeptałem w duszy. — Nic jej o tem nie mówiłem. Nic a nic! I uczulem nagle w duszy żal do siebie samego za moją niezdarność, za moją nieśmiałość.

Nagle ona, jakby przeczuła moje myśli, wyciągnęła nieznacznie, pod szalem okrywającym nas, swą rękę i spotkawszy tam moją, uściśnęła ją namiętnie; oczy jej wówczas zaświeciły silniejszym jeszcze blaskiem, niby ogniki fosforyczne posypały się z nich, i głosem cichym, melodyjnym, śpiewnym, przyciszonym rzekła:

— Oh! jak się dzisiaj czuję szczęśliwą, tak szczęśliwą, że chciałabym dziś zaraz umrzeć. Większego szczęścia nie można zaznać na świecie.

Pani Barchatenska spytała ją zaraz o powody tego szczęścia, lecz ona nie odpowiedziała już ani słowa, tylko jeszcze silniej, czulej jakoś i pieszczotliwiej ścisnęła ją rękę.

Wkrótce później powóz zajechał przed zamkowy ganek.

Gdy ją, odjeżdżając wraz z ojcem i Adasiem żegnał i modlił się do niej oczami, szepnęła mi ledwie dosłyszalnym głosem:

— Bądź dziś w ogrodzie zamkowym, tam około parapetu, musimy się pożegnać.

W noc tę gwiazdzistą, w noc tę czarów jakichś pełną, zginął był dla mnie na jakiś czas świat rzeczywisty. Ona, ona i tylko ona była dla mnie światem całym. Szal jakiś ogarnął mnie. Ona pierwsza powiedziała mi, że mnie kocha; całowałem jej usta rubinowe, a ona drżąca, wzburzona tuliła się do mej piersi, pocałunków nie bronila, nie, nie, prosiła jeszcze o nie.

Czegom ja jej nie mówił wówczas? Zwałem ją swym życiem, swym światem, swym bogiem. Błądziłem, błądziłem słowami i błądziłem sercem i duszą, bom ja jej wcale nie klamał wówczas, jam niestety gotów był dla niej wyrzec się wszystkiego, nawet — oh bólu srogi — nawet i Boga przedwiecznego.

Jak przepędziłem ostatni tydzień mego pobytu w domu, opisywać nie czuję się na siłach. Było to delirium, podczas którego zdawało mi się, że co nocy obcuję z aniołem, a w rzeczy samej byłem w mocy szatana.

Splaceni w uścisku snuliśmy cudowne plany na przyszłość: ja zdobywałem sławę olbrzymią, moje imię stawało się najgłośniejszem pośród wszystkich nazwisk na niezmiernych przestrzeniach naszej, jak pół świata wielkiej ojczyzny, a ona czoło me wieńczyła wawrzynem i całowała me usta. W rzeczywistości tylko to ostatnie sprawdzało się bezprzezwannie.

W gorączce i upojeniu wyjechałem do Kijowa i tam przepędziłem całych, długich dziesięć miesięcy, poświęcając ten czas usilnej nauce i marzeniom o wielkiej sławie i jeszcze większem szczęściu w przyszłości.

VI.

W uniwersytecie zapisałem się na wydział filologiczny. Postanowiłem poświęcić się studyom, mogącym mi dopomóc w obranym zawodzie. Ojciec, gdym mu powiedział o moich zamiarach, nie sprzeciwiał się im, nawet nie odradzał; rzekł mi, że przyszłość pod względem materyalnym będę miał zabezpieczoną, mogę więc »bawić się« jak mi się żywnie podoba.

— Wszak i służba państwowa u nas — mówił z sarkastycznym uśmiechem — to także pewien rodzaj zabawy.

W Kijowie pozawierałem takie tylko znajomości, które mi mogły być potrzebne w dalszej mojej karierze. Zapoznałem się z kilku młodymi dziennikarzami, a ci wprowadzili mnie do domu pana X... znanego i głośniego już podówczas powieściopisarza. Pan X..., chociaż przekroczył był już wówczas czterdziestkę, mimo tego robił wrażenie zaledwie trzydziestoletniego człowieka i lubił, żeby go uważano za młodego. Widocznie przypadłem mu do smaku, bo rozmawiał ze mną dość długo, a gdy wychodziłem zaprosił, bym kiedy sam do niego zaglądnął i przyniósł mu cośkolwiek z tego, co napisałem.

Uszczęśliwiony tą propozycją, nie odwołując, zaraz na trzeci dzień zjawiłem się, przynosząc z sobą kilka wierszyków »do niej« i małą romantyzmem naszkicowaną nowellę. Gospodarz z drażniącą mnie trochę pobłażliwością przejrzał wiersze, odsunął je wkrótce od siebie i rzekł:

— No, te niczem się nie odznaczają. Najzwyczajniejsze studenckie rymowanie. Puszkinem młody człowieku nie będziesz.

Wstyd mi prawie przyznać się do tego, że uczulem w sereu na te słowa gniew i jakieś dziwne rozdrażnienie; zdawało mi się, że z ust głośnie sławę posiadającego pisarza,

przemawia zawiść, zazdrość, że on przeczuwa we mnie szczęśliwego i niebezpiecznego rywala i pragnie zniechęcić mnie, zatrzymać na obranej przezemnie drodze, skierować me zdolności na inne tory, a może nawet zabić je w zarodku.

Nagle zawstydzilem się; on patrzył na mnie badawczym wzrokiem i przysięgnę na to, że odgadł me myśli najdokładniej, nie jednak nie rzekł, tylko uśmiechając się pobłaźliwie, zatopił się w odczytywaniu mojej nowelki. Z bijącym sercem śledziłem wyraz jego twarzy: uśmiech znikł z wolna, czoło jego zfałdowało się zlekka, pomiędzy oczyma wystąpiły bruzdy jakieś, widocznie utwór mój rozbudził jego uwagę. Skończył i wesoło popatrzył mi w oczy.

— W tem coś jest! — zawołał pospiesznie. — Robota dziecinna, naiwna, błędna, ale w każdym razie rzecz niepospolita. W tem jest oryginalność, w tem jest dusza, jest prawdziwe uczucie, jest instynkt dziwnej, samorodnej harmonii i poczucie piękna.

Przerwał i nagle zamyślił się głęboko; patrzyłem w jego twarz jak winowajca, oczekujący wyroku.

Po chwili podniósł znowu oczy i rzekł powoli:

— Uczyć się potrzeba!

— Ale czego? ale jak? — zapytałem z gorączkowym pośpiechem.

— Poczekaj! — przerwał mi — musisz nabrać, nauczyć się sposobu opisywania.

Tu powstał i chodząc po pokoju zatrzymał się nagle przed stolikiem, ozdobionym starożytnymi brązami, na którym stała lampa, arcydzieło rzemieślnika francuskiego z czasów Ludwika XVI, przypatrywał się dość długo pięknemu sprzętowi, a potem nagle zwrócił się do mnie i rzekł:

— Opisz mi moją ukochaną lampę. Przypatrz się jej dokładnie, oglądnij ze wszystkich stron, i przynieś mi ten opis. Zobaczymy.

Od tej próby rozpoczęła się moja nauka literackiego rzemiosła. W uniwersytecie uczyłem się tajemnic lingwistycznych,

badalem ducha rozmaitych słowiańskich i starożytnych języków, dla pana X. opisywałem najrozmaitsze przedmioty, które mi pod oczy podpadały.

O Aniucie niewiele słyszałem, nie miałem odwagi prosić ją o listy, ona zaś sama nie zaproponowała mi tego. Wertowałem tylko zawzięcie petersburskie dzienniki; szczególniejsze wyszukiwałem w nich wiadomości o wielkim, eleganckim świecie — i spotkałem się kilka razy z nazwiskiem Barchatenskich: raz wymieniono Anię, pomiędzy pannami, przedstawionymi cesarzowej; innym razem recenzent balowy unosił się nad jej pięknoscia i wytwornoscia jej toalety. Wieści te sprawiały mi prawdziwą przyjemność; ani przez chwilę nie wątpiłem o stałości, o wierności ubóstwianej dziewczyny.

— Wybawi się — myślałem — w czasie feryj znowu się zobaczymy, kilka lat trwania moich nauk minie, może tym czasem zdołam zwrócić na siebie uwagę, może napiszę coś niezwykłego.

I pracowałem dalej zawzięcie.

Zapał mój religijny także osłabił był chwilowo, nie go nie podniecało; zrobiłem w duszy stałe postanowienie zostać katolikiem i nie zmienialem go, lecz równocześnie nie śpieszyłem się z doprowadzeniem go do skutku. O niczem wówczas nie myślałem, tylko o mem literackim wykształceniu. Rok szkolny minał tak, że nawet nie spostrzegłem kiedy. Z pierwszą mą pracą drukowaną spieszylem do domu.

Najsrozsze ciosy, największe boleści przychodzą zazwyczaj niespodziewanie.

Tak jak poprzednie ferye były dla mnie jednym, nieprzerwanym ciągiem szczęścia i rozkoszy, tak te wyrwały się w mej pamięci: jako najboleśniejsze chwile mego życia.

Zaraz na wstępie spotkała mnie straszna niespodzianka: pani Szurina zamieszkała na stałe w naszym domu. Ojciec nie miał siły donieść mi o tem, spadło to na mnie, jak piorun z jasnego nieba.

Gdy, wysiadłszy z pocztowej bryczki, wbiegłem do pokoju powitać ojca, zastałem ją w negliżu, rozsiadłą w jadalni przy porannej herbacie. Wściekłość jakaś opanowała mnie; w jednym mgnieniu oka ocenilem, jakie następstwa ten wypadek może pociągnąć za sobą w stosunkach naszych z zamkiem; zakląłem trywialnie, trzasnąłem drzwiami i uciekłem do swego pokoju. Ojciec przyszedł w ślad za mną.

Nie gniewał się nawet za moje gburostwo; zaczął się tłumaczyć. Mówił, że to jest najnieszczęśliwsza kobieta pod słońcem, że musiała uchodzić przed brutalstwem męża, który stał się dla niej prawdziwym tyranem; ostatecznie zapowiedział, niby na pocieszenie, że porobił już wszelkie potrzebne kroki prawne, że przeprowadzi rozwód i ożeni się z Julią Edwardówną.

Nie odpowiadałem nic, nie miałem wreszcie prawa sprzeciwić się jego woli; cóżby to zresztą było pomogło?

Przewyciężyłem gnieźdzący się w duszy wstręt i poszedłem przywitać moją przyszłą macochę. Była dla mnie uprzedzająco słodką, udala, że nie dostrzegła wrażeń, jakie na mnie w pierwszej chwili wywarła jej obecność. Od tego dnia mówiliśmy z sobą bardzo mało, ale ani razu nie przyszło pomiędzy nami do jakiegokolwiek sceny.

Najboleśniejsem dla mnie było to, że z powodu przyjazdu pani Szurinej musiał ojciec usunąć ze służby starą Józefową; za nie nie chciała starowina pozostawać pod rozkazami »takiej« pani.

Pierwszego zaraz dnia poszedłem odwiedzić mą dawną piastunkę; mieszkała w najętej chacie w pobliżu zamku. Ucieszyła się mną, jak swem własnym dzieckiem, całowała mnie w czoło, później chciała ręce me i nogi całować, ale naturalnie nie pozwoliłem na to.

O postępowaniu mego ojca nie prawie nie mówiła, tylko machnęła raz od niechcenia ręką i szepnęła:

— Eh! on zawsze był taki. Jeszcze nieboszczka nasza żyła, to miała z nim kłopoty.

Nie odpowiedziałem jej na to. Po dość długo trwającym milczeniu zapytałem pierwszy: czy nie wie, co się dzieje teraz w zamku?

— Państwa się spodziewają! — zawołała z zapalem i twarz jej rozjaśniła się radością. Za kilka dni przyjdą na pewno. I nasza gołąbka, nasza złota panienska przyjedzie.

Nie zwierzałem się nigdy z moich uczuć przed Józefową, lecz ona oddawna odgadła tajemnicę mego serca — i Aniuta stała się naszym wspólnym ideałem.

— Jaka ona śliczna — mówiła, zapalając się coraz więcej Józefowa — jak jaka święta z obrazu w kościele.

Nie chciałem dłużej rozmawiać z Józefową o Aniucie, wydawało mi się to pewnym rodzajem profanacyi; dla przerwania więc jej zachwyty zapytałem, czy nie cierpi niedostatku?

— Boże uchowaj! — zaprzeczyła staruszka. — Pan dla mnie był bardzo hojny, wyznaczył mi pensję do samej śmierci i najął dla mnie tę chatkę od zarządu dworskiego. Żyję tu jak u Pana Boga za piecem — mówiła dalej — do kościoła ehoďte co dnia, poczeiwe kumy mieszcanki odwiedzają mnie często.

— A jakże się miewa nasz ksiądz wikary? — pytałem dalej.

— Zdrów, chwała Bogu najwyższemu; zawsze się wy-
pytuje o ciebie paniezu mój ty złoty.

Pogawędziwszy jeszcze z pół godziny ze staruszką, wy-
pytawszy ją o wszystkich znajomych, poszedłem przywitać się z księdzem.

I on mnie przyjął z otwartemi rękoma. Długo, długo z nim rozmawiałem, wylałem przed nim mój żal z powodu postępowania mego ojca.

— Synem jesteś — odparł mi starzec — nie jesto rzeczą syna wydawać sąd o czynach ojca. Bóg krzyżem cię nawiedza, przyjmij krzyż z ręki Pana i dziękuj Mu za to, że doświadcza twoją duszę.

O moich zamiarach przyjęcia katolicyzmu nie dnia tego nie mówiłem, staruszek też nie wszczynął sam tej kwestyi.

Na drugi dzień po moim przyjeździe nadjechali Staś i Kazio. Ucieszyłem się nimi bardzo, i rozmowy, dysputy i dawne wspomnienia koleżeństwa z czasu nauk w gimnazyum, sprawiły, że zapomniałem trochę o mej »macosze« i nie tak męczyło mnie oczekiwanie przyjazdu Barebatenskich. Kazio i Staś studyowali medycynę w Petersburgu i tak zajęci byli swą nauką, że o niczem prawie nie umieli mówić, tylko o niej i zawsze o niej. Po dwóch dniach byłem zmuszony im powiedzieć, że są w stanie zameczyć mnie na śmierć swą medycyną.

Pamiętam, było to w piątek.

Ledwie się przebudziłem ze snu około dziewiątej godziny — noc bowiem prawie całą przepędziłem na spacerach i dysputach studenckich z kolegami — usłyszałem w przedpokoju głos Józefowej, sprzeczącej się ze starym kozakiem Siańkiem. Wreszcie pomimo protestów służbistego kozaka, drzwi się otworzyły i Józefowa promieniejąca radością wpadła do mego pokoju.

— Przyjechali, paniczu mój złoty! Przyjechali! — wołała, a była tak rozgorączkowana, że nawet drzwi za sobą nie zamknęła.

Jednym susem wyskoczyłem z łóżka i zapytałem porywco:

— Kiedy?

— Dziś rano! dziś przed pół godziną; powozy dziś chodzą do dworca na ranny pociąg. Zdaje się, że jest z nimi i brat, bo jakiś oficer, jak słońce jasny, jechał z nimi.

Zacząłem biegać po pokoju, sam nie wiedząc, co mam wprawdzie robić. Z wielkiej radości i wzruszenia obłąd mnie jakiś chwycić zaczynał. Śpiewałem, kręciłem się w kółko i do bry kawał czasu upłynął, zanim zabrałem się do ubierania.

W pierwszej chwili chciałem lecieć natychmiast do zamku: witać ją. Później przyszło mi na myśl, że to byłoby niegrzecznie, nieprzyzwoicie.

— Zmęczona po tak długiej i nużącej drodze — myślałem — pójdę wieczorem.

Później przyszło mi na myśl, czy wogóle wypada narzucać się komu pierwszego zaraz dnia po odbyciu tak uciążliwej podróży. Wpadłem więc w smutną zadumę, w dziwną jakąś tęsknotę i bezradność i usiadłszy na szeszlagu w moim pokoju, przesiadziałem tam bez ruchu, sam nie wiem jak długo. Siankowi, który wzywał mnie do obiadu, odpowiedziałem opryskliwie, że jeść nie będę, bo głowa mnie boli — i siedziałem dalej miotany najrozmaitszemi uczuciami. Jakieś znowu czarne przeczucia zaczęły rodzić się w mej duszy. Nigdy przedtem niezaznane obawy otoczyły mnie zewsząd; niepewność jakaś, jak chmura gradowa, zawisła nademną i gnębiła mnie dziwną jakąś, duszną, dławiącą atmosferą. Sam nie wiedziałem co, ale czulem to najdokładniej, że coś mi groziło. Byłem już prawie pewny zagłady mego szczęścia.

Nie mogłem się zdecydować, co mam zrobić? Czulem, że wszystkie nerwy drgają we mnie; zdawało mi się, że stały się one strunami jakiegoś dziwaczego, żyjącego instrumentu, że rozbrzęczały się te struny jakaś wściekłą, ohydną, fałszywą melodyą, pełną wstrętnych dyssonansów; tu i ówdzie przebrzękiwała jeszcze cicha, kojąca nuta, lecz coraz rzadziej, coraz ciszej.

Gdym spostrzegł, że słońce chyli się już ku zachodowi, zerwałem się gwałtownie i z gorączkowym pośpiechem zacząłem się ubierać. Nie długo to trwało, uczesałem włosy, zapiałem swój studencki mundur i ruszyłem piechotą do zamku.

Szedłem długo, wahając się ciągle; jeszcze od samej bramy chciałem się wrócić i uciekać gdzieś w dal, gdzieś w bory jakieś ciemne, w puszcze bezdenne, byleby się skryć przed okiem ludzkim. Przemogłem jednak ten strach dziecienny; pewnym krokiem wszedłem do salonu.

Zastalem tam zgromadzoną całą, dawniej mi już znaną rodzinę i jakiegoś obcego oficera w paradnym mundurze «kawalergardzkiego» pułku.

Zauważyłem dokładnie, że moje pojawienie się wywołało na twarzach wszystkich pewien rodzaj kłopotliwego zdziwienia.

Ekscelencya powitał mnie chłodno, protekeyonalnie; pani ledwie dostrzedz raczyła mój ukłon. Anna Piotrowna zarumieniła się w pierwszej chwili i w przeciągu mgnienia oka spostrzegłem, że nie wiedziała, jak się ma właściwie zachować; wnet jednak na ustach jej zjawił się swobodny uśmiech, przyjacielsko wyciągnęła do mnie rękę i przywitała mnie po dawnemu. Otucha wstąpiła w me serce.

— Panowie się nie znacie? — zapytała Anua, wskazując wzrokiem na gwardyjskiego oficera.

— Nie — odpowiedziałem cichym, niepewnym głosem.

— Pan Dawydow, nasz znajomy — rzekła głośno i donośnie, a później wskazując na oficera, dodała: księżę Swerskoj, nasz przyjaciel.

Oficer zbliżył się do mnie i uprzejmie podał mi rękę. Nie miałem nawet na tyle siły, aby podnieść oczy i oglądnąć tego księcia; brzmienie głosu Aniuty, nacisk położony na słowach »książę« i »przyjaciel« kazały mi się domyśleć najsmutniejszych rzeczy, a raczej obawy, które męczyły mnie przez cały dzień, zmieniły się nagle w pewność prawie.

Chęć do życia jednak, pragnienie szczęścia jest w człowieku tak silne, że najeźściej człowiek, stanąwszy oko w oko z klęską, pozwala ogarnąć się pocieszającym złudzeniom, sam je nawet tworzy, byleby odsunąć od siebie jak najdalej smutną rzeczywistość. Mnie błysnęła nagle myśl, że Aniuta demonstracyjnie, umyślnie, dla zatarcia wszelkich podejrzeń, urządziła całą tę bolesną dla mnie komedję prezentacyi. Z błyskawiczną szybkością stworzyłem w mej wyobraźni cały, poezyi pełny romans.

— Rodzice pragną ją wydać za tego księcia — pomyślałem w duszy — ona go nie chce, ona mnie kocha. Mnie jednego tylko kocha, ale zdradzić się nie może. I słusznie czyni. Po co zwracać niepotrzebnie na nas uwagę?

Myśl ta pocieszyła mnie chwilowo, wzmogła moje siły, na jakiś czas mogłem zapanować nad rozstrojenemi nerwami.

Rozpocząłem zupełnie przyzwoicie jakąś potoczną, obojętną rozmowę i równocześnie zająłem się zbadaniem powierzchowności mego domniemanego rywala.

Był to wzorowy, idealny podporucznik kawalergardów: słuszny, w pasie cienki, tak cienki, że można go było posadzić, iż się sznuruje, plecy i ramiona miał szerokie, rozrośnięte jak u niedźwiedzia, kark gruby. Twarz?... Twarz miał nawet nibyto piękną, rysy regularne, rumieńce świeże, profil prawie grecki. Cóż, kiedy oczy duże, na wierzchu siedzące, oczy martwe i bezmyślne, kiedy usta, wargi nadmiernie rozwinięte, tłuste jakies i zwierzęco czerwone — nadawały całej tej twarzy wyraz jakiejś dziwnej, dobrodusznej, poczeiwej głupoty. Siedział ten książę wyprostowany jak świeca, do rozmowy mięszał się mało, a jeżeli kiedy przemówił, to zdania jego było śmieszna mieszaniną rosyjskich i francuskich słów i robiły wrażenie wystudyowanej lekeyi. Uparcie mi się zdawało, że zdania te już gdzieś kiedyś slyszalem, albo czytałem.

Później przeszedłem wzrokiem na Annę Piotrównę i wydało mi się, że to nie ta sama, ubóstwiana przezemnie dziewczyna. Teraz widziałem przed sobą oślniewająco piękną kobietę: twarz jej przedłużyła się, oko nabrało jakiegoś żarzącego, płomiennego blasku, a okalająca je ciemna obwódka, blask ten podnosiła jeszcze, biust jej wypełnił się i przypominał kształty bogiń greckich, wogóle robiła wrażenie kobiety o kilka lat starszej niż w roku zeszłym. Pod mojem badawczem spojrzeniem nie spuściła oczu, nie zarumieniła się nawet, tylko na jej pięknem obliczu zapanował taki wyraz, jakby chciała mi powiedzieć: patrz, jak piękną jestem.

Rozmowa, przez nikogo nie podtrzymywana, rwać się na dobre zaczynała; czulem, że obecność moja zaczyna zakrawać na natręctwo, wstałem więc i miałem zamiar pożegnać towarzystwo. Zauważywszy ruch ten, Anna Piotrówna zwróciła się nagle ku mnie i z żywością rzekła:

— Ach prawda! Iwanie Osipowiczu, mam panu coś bardzo pięknego do pokazania. Pamiętam, że pan jesteś wiel-

bicielem starych bronzów; papa mi kupił cudowny zegar francuski, stary bronz Ludwika XV, może go pan zechce zobaczyć, stoi w sąsiednim gabinecie. Ciekawam, co pan o nim powie?

Mówiąc to, wstała i skierowała się do przyległego pokoju; oprócz mnie nikt za nią nie poszedł.

Gdy znaleźliśmy się po za cienką jedwabną portyera, ona stanęła nagle, usta jej drżały i cała była wzburzona — ja uczulem, że blednę, nogi trząść się podemną zaczęły.

— Janie — szepnęła z dziwną jakąś gwałtownością, chwytając mą rękę — Janie, bądź dziś w ogrodzie, tam, tam, ty wiesz, tam, gdzie w przeszłym roku — przerwała na chwilę, głosu jej zabrakło. — Mam ci coś bardzo ważnego powiedzieć.

W tej chwili usłyszałem za portyera brzęk ostróg.

— Jakież wrażenie robi na panu ten bronz? — rzekła panna, zmieniając nagle głos i opanowując zupełnie owo wzruszenie.

Zwróciłem oczy na zegar. W tej chwili książe wszedł do gabinetu.

Nie pamiętam już, co odpowiedziałem na zapytanie Anny; wiem tylko to, że wnet wywiązała się rozmowa pomiędzy nią a księciem; ona mówiła żywym, nerwowym jakimś głosem; słowa i zdania pokaźnego oficera kazały mi się odrazu domyśleć, że jest on głupi i ciężko myślący. Mogłem się wreszcie mylić wówczas; byłem bowiem niezwykajnie wzruszony, nerwy moje znajdowały się w straszliwym naprężeniu; uczulem, że dłużej nie jestem w stanie znajdować się tu pomiędzy tymi ludźmi, bo... bo zaczynałem tracić panowanie nad sobą.

Szepnąwszy niezdarnie kilka słów pożegnania, wyszedłem. Zanim opuściłem przedpokój, słyszałem najwyraźniej wesoly śmiech i basowy dźwięk głosu świetnego oficera; choć słów zловіć nie zdołałem, byłem jednak pewny, że to ze mnie się śmiał ten gwardyjski niedźwiedź.

Zacisnąłem tylko pięście, stłumiłem szalony wybuch gniewu, który w pierwszej chwili nakazywał mi wrócić i szukać

zaczepki z oficerem, a później zabić go, zabić go jak psa. W tej chwili nienawidziłem księcia Iwerskiego. Oh! jakże często marnujemy uczucia, jakże często istoty niewarte nawet tego, byśmy na nie zwrócili chwilową uwagę, ni ztąd, ni zowąd stają się przedmiotami naszych uczuć gwałtownych, nieokiełzanych.

Wyszedłszy za bramę zamku, nie skierowałem się ku domowi, ale poszedłem łąkami, wzdłuż brzegów rzeki. Szedłem długo, nie zwracając napozór uwagi na to, co mnie otaczało, a jednak dziwnym fenomenem psychicznym, wszystko, co wówczas widziałem, wryło się i bez mej samowiedzy w pamięci. Każdy listek nadbrzeżnej loziny, każda muszka unosząca się ponad wodą, każda kopica siana, każde kretowisko, wszystko, wszystko pozostało jak odfotografowane na płycie mej pamięci. I gdy teraz przypominam sobie owe chwile, odżywają wnet razem ze wspomnieniami uczuć zamarłych i te martwe akcesorya. Tylko, że one, że ten obraz okolic Międzyrzecza nie robi mi przykrości, przeciwnie sprawia mi nawet przyjemność wielką.

Błądząc ponad rzeką, przesiadując w gąszczach nadbrzeżnych zarośli, kryjąc się starannie przed okiem ludzkim, doczekałem się zupełnego wieczora.

Jakie były moje myśli wówczas? z tego sam przed sobą nigdy nie mogłem sobie zdać sprawy. Wiem tylko, że nie myślałem prawie o Annie, ani o niczem, coby mogło mieć jakikolwiek bądź z nią związek; myśli moje albo cofały się w odległą przeszłość dziecięcych wspomnień, albo leciały gdzieś w dal, w przyszłość nieodgadnioną i błądziły tam, gubiły się w dziwacznych marzeniach. W marzeniach tych, w snach o rzeczach przyszłych, widziałem się zawsze sam, sam jeden, opuszczony i zapomniany przez wszystkich, przez świat cały; widziałem się w walkach ciężkich, słyszałem wycia licznych wrogich tłumów, lecz sam tylko musiałem się bronić, sam walczyć; tej, którą wybrałem sobie za ideał mej młodości, nie było przy mnie, zapomniałem nawet o niej, nie wzywałem jej pomocy.

Słońce wreszcie zaszło; wkolo otoczyło mnie dziwne, czaru jakiegoś pełne życie nocy letniej; żaby odezwaly się

głośnym chórem, gdzieniegdzie w gąszczu śpiewał ochryplym już trochę głosem zapóźniony słowik, który pomimo tego, że już młodość jego minęła, nie chciał zapomnieć o miłości, o rozkoszy.

Noc to była inna jakaś, smutniejsza, niż zwykle: księżycą nie było, a na ciemnym błękitie firmamentu gwiazdy okryły się jakoś żalobnie, sklepienie niebieskie zdawało mi się być wielkim niezmiernym całunem czarnym, obsypanym srebrnymi plamami. Tak się ono przystroiło żalobnie w mej wyobraźni na chwilę pogrzebu mych marzeń młodocianych, mego uczucia wypielegnowanego w głębi wrzącej piersi, złudzeń duszy chłopięcej.

Gdy ucichły gwary dolatujące mnie od najdalszych chat miasteczka, gdy nawet psy gospodarskie szczekać przestały, wstałem nagle z mego siedzenia wśród paproci nadrzecznych i puściłem się ku ogrodowi zamkowemu.

Chociaż nie miałem zupełnie powodu do robienia smutnych przypuszczeń, jednak najgorsze przeczucia ogarnęły mnie zewsząd i nie omyliły mnie one. Kilka chwil, które nastąpiły wnet potem, pozostawiły najwstrętniejsze wspomnienie.

Z zimną krwią i nawet bez zbytecznego bicia serca odsuwałem rygiel ubocznej furtki parkowej, przez którą dostawałem się w przeszłym roku na schadzki z Anną. Niesmarowane dawno żelazo zgrzytnęło niemile, nie zrobiło to na mnie wrażenia, byłem przygotowany na wszystko najgorsze.

Tuż poza furtką, pomiędzy kłębem rozłożystych klonów, stała Anna. Gdy zbliżyłem się do niej, wyciągnęła ku mnie rękę i nachyliła ku mnie swą twarz. Na ustach uczulem wnet gorący, płomienny pocałunek. W upojeniu pierwszej chwili zapomniałem o wszystkim, o świecie całym. Wkrótce jednak uczulem jakby zimno wiejące od tej doskonale pięknej; odsunąłem się bezwiednie prawie i rzuciłem przyciszonym głosem pytanie:

— Cóżżeś mi miała powiedzieć Anno?

Na dźwięk mego głosu, ręka jej, spoczywająca jeszcze w mej dłoni, drgnęła kureczowo, cofnęła ją też natychmiast.

Stała wyprostowana, mileżąca, tylko wśród cieniów nocy, oczy jej błyskały nienaturalnie.

— Mów Anno! — powtórzyłem żądanie.

— Janie! Janie! — zawołała wówczas głosem, w którym dźwięczała jakaś szalona namiętność. — Ja muszę wyjść za tego księcia. Muszę! muszę! rodzice sobie życzą. Zresztą on książę i milioner... Muszę! muszę!

Tu przerwała na chwilę, głosu jej zabrakło, starała się wziąć mą rękę, ale cofnąłem ją pospiesznie. Słów jej słuchałem bez zdziwienia, zdawało mi się, że już je kiedyś słyszałem. Po chwilowem milczeniu wybuchnęła znowu jeszcze gwałtowniej:

— Będę księżną, ale ciebie, ciebie stracić nie mogę!... Kocham cię nad życie. Ty musisz być mój, mój nazawsze!

— Nie! — odparłem glucho, niby sam do siebie.

— Musisz! Będziesz moim wielbicielem, wielbicielem księżny Iwerskiej, najpiękniejszej kobiety w stolicy. Będziesz moim nadwornym poetą. Wszak one wszystkie, wszystkie kobiety światowe, wszystkie damy dworu mają kochanków. Będziesz! będziesz!

Tu uczulem, jak jej ramiona otoczyły mą szyję, a usta gorączkowo rozpalone całowały mą twarz, czoło, oczy. Wydawało mi się w tej chwili, że upiór, że trup na pół przegniły chwycił mnie w swe objęcia; wstręt niedoświadczany nigdy przedtem i nigdy potem opanował całą mą istotę, szarpnąłem się, wyrwałem się z jej objęć i rzuciwszy jej w odpowiedzi tylko raz jeszcze lakoniczne: Nie! nie! — wyszedłem z zamkowego ogrodu.

Wzburzenie nerwów, drżenie serca ustało we mnie w całości; powróciłem odrazu do zupełnej równowagi zmysłów, do niczem nie zmaconej samowiedzy. I uczulem się równocześnie nieszczęśliwym, bezgranicznie nieszczęśliwym. Nie osobisty zawód mnie pogubił, nie rozczarowanie, nie ruina marzeń młodzieńczych. Nie! Przed moimi oczyma odkryła się straszna, gnijąca rana, zatruwająca życie zdrowego napozór narodu, jatrząca soki żywotne całego społeczeństwa.

W jednej chwili boleści osobistej otworzyły mi się oczy i w mgnieniu oka dojrzałem do tego stopnia, że zdołałem zapomnieć o własnej niedoli, a odczuć nieszczęście ogólne; nie zmniejszyło to mego bólu — przeciwnie wzmogło go stokrotnie.

— Taka młoda, zaledwie siednastoletnia dziewczyna, taka piękna. Kwiat społeczeństwa — rozważałem w duszy — i taka zepsuta, taka przegniła.... Nie jej to nawet wina. Wina to całych pokoleń, całego narodu.

Szedłem przed siebie, nie wiedząc gdzie i po co — halucynacye jakieś chwytały mnie znowu w swą moc zaczynały, widziadła dziwnie wstętne otoczyły mnie wokół. Tłumy jakieś kłębiły się przed oczyma mej duszy.

Zdało mi się, że widziałem przed sobą wyraźnie tę »malkę rozpusty«, smutnej dla Rosyi pamięci »wielką carycę«, Katarzynę II. Na jej zmysłowej twarzy igrał lubieżny, na pół figlarny, na pół zwierzęcy uśmiech; najwyraźniej mrugała na mnie swemi wielkimi, pożądliwemi oczyma; słyszałem jej głos. Z pomiędzy jej obwisłych warg wyrwał się kuszący szept: »chodź tu chłopcze, chodź tu piękny — zrobię cię kochankiem wszechpotężnej monarchini, Semiramidy Północy.« A wkoło tego widma płaśaly całe tłumy bachantek, całe legiony gachów na wpół pijanych i zezwierzęconych. Cały sabat czcicieli rozpusty.

— Śmierć! grób! pruchno! — zawolałem i zrozpaczony padłem gdzieś na murawę, nie wiedząc, ani pragnąc nawet wiedzieć, gdzie się znajduję.

Prześladowany okropnemi widziadłami, leżałem tak bez ruchu długo, długo — sam nie wiem, wiele godzin. Wreszcie cienie nocy rzednąć zaczęły, a i w mej duszy jakaś jasność rodzić się poczęła.

Przed oczyma mej duszy zjawiły się nagle jakieś dziwne postacie, niby anioły białe — dziewczątka jakieś promieniste, czyste i nieskazitelne, a ponad ich jasnemi, złotemi główkami, niby aureola unosić się zdawała. Wśród tego światła złotego, dostrzegłem wyraźnie brylantowemi głoskami wypisane słowa:

Wiara, Nadzieja i Miłość. Tak — miłość Boga, miłość bliźnich, miłość ojczyzny.

Cóż to za grono aniołów Bożych? Zacząłem się im bliżej przypatrywać; luna bijąca od ich postaci nie razila już tak mego wzroku. I zdało mi się, że poznawałem te dziwne twory Boże. Były to polskie dziewczęta, które spotykałem w mem życiu, siostry i kuzynki moich kolegów, ciche, skromne, pobożne istoty, przyszłe kapłanki ognisk domowych, strażnice i przybytki życia narooowego.

Uczuwałem, że pod wpływem ożywczych promieni, bijących od główek tych jasnych i czystych, krew na nowo w mych żyłach krążyć zaczęła. Nadzieja jakaś słodka w duszę mą wstąpiła. Blysnęła nagle myśl, że może nie wszystko już przepadło, że może ratunek znaleźć się może. Wszak Bóg jest wielki i potężny, a Jego miłosierdzie niezmierzone. W ślad za tą myślą odradzać się poczęły dawne, dawne wspomnienia — wspomnienia dzieciństwa, modlitwy mej matki, pierwsze słowa pacierza, których od niej się nauczyłem; później nieokreślone pragnienia jakiejś wiary, jakiegoś ukojenia, rodzące się w mej duszy przez cały prawie czas chłopięcego wieku; wreszcie stanął przedemną niby we śnie, a niby na jawie siwowłosy książd wikary i nauki jego, każde słowo wyrzeczone przez niego odżyło w mej pamięci.

Zerwałem się na równe nogi. Światłość jakaś otoczyła mnie wkoło; uczulem, że niedola moja skończyła się, że nadzieja moja zabłysła, że widzę przed sobą drogę wyraźną, po której kroczyć należy.

— Tylko prawdziwa wiara Chrystusowa zbawić nas zdola! — zawołałem w duszy radośnie. — Tylko katolicyzm uzdrowić może naród, w ten sposób chory, jak nasz.

Tymczasem świt się już na dobre rumienił i wkrótce z poza stromych pagórków blysnęły pierwsze promienie słońca.

Obejrzałem się wkoło i dopiero teraz dostrzegłem, że bezwiednie, bezmyślnie odszedłem w nocy o jakie pół mili od miasteczka i znajdowałem się tuż obok ogromnych zarośli

trzciny i sitowia, roztaczających się u górnych wybrzeży międzyrzeckiego stawu. Brnąc przez mokrzadło i skacząc przez głębokie rowy, zacząłem powracać, starając dostać się na bardziej uczęszczaną drogę.

Zanim doszedłem do traktu, usłyszałem rozlegający się z wieży kościelnej srebrny dźwięk sygnaturki; był to znak, że ksiądz wikary wychodzi już z poranną mszą. Przyspieszyłem kroku i za kilkanaście minut wszedłem w boczne drzwi kościoła.

W dużej, długiej i na wpół ciemnej jeszcze nawie kościelnej, oprócz dwóch żebraków i ślepej szewcowej, nikogo nie było. Przeszedłem przez całą nawę i ukląknę przed ołtarzem. Właśnie ksiądz był skończył czytać ewangelię.

Modliłem się długo, utonąłem zupełnie w modlitwie i czułem jak z każdą chwilą robi mi się lepiej, swobodniej. Modlitwa tak zajęła wszystkie me siły umysłowe, że nawet nie zwróciłem uwagi, że msza św. już skończona, że ksiądz odszedł od ołtarza i świece już nawet zakrystyan pogasił.

Nagle uczułem, że ktoś dotknął mego ramienia; podniosłem oczy i ujrzałem nad sobą pocziwą twarz księdza wikarego.

— Chodź synu! — rzekł dobrotliwie. — Chodź! Czasem zadługa modlitwa także grzechem być może. Chodź!

Poszedłem za nim jak dziecko za ojcem. Gdy znaleźliśmy się w jego izbie, rzekł ksiądz nagle:

— Mów, co za boleść cię złamała? Mów!

Gdybym nawet nie miał był ochoty ani zamiaru wyśpowiadać się z mych wrażeń i cierpień przed tym niezwykłym człowiekiem, to byłbym był musiał usłuchać tej wszechpotężnej woli, która dźwięczała w jego głosie. Rozkaz ten jednak nie tylko nie sprawił mi przykrości, przeciwnie doznałem wielkiej radości na myśl, że podzielię się z tym starcem ciężarem duszę mą przygniatającym.

Usiadłem obok i cichym głosem opowiadałem mu wszystko i to, co wiedział i to, czego mu jeszcze nigdy nie mówiłem. Odkryłem mu duszę moją do najgłębszych skrytek, a przy

spowiedzi tej ogarniała mnie egzaltacja jakaś, niby zaciekłość na siebie samego; prawie pragnąłem tego, żeby wystawić się większym jeszcze grzesznikiem, niż byłem w rzeczy samej. Wreszcie wyczerpawszy przedmiot w całości, powstałem i głośno zawolałem:

— Ojcie dopomóż mi, chcę zostać kapłanem katolickim.

Na te słowa chmura jakaś przesłoniła pogodny wzrok księdza i wydało mi się, że w oczach jego, w tych oczach słodkich i łagodnych, mignęła nagle iskra gniewu.

— Nie obrażaj Pana Boga! — rzekł trochę porywczo. — Zkąd ten zapal, z kąd powołanie? Czyż dlatego, żeś trafił na głupią i zepsutą dziewczynę, dlatego, żeś doznał zawodu w pierwszej miłości, to... to masz być księdzem? Słomiany to prawdopodobnie pożar. Odradzać nikomu nie odradzam, ale też na swoje sumienie brać nie mogę i pomocy ci żadnej nie udzielę.

Po wypowiedzeniu tych kilku ostrych i zbyt może przykrych słów, nachylił swe usta nad moją głową i błogosławiąc, pocałował mnie w czoło.

— Niech ci Bóg dopomaga dziecię moje — szeptał wrzuszonym głosem. — Jemu ufaj, doświadcza cię On, ale i wyprowadzi na dobrą drogę. Znać łaska Wszchemocnego czuwa nad tobą, może modlitwy twej ś. p. matki przyczyniają się do tego. Idź w dobrej myśli, nie rozpaczaj, a módl się i myśl.

Wyszedłem od księdza z gotowem już postanowieniem. Nie miałem zamiaru zaraz, natychmiast wstępować do seminarjum. Nie! czulem, że byłoby to prawie grzechem. Postanowiłem jednak stanoweć, że jak można będzie w najkrótszym czasie opuścić Rosyę i pojedę na Zachód szukać prawdziwej nauki, nie zakażonej rozkładowym pierwiastkiem niewiary i sceptycyzmu.

Tego samego dnia jeszcze oznajmiłem ojcu moje postanowienie. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu nie sprzeciwiał się temu i owszem widziałem, że zrobiło mu ono pewną przyjemność. Pani Szurina głośno i ostentacyjnie pochwaliła także mój zamiar. Teraz rozumiałem wszystko: radzi byli oboje,

że ja, bądź co bądź niewygodny świadek występnej miłości, będę gdzieś daleko, po za słupami granicznymi.

Sam ojciec pojechał po paszport dla mnie; trudności nie miał żadnych: ja jako jednak, wolny byłem od wojskowej powinności — dano mi paszport i w trzy dni potem, pożegnawszy wszystkich — znalazłem się na ziemi austriackiej.

VII.

We Lwowie spotkałem się z kochanym Kotłowskim, który tu stale mieszkał i był współpracownikiem pewnego konserwatywnego pisma. Spotkanie to sprawiło nam obu wielką radość. Długie godziny rozmawialiśmy o Rosyi, o upadku moralnym, podkopującym ten młody jeszcze i żywotny napozór organizm społeczny.

Z porady mego dawnego nauczyciela postanowiłem dłużej zatrzymać się we Lwowie, a nawet zapisałem się jako student na lwowski uniwersytet. Z mojami zamiarami poświęcenia się stanowi duchownemu nie zdradzałem się jeszcze przed Kotłowskim, wiedziałem, że byłby mi odradzał. Przyznałem się tylko przed nim do moich prób literackich, dałem mu nawet do przeczytania niektóre urywki, pisane w Kijowie. Przeczytał i pochwalil, namawiał mnie nawet bardzo usilnie do wytrwałości w tym kierunku.

— Jestto najpotężniejsza może broń — mówił mi, zapalając się — którą można użyć do szerzenia dobrych zasad. Dziś wszyscy prawie czytają; powieść wśliźnie się tam, gdzie żaden inny czynnik nie dosięże. Pisz, pisz! — wołał — i zwalczaj ten bezbożny pesymizm, jaki rozpanoszył się w waszej dzisiejszej literaturze. Dobrze myślący pisarz ma dziś w Rosyi olbrzymie pole działania.

Słowa Kotłowskiego rozbudziły we mnie znowu na jakiś czas gorączkę autorską; znowu zacząłem próbować swych sił, lecz wkrótce poczułem, iż źródło mej twórczości wyschło zu-

pełnie, że tworzyłem w sposób rzemieślniczy, że ogień płonący w mej piersi wypalił się już zupełnie. Zniszczyłem nieudane próbki, złamałem pióro i odtąd nie próbowałem nigdy już tworzyć.

Pobyłt we Lwowie nużyć mnie wkrótce zaczął; nie miałem celu dłużej tu zostawać, a przytem coś nieokreślonego ciągnęło mnie na Zachód, na Południe. Myśl, która zrodziła się była po raz pierwszy owego dnia, w którym doznałem tak strasznego, bezlitośnego rozczarowania, wracała coraz to uparciej, wracała teraz spokojnie, bez żalu, rozpaczy i zlorzeczeń, które towarzyszyły jej pierwszemu zjawieniu. Coraz jaśniej i wyraźniej widziałem, że żadne utwory poetyczne, choćby najbardziej natchnione, nie są w stanie wlać nowego życia w przegniły naród; do tego potrzeba silniejszego czynnika — tylko katolicyzm z towarzyszącym mu zazwyczaj zapalem religijnym, tylko on jeden i jedynie on jest w stanie rozbudzić życie, tehać ducha w ten naród zdemoralizowany przez liczny ciąg pokoleń.

— Rzym! Rzym! — wołałem w duszy. — Do Rzymu! Tam zbawienie! tam lekarstwo!

I w duszy mej uczuwałem nieprzeparty pociąg ujrzenia tego »wiecznego grodu«, tej prawdziwej stolicy Piotrowej.

Z nastaniem zimy doprowadziłem mój zamiar do skutku. Ojciec przysyłał mi dostateczną ilość pieniędzy, nie miałem więc przyczyny rachować się z materyalnemi przeszkodami.

W Rzymie zetknąłem się z rodakami. Byli tam najrozmaitsi Rosyanie, a wszyscy zupełnie podobni do tych, jakich znałem w ojczyźnie. Wszystkie kierunki i typy były tam reprezentowane, począwszy od mężów stanu, polityków, dyplomatów, nadętych ekscelencyj, a skończywszy na długowłosych nihilistach i ostrzyżonych studentkach, całą Rosyę miałem tam przed oczami. Zdawało mi się w początkach pobytu, że i tu nadarmo przyjechałem, i zaczęła mnie brać rozpacz jakaś głucha i wszelkiej już nadziei pozbawiona.

W takim usposobieniu spotkałem w pewnym domu włoskim niezwyklego człowieka, Rosyanina, duchownego katolic-

kiego, który pierwszy oczy mi otworzył, dodał otuchy do pracy, cel i drogę wyraźną wskazał, po której ludzie dobrej woli iść mają, ażeby przysposobić kiedyś w przyszłości możliwość odrodzenia naszej nieszczęśliwej ojczyzny.

Był to potomek prastarego książęcego rosyjskiego rodu, który szukając prawdziwego światła i zbawienia, wyrzekł się blasku i zaszczytów, które czekały go w ojczyźnie, a przyodziawszy skromną suknię zakonnika, myślał o znalezieniu ścieżki, którąby prawdziwa nauka Chrystusowa dojść mogła do tyłu sere i dusz, pogrążonych w błocie bezdusznej państwowej religii.

Ojciec Anastazy był żarliwym misjonarzem; poznawszy mnie, odgadł odrazu stan mej duszy i natychmiast pospieszył z ratunkiem, z duchowem lekarstwem. Nieraz nie mogłem wyjść ze zdumienia, gdy uśmiechając się łagodnie, opowiadał mi dzieje mego własnego życia; w ogólnych zarysach przypuszczenia jego były zupełnie wierne, zadziwiająco prawdziwe. Czasem aż lęk jakiś uczuwałem, sądząc, że mam przed sobą człowieka obdarzonego jakąś mocą jasnowidzenia, że rozmawiam z prorokiem.

— Zkąd ojeze możecie to wiedzieć? — pytałem zdziwiony. — Ja sądziłem, że to było pogrążone w najgłębszej skrytce mej duszy.

— Nie ty pierwszy z pośród naszych rodaków odkrywasz swą duszę przedemną — odpowiadał mi z westchnieniem. — Wielu już skarżyło się na swe bóle, odkrywali mi rany swych dusz. Będąc lekarzem duszy, muszę znać symptomata choroby. To mój obowiązek.

Nauki ojea Anastazego poskutkowały — zanim minął rok od mego wyjazdu z kraju, przywdziałem był suknię nowicyusza kongregacyi OO. Zmartwychwstańców. Umyślnie wybrałem to zgromadzenie, albowiem pragnąłem, żeby mój w przyszłości pracować gdzieś w ziemiach słowiańskich, co jest przeznaczeniem tego zgromadzenia.

Po burzach i zawodach mego krótkiego ale bolesnego życia, znalazłem po raz pierwszy prawdziwy spokój i ukojenie

w murach klasztoru. — Z rozkoszą oddałem się studjom nad dziełami ojców Kościoła, a chrześcijańska filozofia zniszczyła doszczętnie owe zarazki, wszczępione w mą duszę przez ateistę Werbenowa; rozpacz i zwątpienie, wywołane stosunkiem z Anną Piotrówną, robiły na mnie wówczas wrażenie: wspomnienia o dawno przebytych burzach i nawałnicach, rodziły wdzięczność dla Boga Wszechmocnego, że pomógł mi wyjść bez szwanku z tych niebezpieczeństw.

Uczuwałem przytem coraz bardziej wzmagający się w mem sercu patriotyzm, przywiązanie bezgraniczne do mej pięknej, a tak podeptanej i nieszczęśliwej ojczyzny. Do samowiedzy tego rosnącego we mnie uczucia przyszedłem z okazji następującego zdarzenia:

Mieszka dotychczas w Rzymie pewien świątobliwy dostojnik unickiej cerkwi ruskiej, który usuwawszy się od władzy i złączonych z nią politycznych przeciwności, oddał się zupełnie umartwieniom i modlitwie. Zazwyczaj wysyłano w czasie większej uroczystości nowicyuszów z naszego zgromadzenia, ażeby asystowali przy celebrze tego dostojnika. Gdy po raz pierwszy kolej na mnie wypadła, przyznam się, że szedłem z pewnem niezadowoleniem; liturgia słowiańska wydawała mi się wówczas jakimś anachronizmem, pewnem osłabieniem jedności katolickiego Kościoła. Gdy jednak znalazłem się w kościele, gdy do mego ucha doszły dźwięki rodzinnej mowy, gdy rozległ się śpiew staro-słowiański — uczulem drzenie w każdym nerwie, ręce trząść mi się zaczęły, a w oczach uczulem łzy gorące.

Lata płynęły; zerwały się były wszystkie węzły, łączące mnie z krajem, z ojcem; na mój list, uwiadamiający go o mojem wstąpieniu do nowicyatu, odpowiedział mi krótko i zimno, że po takim kroku nie może uważać mnie za syna. Wiedziałem doskonale, że to było następstwem wpływu pani Szurinej, która prawdopodobnie musiała być uradowaną z tego, bo w ten sposób ustawała potrzeba wysyłania mi pieniędzy na utrzymanie za granicą.

Oprócz ojca Anastazego i kilku jego towarzyszy, nie widywałem więcej nikogo z rodaków; ludzi świeckich, przybywających do Rzymu dla przyjemności nie szukałem, tem bardziej oni nie szukali mnie, nie wiedzieli nawet prawdopodobnie, że w murach klasztornych jest kilku młodych Rosyan, sposobiących się na duchownych katolickich; gdyby domyślali się tego, to może z samej ciekawości byłiby nas odwiedzali.

Przypadek jednak zdarzył, że zetknąłem się jeszcze raz z rodakami, i to z osobami, które największy wpływ na moje życie wywarły.

Pewnego wiosennego poranku, w ciągu czwartego już roku moich studyów teologicznych, wraz z kilku kolegami pod przewodnictwem nauczyciela archeologii wybrałem się do pewnego, starożytnego, na dalekiem przedmieściu leżącego kościółka, w celu oglądnięcia znajdujących się tam płyt grobowych, pochodzących z VI jeszcze wieku naszej ery. Ażeby dostać się do owego kościółka, położonego na stromym pagórku, potrzeba było przejść kilkadziesiąt schodów.

Wchodząc na schody, spostrzegłem, że powóz jakiś czekał na ulicy przed samemi schodami. Nie w tem zresztą nie było niezwykłego; tłumy turystów odwiedzają bezprzestannie wieczne miasto; zabłądził widać ktoś z nich i tu, dla obejrzenia owych płyt grobowych.

Gdym wszedł na schody, doleciały nagle do mego ucha dźwięki rosyjskiej głośnej rozmowy; podniosłem oczy i ujrzałem na kilka kroków przedemną w górze Annę Piotrównę i Werbenowa. Ona śmiała się swobodnie; on, trzymając ją za rękę, dopomagał jej zejść ze stromych wschodów. Zauważyłem dokładnie, że jego wzrok obejmował namiętnem spojrzeniem jej piękną twarz i bujną kibić.

— Gdzie książe? gdzie mój mąż? — doleciało teraz wyraźnie do moich uszu zapytanie pięknej pani.

— Wasz mąż, droga księżno, ocieężał niemożliwie — odpowiedział dawny mój kolega, śmiejąc się swym zwykłym

ironicznym śmiechem. — Cóż ci wreszcie, piękna Anno Piotrówno, można tym wole zależeć, masz przecie mnie.

— Cicho! — zawołała księżna i stuknęła nogą o kamienne płyty wschodów. — Cicho! Może kto usłyszeć, co sobie pomyśli?

— *Czort waźmi!* — zaklął Werbenow — co nam może zależeć na włoskich popach. Ot i *ewo sijatelstwo* — dodał, wskazując oczami w górę na drzwi kościółka.

Ja i moi towarzysze zatrzymaliśmy się u wejścia na wschody, ażeby dać możność owym państwu przejść. Za chwilę Anna Piotrówna, zawsze piękna, piękniejsza, niż była kiedykolwiek przedtem, oparta niedbale na ramieniu Werbenowa, przeszła obok, nie rzuciwszy nawet na nas okiem. Werbenow był ubrany według ostatniej angielskiej mody, wyświeżony i promieniejący. Nie trzeba nawet było być zbyt biegłym spozstrzegaczem, ażeby odgadnąć, że ten elegancki pan jest kochankiem tej pięknej pani; wzajemne ich zachowanie się aż nadto tę przejrzystą tajemnicę zdradzało.

W kilka sekund po przejściu owej dorodnej i pięknej pary zbiegl ze schodów zasapany i spocony książę Iwerskoj. Gdybym nie słyszał słów Werbenowa, to w żaden sposób nie mógłbym być poznać w tej bryle mięsa i tłuszczu owego przystojnego i wysmukłego oficera gwardyjskiego, który cztery lata temu ubiegł mnie w walce o rękę pięknej Aniuty.

— Ależ latacie, jak ptaki — rozległ się tubalny głos opuszczonego męża. — No! teraz do hotelu na śniadanie, dość mamy na dziś tej włóczegi. Żeby choć ten Niemiec dał nam coś ucziwego do zjedzenia. Przeklęty kraj! — grzmiał zasapany głosem książę, sadowiąc swą olbrzymią postać na niewygodną przednią ławeczkę w powozie.

Księżna wraz ze swym eleganckim towarzyszem zajęła już była miejsce na głównem siedzeniu.

Myśmy poszli tymczasem w górę, powóz ruszył i ludzie ci zniknęli mi na zawsze z oczu. O z jakim przejęciem, z jaką wdzięcznością dziękowałem tego dnia Bogu, że ochronił mnie

od pożycia z taką Anną Piotrówną. Widziałem teraz dokładnie, że to, co uważałem ongi za szczyt szczęścia, byłoby się stało dla mnie najsroższą niedolą. Niezbadane są wyroki Pana.

W kilka miesięcy później otrzymałem święcenia kapłańskie i z polecenia mej zwierzchności miałem wyjechać do Lwowa, gdzie przeznaczono mi miejsce przy internacie naszego zgromadzenia, którego zadaniem jest wychowywanie chłopców ruskiej narodowości w prawdziwych zasadach wiary Chrystusowej. Nie tracę nadziei, że przyjdzie ta chwila, w której posterunki naszej wojującej armii posuną się jeszcze dalej na Wschód i że my słudzy Chrystusowi poniesiemy słowo pociechy owym strapionym milionom naszej braci, moim rodakom.

*

*

*

Skończyłem czytać.

Dopiero wtenczas podniosłem oczy i ujrzałem, że słońce przeszło już większą część swej drogi i promienie swe rzuciło od zachodniej strony. — Spojrzałem na zegarek — była już czwarta godzina z południa.

Treść przeczytanego pamiętnika tak zajęła moją wyobraźnię, że nie zaraz mogłem się zorientować; ciągle wydawało mi się, że autor tego rękopisu żyć musi, że on umierać tak młodo nie może. Cały ten świat, przedstawiony w pamiętniku, otoczył mnie wokół, a na tem ponurem i brudnym tle tem jaśniej malowała się postać młodego apostoła... męczennika.

Niedługo jednak marzenia me trwały. Wkrótce usłyszałem po za plecami ciche, ostrożne kroki, oglądnałem się — to zbliżała się Nowakowa. Zobaczywszy, że już nie czytam, podeszła bliżej i głosem przyciszonym, jak tam w pokoju przy chorym, szepnęła:

— Czy pan dobrodziej nie pozwoli dziś obiadu?

Dopiero teraz, gdy mi poczeiwa kobiecina przypomniała, uczulem, że jestem straszliwie głodny.

— I owszem, niech pani poda — odrzekłem pospiesznie.

— Przepraszam pana dobrodzieja, że tak późno — tłumaczyła się gospodyni — ale przy takim rozgardyaszu...

Nie skończywszy zdania, podreptała do kuchni. Za chwilę zjawiała się z obrusem i sztućcami w rękę, dziewczka niosła za nią wazę, nakrytą kilkoma talerzami.

— Jak tam nasz chory? — spytałem.

— Jednakowo — odrzekła smutnym głosem. — Leży biedaczek, jak dzieciątko, modli się tylko i widać, że nie lubi, aby wchodzić do pokoju. Byłam tam jednak dwa razy. Zimny pot go oblewa; obcierałam mu czoło, pot taki chłodny, jak rosa poranna.

— A męża pani z księdzem nie widać? — pytałem dalej.

— Nie. Pewno nie zastał dobrodzieja w domu, bo jużby powinni być. Zawsze to tylko miła drogi, choć bardzo brzydkiej. Ot, kłopot nam ksiądz brat zrobił, — utyskiwała leśniczyna — ale cóż robić, zawsze to chrześcijański uczynek.

Z wilczą żarliwością sprzątnąłem talerz rosolu i jakąś pieczeń, przyniesione mi przez Nowakową, ale ani to arcyrealne zajęcie, ani bezprzerwane gawędzenie leśniczyny, nie zdołały sprowadzić mnie odrazu do świata rzeczywistego; ustawicznie majaczyły przed oczyma mej wyobraźni obrazy i ludzie, opisywani w tylko co przeczytanym pamiętniku, a pośród tych widziadel snuła się ascetyczna postać księdza Jana; promienie jakiegoś błyśnięcia, jak do błogosławieństwa, a tłumy grzeszników koryły się przed nim, padając na kolana i głośno spowiadając się z grzechów żywota.

— Jada! jada! — zawołała nagle leśniczyna. Ot tam na pierwszym jeszcze zakręcie — mówiła — wskazując mi palcem. — Tak, to mój Nowak i ksiądz Onufry.

W rzeczy samej przy pomocy szkieł dojrzałem w oddaleniu kilku kilometrów dwóch jeźdźców; pomimo drogi, wijącej się przykro ponad przepaścią, jechali jeden za drugim bardzo pośpiesznym truchtem, klusem prawie. Gdy znaleźli się w miejscu

wystawionem wprost na promienie słoneczne, bez trudu poznałem pod pierwszym jeźdźcem mego konia, w drugim po kapeluszu i lokeiowym pióropuszu, na milę poznałbym był Nowaka. Pewność, że chory nie umrze bez pomocy kapłańskiej, uspokoiła mnie, udałem się do jego pokoju, by mu dać znać o rychłym już przybyciu księdza z Przenajświętszym Sakramentem.

Wszedłszy, zdziwiłem się niepospolitym widokiem, który ujrzałem. Chory z dziwnie ożywioną i prawie wesołą twarzą siedział podniesiony na poduszkach, wzrok miał jasny i pogodny, tylko twarz całą, a szczególnie czoło pokryte gęstymi kroplami potu świadczyło o nienaturalnym stanie.

Gdy mnie ujrzał, powitał mnie skinieniem głowy. Zbliżyłem się do łóżka, nie wiedząc dobrze, co o tej zmianie sądzić.

— Nie umrę jeszcze — szepnął cichym, charczącym trochę głosem. — Nie! Muszę jeszcze żyć... Mam jeszcze długą drogę przed sobą. Muszę! muszę żyć dla spełnienia swych obowiązków.

Kaszel suchy, charakterystyczny kaszel suchotniczy przerwał mi mowę. Wiedziałem, że używał nadludzkiego prawie wysiłku, aby odkaslnąć flegmę, duszącą go. Po chwili wyrzucił kawał płwocin, w których rozeznac było można czerwone krwiste żyłki. Wysiłek ten zmęczył go widocznie, bo głowę znowu opuścił niżej, ale odetchnął za to swobodniej; po chwili podniósł się i błagającym głosem szepnął:

— Dajcie mi wina!

Pobiegłem do mego pokoju, pospiesznie przetrząsałem moje podróżne zapasy i odkryłem pół butelki starego, doskonałego koniaku, niewypitego przez towarzyszy myśliwskiej wyprawy. Wrociwszy z butelką, zbliżyłem się do chorego i podałem mu kieliszek bursztynowego płynu. Wypił jednym haustem, nie pytając, co to jest.

Skutek był wyraźny i bardzo silny: oczy jeszcze jaśniej mu zaświeciły, odetchnął kilka razy pełną piersią, a nawet wydalo mi się, że na poźółklej, trupiej barwy prawie twarzy

chorego zjawil się na chwilę przemijający jakiś rumieciec; widocznie naczylnka krwionośne, znajdujące się tuż pod przezroczystą cienką skórą, otrzymały nagle nowy zapas ożywego plynu.

— Nie umrę jeszcze! — powtorzył silniejszym głosem i z jakimś zaciętym uporem.

Milezałem ciągle, patrząc zdumiony na zmianę; nie wiedziałem, co mam podziwiać: czy moc działania plynu, który mu podałem, czy silną wolę człowieka, walczącego ze zbliżającą się śmiercią.

Oczy świeciły mu coraz większym blaskiem, czerwieniejące się żyłki pokryły całą jego twarz dziwnie smutną siatką.

— Nie mogę jeszcze umierać — mówił jakby sam do siebie. — Czas pracy się zbliża. Tam, tam na Wschodzie, na Północy, na świętej Rusi, tam czeka mnie nieorana, chwastami zarosła gleba; to ojczyzna moja, ojczyzna!

Ostatnie słowa wymówił tak silnie, że zrobiły one na mnie wrażenie krzyku jakiegoś rozpaczliwego. Po nim zamilkł na chwilę, lecz wnet znów zwrócił się do mnie i, patrząc mi w oczy, zapytał nagle:

— Czy znasz Kotłowskiiego?

Odpowiedziałem: tak. — W rzeczy samej znalazłem osobiście i wysoko ceniłem tego sławnego już u nas pisarza.

— Jak go zobaczysz — mówił ksiądz z jakąś dziwną niecierpliwością w głosie — to powiedz mu, że się pomylił. Ojczyzna... i my mamy ojczyznę, my Moskale ją mamy. Ja sam mu to powiem. My ją uzdrowimy, wyleczymy i będziemy ją mieli wielką i sławną, będziemy ją mieli taką, jak inne narody, taką, jak wasza, męczennicę.

W tej chwili dały się słyszeć dźwięki dzwonka i w kilka sekund potem siwy jak gołąb pleban górski z kielichem w rękę ukazał się w drzwiach izby.

Usunąłem się natychmiast.

Spowiedź trwała ze dwadzieścia minut.

Ja, oboje Nowakowie i kilku huculów staliśmy w milczeniu w sieniach opodal drzwi, przejęci uroczyością chwili;

z izby dochodziły nas tylko urywane dźwięki słów, tylko ciężkie westchnienia. Wreszcie ksiądz Onufry ukazał się w drzwiach, stara jego pomarszczona twarz była dziwnie wzruszona, dwie lzy świeciły w przygasłych oczach.

— Gromnicę! — rzekł do Nowakowej rozkazującym tonem.

Gdy gospodyni pobiegła po gromnicę, ksiądz nachylił się do mnie i szepnął drżącym głosem:

— Święty to człowiek umiera.

Za chwilę wróciła Nowakowa, niosąc w rękę zapaloną gromnicę. Ksiądz Onufry wszedł pierwszy do izby umierającego, a za nim my wszyscy. Spojrzałem na łóżko: Chory leżał znowu jak martwy, z oczami utkwionemi w sufit, konwulsyjnie kurczącymi się palcami ścisnął ów srebrny krzyżyk.

Gdy zbliżyłem się do samego łóżka, podniósł jeszcze raz oczy na mnie i szepnął tak cicho, że raczej domyśliłem się po ruchu ust, niż dosłyszałem:

— Umieram!... Kotłowski... Ojczy... zna!...

Nie mógł już ani słowa więcej wymówić, dusić go coś w piersiach zaczęło, zgrzyt ów straszny, który słyszałem rano, powtórzył się znowu teraz, tylko z daleko większą mocą. Ustami napróżno starał się chwycić powietrze, a rękoma konwulsyjnie starał się zrzucić koldrę z piersi, rozerwać koszulę. Twarz przybrała znowu szarą straszną barwę, oczy wlepił we mnie nieruchomie.

— Konać zaczyna! — szepnęła Nowakowa, stojąca obok głowy chorego z gromnicą w rękę.

W tej chwili ksiądz Onufry, zbliżywszy się i pochyliwszy głowę nad chorym, zaintonował starą słowiańską modlitwę nad konającymi.

— *Tebi Hospody predajem duszu raba twojego Joana* — brzmiały dziwnie tęskne i uroczyste równocześnie słowa modlitwy. — *Da predawatszajj sia ot mira Tebi żywet.*

Chory otworzył jeszcze raz oczy na chwilę i we wzroku jego dojrzałem uczucie szczęścia jakiegoś, spokoju dziwnego; spojrział na kapłana, niby dziękując mu; usta poruszyły się

jeszcze raz, ale żadne już słowo wydobyć się z nich nie mogło; po ruchu jednak zdawało mi się, że pragnęł powiedzieć: ojczyzna.

Kaplan nie przestawał się modlić; Nowakowa wetknęła gromnicę w rękę konającego. Wreszcie głowa opadła na poduszki. Ostatnie tchnienie uleciało... Książd Jan skonał.

W tejże samej chwili padliśmy wszyscy na kolana. Księdzu Onufremu podano kadzielnicę, wonny dym kadzidla cerkiewnego napelniał izbę i prastare słowa słowiańskiej *panachidy*¹⁾ obily się o moje uszy.

— *So duche prawydnymy* — śpiewał siwowłosy paroch — *upokoj Hospode duszu usobsoho rabá twojego Joana. I satwory jemu wicxnuju pamiat'... Wicxnuju pamiat'...*

Gdy książd skończył modlitwę, wyszliśmy z izby; przy umarłym pozostały tylko huculskie kobiety, które miały obmyć zwłoki i ułożyć je na katafalku, przygotowaniem którego od rana już zajmował się mój przezorny Mykoła.

Przy wieczerzy, w pokoju Nowaków, zadawał mi książd Onufry kilka pytań, odnoszących się do życia tylko co zmarłego księdza Dawydowa. Odpowiedziałem mu monosylabami, byle zbyć się; czulem, że popelniam niegrzeczność, ale nie byłem wprost w stanie mówić teraz. Rój myśli najrozmaitszych opanował całą mą duszę; twarz i oczy zmarłego przed chwilą stały ciągle przedemną; obrazy z przeczytanego pamiętnika klębiły się przed wzrokiem mej duszy, a obok nich inne, moje własne wspomnienia, postacie przyjaciół, druhów młodości, synów olbrzymiej a tak nieszczęśliwej Rosyi cisnęły się zewsząd i ze smutkiem spoglądały na zmarłego.

W ciągu życia znałem ich wielu, spotykałem pośród nich zaone i szlachetne natury, ale duszy tak podniosłej, jak ta, która obecnie była już przed Bogiem, nie spotkałem przedtem nigdy.

Czulem to wyraźnie, że byłem świadkiem zdarzenia nad wyraz smutnego i żalobnego, zdarzenia, które miało dla Rosyi

¹⁾ *Panachida* żalobne nabożeństwo.

bardziej bolesną doniosłość, niż niejedna wielka bitwa, przegrana przez armię wszechwładnego cara. W drugiej izbie, tuż obok mnie leżały martwe zwłoki człowieka, który duchem proroczym wzniósł się ponad otaczający go świat i w piersi swej stworzył ideał odrodzenia swej walącej się ojczyzny. I człowiek ten skonał samotny, zapomniany, a może nawet spotwarzany przez swoich, przez najbliższych, skonał, nie pozostawivszy po sobie duchowego potomstwa. Oh! biedna ziemi, która kamieniujesz swoich proroków!

Po wieczerzy poszliśmy wraz z księdzem Onufrym pomodlić się jeszcze koło katafalku.

Nieboszczyk leżał oświecony kilku woskowemi świecami. Na jego twarzy zapanował już spokój grobu; piękne jego rysy miały martwość klasycznego posagu.

Proboszcz, nie mogąc wracać do domu wśród ciemnej nocy, położył się spać w moim pokoju. Ja spać nie mogłem i nie pamiętam, żeby mi coś w życiu tak dokuczyło, jak owo narzucone mi przymusowe towarzystwo górskiego parocha.

Przekonałem się później, że byłem niesprawiedliwy względem niego i dotychczas wstydzę się mego ówczesnego zachowania; zaniedbany ten bowiem napozór ksiądz, ów proboszcz zapadłej górskiej parafii, wyrzekł we dwa dni później przy pogrzebie księdza Jana takie słowa, że wzruszył mnie do łez, a nawet na wpół dzieci huculi głośno lkali, gdy zasypywano trumnę zmarłego.

Następnego dnia wraz z Mykołą i kilku huculami wykopaliśmy, wykuliśmy raczej w skalistej glebie na sąsiednim cmentarzysku grób dla księdza Jana. Tegoż samego dnia zamówiłem u sąsiedniego kamieniarza (samouczka) duży krzyż z szarego karpackiego piaskowca.

Na trzeci dzień skronną sosnową trumnę umieściliśmy na szerokich huculskich ręcznikach, zawieszonych pomiędzy

dwoma końmi, i w ten sposób odwieźliśmy nieboszczyka na na miejsce wiecznego spoczynku.

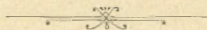
Pochowaliśmy go w cieniu buków szumiących, zielonych. Słowiańska modlitwa brzmiała nad jego grobem, a lzy dalekich pobratymców, powinowatych po krwi, skropiły świeżą mogiłę.

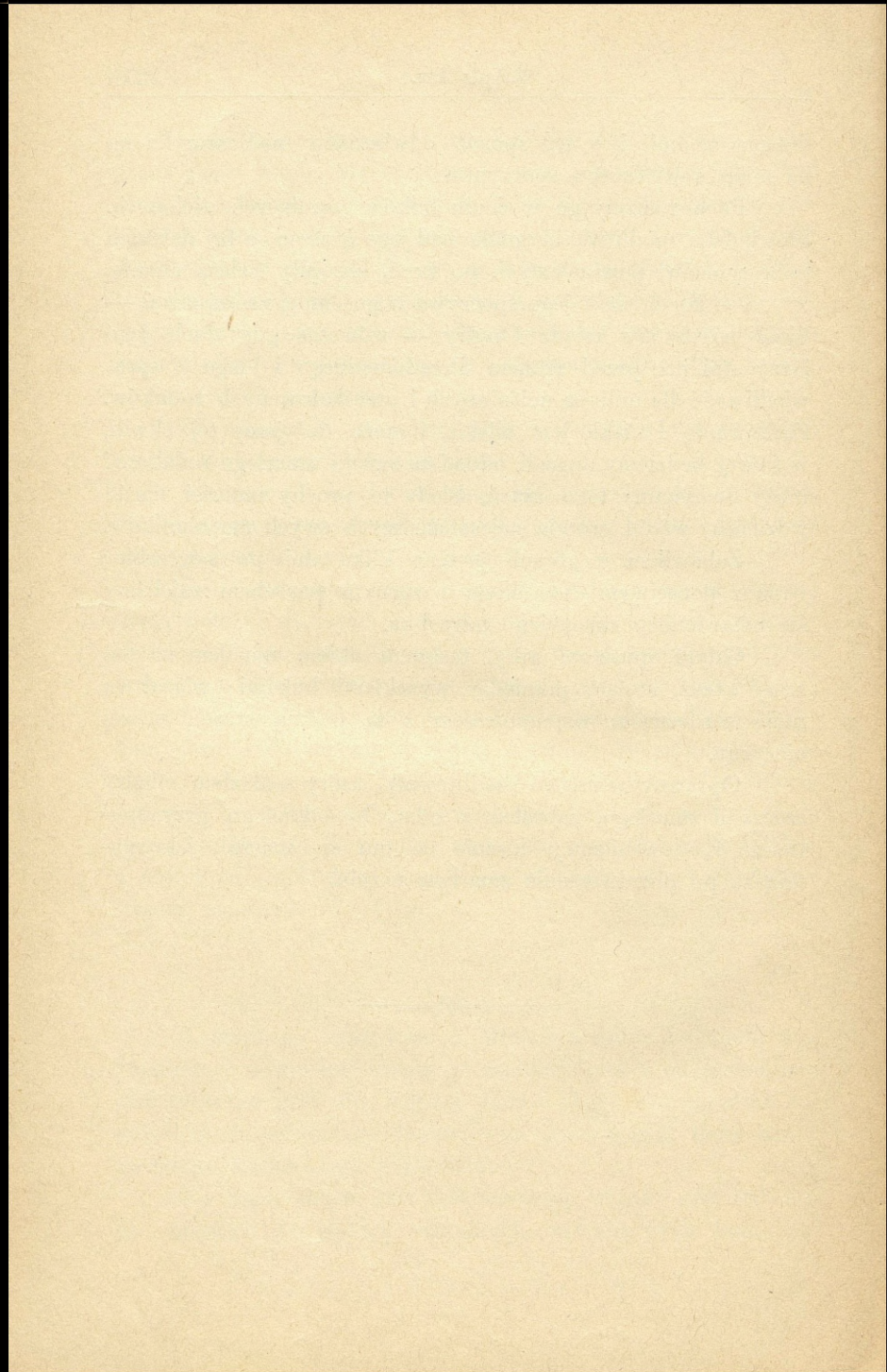
— Niech ciało jego spoczywa w gościnnej naszej ziemi — kazał wzruszony ksiądz Onufry — wówczas gdy duch jego jasny stoi już przed tronem Przedwiecznego i błaga o sprawiedliwość dla miliona uciśnionych i prześladowanych rodaków. Zmilowanie Pańskie jest bliskie, i może dożyjemy tej chwili, w której będziemy musieli oddać te zwłoki zmarłego rodakom! może doczekamy tego czasu, kiedy te prochy umieści naród wdzięczny wśród grobów najzasłużeńszych swych męczenników.

Zabawiłem w górach jeszcze kilka dni po pogrzebie; wraz z poczciwym Nowakiem i zacnym parochem zajęliśmy się ustawieniem skromnego nagrobka.

Gdym opuszczał góry, tęsknem okiem rzuciłem na ten szary krzyż, stojący pomiędzy wysokimi bukami; wiązał on mnie serdecznem wspomnieniem z tą piękną stroną naszej ojczyzny.

Oprawny w srebro modlitewnik, który znalazłem między rzeczami zmarłego, zabrałem z sobą, by oddać go przy spotkaniu Kotłowskiemu; słusznie on mu się należał, jako pamiątka po przedwcześnie zmarłym uczniu.





JAK WIELU.

THE WIND

Przed kilku laty byłem zmuszony przepędzić dłuższy czas w Odessie.

Sprawa, dla której tam bawiłem, była nad wyraz zawiślana i wymagała wielkiej pilności i przezorności, lecz pochłaniała mi tylko poranne godziny dnia. Odbywszy od dziesiątej do pierwszej kilka zazwyczaj konferencyj z adwokatami, odwiedziwszy niektóre kantory bankierskie, po południu byłem już wolny jak ptak. W tych swobodnych od pracy godzinach błąkałem się po mało mi wówczas znanem, a tak ciekawem mieście; zawierałem nowe znajomości, nie robiąc w nich zbyt surowego wyboru; chodziło mi o wszechstronne poznanie odeskiego społeczeństwa.

Wśród tej pogoni za »interesującami znajomościami, zapoznałem się z pewnym Rosyaninem, który najsilniej przykuł do siebie moją uwagę; rozciekawil mnie był do tego stopnia, że nieraz zbudziwszy się w nocy, rozmyślałem o nim długie chwile.

Dziwny to był człowiek.

Porfiryj Fomicz Wariewskij nie miał więcej niż czterdzieści lat, kiedy go wówczas w Odessie poznałem; był słuszny, w pasie wcięty; twarz miał miłą i sympatyczną, pomimo że widniały na niej niezatarte ślady znękania i sterania wielkiego. Chociaż w hierarchii społecznej zajmował naówczas niezbyt wysokie stanowisko — był reporterem jednego z odeskich dzienników — to jednak mój adwokat mówił mi o nim, że »należy on do bardzo arystokratycznej rodziny i ma nadzwyczaj wysokie stosunki.« — Cóż kiedy ten nalóg okropny robi

go niemożliwym w dobrym towarzystwie — dodawał zazwyczaj pan mecenas, kończąc rozmowę o Wariewskim.

Poznanie moje z tym niezwykleym człowiekiem było, jak on, niezwykle.

Pojechałem pewnego poranku obserwować wschód słońca na »Małym fontanie«; w kiosku, zbudowanym tuż nad morzem, na nadbrzeżnym przyskalku, ujrzałem człowieka, pogrążonego w dziwnej zadumie, zapatrzonego w dal na sfalowaną powierzchnię wód, z kąd wkrótce miało się wynurzyć słońce.

Milczeliśmy obaj zamyśleni.

Wierzchołki rozszalałych fal zarumieniły się lekkim, niepochwytym zrazu odcieniem karminu; białe, pienne grzebienie przybierały barwę, jaką ma musujące szampańskie wino, zabarwione kilku kroplami starego »Bordeaux«; wiatr wzmażał się z każdą chwilą, rozwścieczone bałwany obrzucały nas aż tam w kiosku, na wysokości kilku sążni po nad zwykły poziom, obfitym deszczem mikroskopijnych kropel.

Wreszcie stał się nagle cud — morze zakipiło tysiącem barw, milionem iskier, blasków i promieni — z po za szczytów fal, niby z po za łańcucha lodowców alpejskich, ukazała się wspaniała purpurowa tarcza słoneczna.

— I to bydło poszło spać! — zawołał w tej chwili mój nieznany sąsiad, zwracając się wprost do mnie.

— Eh! książę Siergiej wyprawil był tu małą uczkę; było kilka dam i kilku młodych ludzi. Pili nad miarę i pojechali do miasta spać... Bydło!

Od tej rozmowy rozpoczęła się nasza znajomość. Spotykaliśmy się później codziennie prawie w restauracji francuskiej; później wychodziliśmy na bulwar, roztaczający swą zieloną wstęgę po nad lasem masztów odeskiego portu i tam trawiliśmy długie godziny na pogadankach, dotykających najrozmaitszych przedmiotów.

Niezwykła była to znajomość. Po dziesięciu prawie dniach doszło było do tego, że po prostu nie mieliśmy dla siebie tajemnic, powierzaliśmy sobie najskrytsze myśli, najgłębiej

w duszy spoczywające pragnienia. Porfiryj Fomicz był stanowczo jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem.

Pan mecenas dowiedziawszy się o mej zażyłości z Wariewskim, zrobił mi o niego scenę; prosił, błagał, przestrzegał, groził wreszcie, że napisze do moich krewnych; stary, zacny mecenas uważał mnie zawsze jeszcze za małoletniego.

— Zobaczysz pan, że drogo on pana będzie kosztować — przestrzegał na zakończenie stary przyjaciel mej rodziny.

Wierzyłem we wszystko, co adwokat mówił, tylko nie w jego ostatnie zdanie. Porfiry mógł być pijakiem, mógł być nałogowym hulaką lub karciarzem — wyzyskiwać jednak znajomych, nie był zdolny; tego byłem pewny.

Schadzki nasze więc trwały dalej. Mimo prawdziwej zażyłości i wielkiej sympatii między nami, był jeden przedmiot, którego nie tknęliśmy nigdy w naszych rozmowach, a to przyczyn, które zepchnęły Wariewskiego z wyżyn arystokratycznego petersburskiego świata na podrzędne stanowisko dziennikarskiego reportera; on sam nigdy o tem nie mówił — ja nie śmiałem pytać. Przeczuwałem jednak, że długi łańcuch zawodów, boleści i rozczarowań musiał przejść ten człowiek, zanim stał się tem, czem był obecnie.

Nagle, nie uprzedziwszy mnie ani słowem, Porfiryj Fomicz zniknął mi z oczu na kilka dni; uczuwałem brak jego towarzystwa, szukałem go nawet — napróżno jednak.

Dopiero po pięciu dniach spotkałem go znowu na bulwarze; podszedł do mnie chwiejnym krokiem i z dziwną nieśmiałością, niby z obawą wyciągnął ku mnie swą wychudzoną dłoń. Spojrzałem nań, podając mu rękę na powitanie; był niezwykle chorobliwie blade, wzrok miał błędny i znużony, usta sine wykrzywione smutno-ironicznym uśmiechem.

— Co się z panem działo? — spytałem go serdecznym tonem.

— Pilem! — odpowiedział.

Słowo to powiedział tak spokojnie i obojętnie, jak inni ludzie mówią: »jadłem obiad«, »spalem« lub »czytałem.« Zimno

mi się zrobiło; bolesne jakieś uczucie ogarnęło mnie nawskróś, omal że nie zaplakałem, tak mi żal było tego nieszczęśliwego człowieka.

Usiedliśmy na ławeczce i rozpoczęliśmy rozmowę. Wieczór był cichy, pogodny; księżyc wznosił się ponad zamglonym zwierciadłem wód, a tłum masztów w porcie, tumanem mgły przesłoniony, robił wrażenie jakiejś fantastycznej czarowanej puszczy. Jakiś czas milczeliśmy obaj ponuro; później, nie wiem sam, jak to się stało, zapytałem go o... dzieje młodości, o przyczynę niedoli dzisiejszej.

— To tak z talentu! — zawołał prawie zrywając się z ławki i śmiejąc się ironicznie, bólać.

— Długa to historia — dodał ciszej, smutnym głosem i usiadł znowu koło mnie. Długa, długa historia; nie mam sil opowiedzieć ci jej całej. Jednak tyś tak młody człowiek, dla przestrogi, dla nauki opowiem ci trochę.

Opuścił głowę na piersi i szeptał cicho, tak cicho, że ledwie dosłyszeć mogłem:

— Z talentu, z talentu!

I znowu spojrzał mi bystro w oczy i zaczął mówić gorączkowo:

— Zdradziłeś się przedemną ze swych marzeń, ze snów twych młodzieńczych; chcesz być pisarzem, autorem, poetą, kierownikiem społeczeństwa twego.... To głupstwo, pluć na to, szkoda twjej młodej duszy. Posłuchaj, gdzie mnie ta mania zawiodła.

Milczałem zadumany, dotknął był najsłabszych moich marzeń; on mówił dalej:

— Byłem synem wielkiego, bardzo wielkiego pana; przed moim ojcem chyliły się tysiące najwyższych głów w państwie; monarcha go cenil i lubil; dla mnie nie było za wysokich progów w świecie. Do dwudziestu pięciu lat byłem najszczęśliwszym z ludzi. Później pokochałem kobietę, która w mej duszy zbudziła strasznego demona, demona ambicji autor-

skiej; zły ten duch do dziś nie daje mi spokoju, wytehnienia, wódką go zalewam, kanalię!

I rozśmiał się tak doniośle i strasznie, że przechodnie postawali przerażeni, a echo śmiechu tego, łamiące się pomiędzy masztami, zdawało się być krzykiem złowrogiego puszczyka.

— Pokochałem ją — mówił dalej — była, jak lilia biała, jak lilia niewinna. Niewinna... nie sztuka! i Wenus miłońska niewinna i bachantki z marmuru kute są niewinne. Ona nie miała krwi, nie miała nerwów, tylko w miejsce ich ambicję szaloną, bezbrzeżną; chciała być nieśmiertelną; zazdrościła sławy Laurze i Beatryczy. Ona to zbudziła we mnie tego demona. Ona w mówiła słodkim głosem we mnie, że mam talent niezwykły, ogromny i mileząco, zdradziecko dawała mi do zrozumienia, że tylko na tej drodze zdołam osiąść jej miłość, miłość posagu martwego!

Patrzałem nań z przerażeniem prawie; zmienił się był dziwnie, oczy przymglone zwykle, płonęły niby jakieś straszne, ponure ogniska; wyraz twarzy zmienił mu się był zupełnie, ręce zaciskał konwulsyjnie.

— Zacząłem pisać! — zawołał z głuchą rozpaczą. — Zaczęły się te dni pełne dziwnego, nieokreślonego niepokoju, te noce bezsenne, nad wszelki wyraz nużące, te straszliwe chwile, pełne gorączkowych uderzeń serca, pełne płomiennej żądzy sławy i rozgłosu. Nowa namiętność była silniejszą niż ta, która ją zrodziła; wkrótce straciłem tę smutnej dla mnie pamięci kobietę z oczu, miłość moja dla niej znikła, przetrawiona silniejszym płomieniem. Niby obłąd jakiś opanował całą moją istotę; poróżniłem się ze wszystkimi dawnymi przyjaciółmi; stosunki rodzinne zaniedbałem; uczuwałem dziwną jakąś rozkosz w burzeniu mego dawnego stanowiska społecznego. Fortunę straciłem w najgłupszy sposób; przemarnowałem, rozrzuciłem. Wszyscy dawni znajomi odwrócili się odemnie ze wstydem i zgrozą.

I znowu zamilkł; słyszałem, jak serce w nim bilo niepokojnie, jak tętnice uderzały nierówno, gorączkowo.

— Sławy jednak nie zdobyłem — ozwał się po chwili, smutnym, cichym, złamanym głosem. — Iskra talentu, tlejąca we mnie, była za słaba dla rozniecienia potężnego płomienia. Demon mnie zwyciężył!

Wołając tak, chwycił mnie gwałtownie za rękę i trząsał nią, z dziką zajadłością szeptał, patrząc mi w oczy:

— Oh! straszny to, straszny duch! Strzeż się go, strzeż! Życie ci on zmarnuje; całą przyszłość rzuci pod swe brutalne stopy i podepcze; przestaniesz być wolnym człowiekiem, a staniesz się jego sługą najniższym. Zaspokoić go, nakarmić, nasycić może tylko — wielka sława. Uśpić na chwilę potrafi i — wódka.

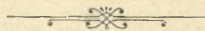
*

*

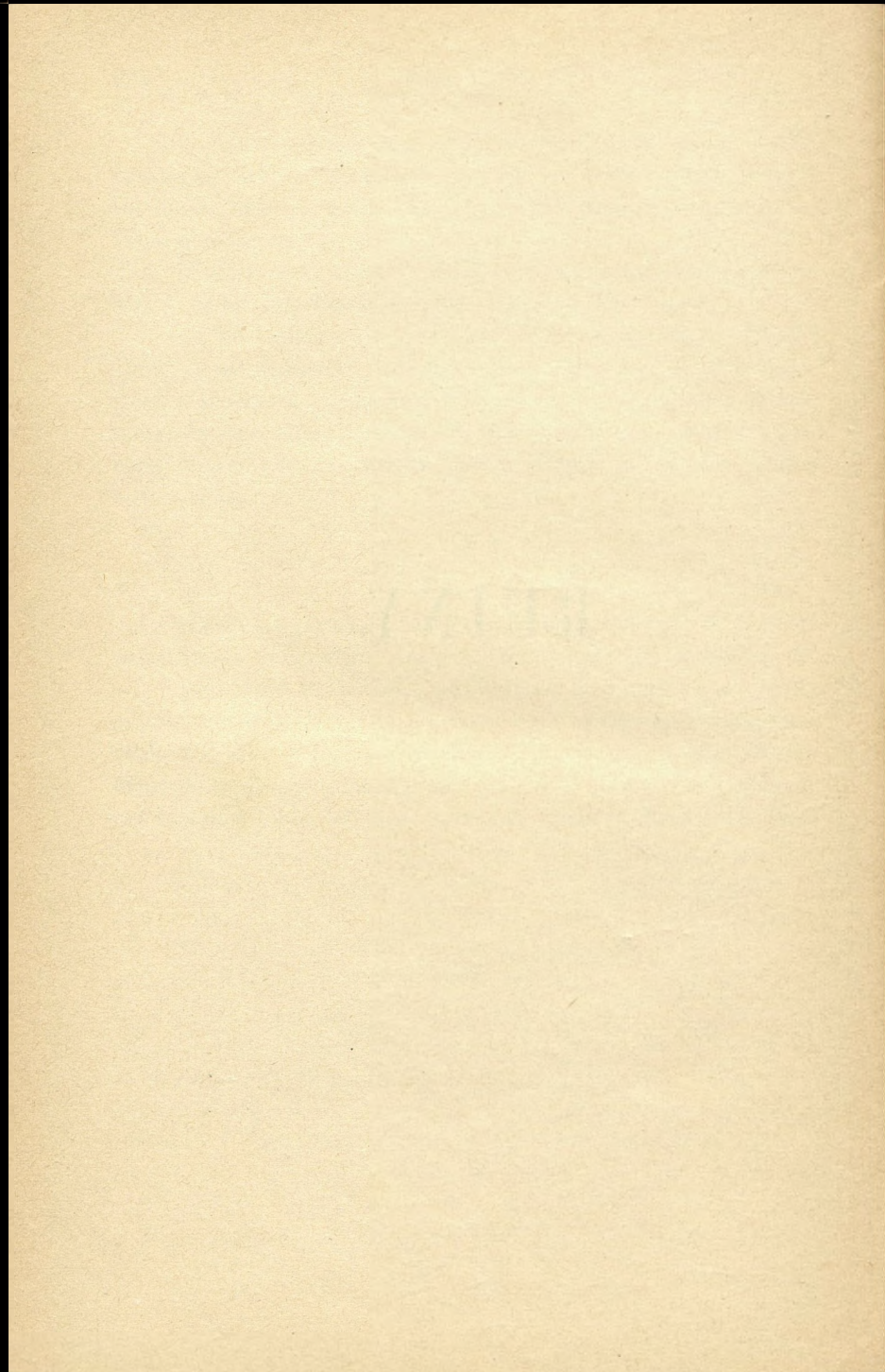
*

Nazajutrz po tej rozmowie opuściłem Odesę. Mego nie-
szczęśliwego znajomego nie spotkałem nigdy już w życiu.

Rozmowa ta jednak nie minęła dla mnie bez śladu; mimo przestróg Porfirego, demon ów, w tak strasznych barwach kreślony przez niego, wkradł się do mej duszy. Wszedłem na tę drogę, pełną cierni i głogów. Nie wiem dotychczas: czy to anioł biały, czy duch nieczysty mnie na nią wprowadził?



RUINY.



Chmura na zachodzie rosła z każdą chwilą.

Wiatr zimny, przejmujący wiał od niej i studził, odświeżając niedawno jeszcze duszną i parną atmosferę. Tumany kurzawy, gnanej wiatrem, całymi kłębami otaczały mnie i konia, zasypując nam oczy, oślepiając nas czasem doszczętnie. Jazda dalsza stawała się wprost nieznośną, a jednak jechać należało coraz pośpieszniej, ażeby skryć się gdziekolwiek przed burzą, przed ulewą, która mogła się rozpocząć lada moment.

Pociskalem raz po raz klacz kolanami i posuwałem się naprzód szalonym klusem, z chyżością pośpiesznego pociągu. Z tyłu dochodził mych uszu miarowy tentent konia pod chłopakiem stajennym, który nie mogąc zdążyć klusem, galopował zawzięcie.

Czerwono-brunatna chmura ścigała nas z wściekłą zawziętością; pół widnokregu już była sobą zakryła; już, już miała przesłonić i słońce, jasno, choć jakoś żalobnie dziś świecące.

Nagle przerażająca jasność, olśniewająca błyskawica — wąż ognisty przedarł brudny całun na dwie prawie równe połowy i zygzakiem ku ziemi spłynął. Huk pospieszył w ślad za jasnością tą straszłą.

Gdy oślepiające wrażenie błyskawicy minęło, spojrzalem z niepokojem przed siebie: w dali widniała wioska podolska; białe chaty, otoczone zielenią sadów, spuszczały się jarem coraz niżej aż ku jasnej wstędze wartko płynącej rzeczki. Bliżej mnie, przed wioską, na prawo na wzgórzu wznosiły się jakieś obszerne, poważne mury, niby pałac jakiś magnacki,

niby ruiny zamku. Dach na budynku stał jeszcze nietknięty, i w niektórych oszklonych jeszcze oknach jaskrawo odbijały się błyski piorunów.

Zoryentowałem się w mgnieniu oka; innej rady nie było: postanowilem przed burzą skryć się w tych ruinach. W chmurach już huczalo złowieszco, ulewa wisiała w powietrzu.

Zebrałem konia krótko i, emoknąwszy dla zachęcenia, ruszyłem naprzód pełnym myśliwskim galopem.

Pioruny były już wokół; w uszach mi od huku tego szumiało dziwnie, mimo to słyszałem najwyraźniej przyspieszone nieregularne sapanie starego, dońskiego kasztana, który z tyłu pod Maksem wydobywał ostatku sił.

— Już niedaleko, nie mu się nie stanie — pomyślałem w tej chwili — przebędziemy tylko tę małą wyniosłość i schronimy się w ruinach.

I uderzyłem klacz dziś po raz pierwszy rajtpejczem.

W tejże samej chwili zaczął padać grubo-kroplisty deszcz; gliniasty pagórek oślizł w jednej chwili i tylko nadzwyczajnej sile i sprężystości mej »Zulejki« zawdzięczam, że wówczas w kilku sekundach znalazł się na szczycie wzgórza. Maks wśród deszczu, stepo musiał się drapać po śliskiej spadzistości; kasztan był ustał zupełnie.

Spojrzałem wokół siebie. Znajdowaliśmy się wśród rozległych murów pańskiego znać ongi dworzyszczu. Na bocznych pawilonach sterczały jeszcze mocne, przez czas zczerniałe ceglane dachy; środkowy gmach rozpadał się już w gruzy, tylko mury poszarpane ponuro sterczały; kolumny ganku jak dęby przez huragan zwalone, zalegały pałacowy dziedziniec.

Szukając najbezpieczniejszego schroniska, weszliśmy wraz z końmi do obszernej, parterowej izby w prawym pawilonie.

Deszcz lał już jak z wiadra: czerwona burza szalała w całej grozie; grom huczal po gromie; konie nasze drżały jak w paroksyzmie febry.

Rzuciłem okiem po obszernej izbie; był to kwadrat zupełnie regularny; marmurowy, olbrzymi komin zajmował prawie

pół jednej ściany, misternie rzeźbione i świecące jeszcze tu i owdzie pozłotą gzymsy komina były haniebnie poszezerbione i poobijane; na ścianach widniały ślady pozacieranych fresków. W komnacie tej były cztery duże włoskie okna, sięgające prawie do marmurowej posadzki. Okna te zwracały się na południe i zachód a u ich stóp rozścielala się zielona murawa, spuszczająca się lekką pochyłością ku rzadkim drzewom przetrzebionego parku.

W jednym z tych okien stał, zwrócony do nas plecami, dziwny jakiś człowiek. Robił wrażenie olbrzyma, giganta bajecznego. Stał w ten sposób oparty lewem ramieniem o spruchniałą futrynę, że zrazu mogłem tylko dostrzedz: jego potężną, siwym, rozwianym włosom pokrytą głowę, szerokie herkulesowe barki i zgarbione plecy, okryte starą, spłowiałą kurta kozaczą; z pod szerokich płóciennych szarawarów wyzierały bose, pomarszczone stopy.

Człowiek ten widocznie nie słyszał naszego wejścia, ni tententu końskich podków o płyty posadzki; ani drgnął nawet — zadumany, zapatrzony w dal, w groźne chmury, w blaski piorunów, w powódź ulewy; znać wspaniała groza huraganu przykuwała do siebie całą uwagę starca.

I ja ujrawszy go, zatrzymałem się na miejscu; ze wznoszącym ciągle zajęciem wpatrywałem się w ten posąg żywy, wyraźnie wspomnieniami dalekiej przeszłości w martwy głaz zmieniony; stałem bez ruchu, oddechem nawet głośniejszym bałem się przerwać zadumy olbrzyma.

Nawalnica srożyła się tymczasem z niezwykłą gwałtownością; całe snopy ogniste oświecały na mgnienie oka ponury, zasepiony chmurami widnokrąg; jaskrawe, oslepiające węże błyskawic jednoczyły się w jakieś fantastyczne kłęby ognia, a łącząc się z hukiem nieustającym prawie, zdały się już zapowiadać rychły koniec tego świata. Zdawało mi się chwilami, że całe sklepienie niebieskie wnet runie na ziemię; stare drzewa w parku gięły się, jak trzcina nadbrzeżna; grube

mury zamczyska drżały, trzęsły się w swych fundamentach — a starzec stał ciągle nieporuszony, niby skamieniały.

Nagle, wydało mi się przez chwilę, że ziemia cała zmieniła się w piekło olbrzymie; potok, powódź płomieni objął nas ze wszech stron; konie przykłękły na przednie kolana; a my obaj, przerażeni majestatem rozwścieczonej przyrody, staliśmy, niby w dwa słupy solne zmienieni.

Kilka minut musiało minąć, zanim, po tem wstrząśnieniu, zdołałem otworzyć oczy. Gdy to uczynilem, ujrzałem olbrzymiego starca, siłą znać gromu odrzuconego w głąb, opierającego się drżącemi rękoma o wilgotne ściany izby.

Przerażony, rzuciłem co rychłej cugle mego konia chłopcu, a sam podbiegłem do starca. Wstrząsnąłem olbrzymem, o ile na to moje siły pozwalały; zaczerpnąłem dłonią deszczowej wody, która się w zagłębieniach posadzki zgromadziła i bryznąłem nią na twarz i skronie starca. Otworzył on wybladłe, zamglone oczy i sekund kilka patrzył na mnie bezmyślnie, nieprzytomnie. Wnet jednak potem wzrok się jego ożywił dzwinnie, spojrział przez okno w głąb parku i z ust zaciśniętych dotychczas kurczowo, wydobyły się pierwsze słowa:

— Wże koniec!... Wże ostatek!

— Co wam jest, dziadu? — pytałem wstrząsając nim znowu, pragnąc na siebie zwrócić jego uwagę.

— Ostatek! Ostatek! — szepnął nad wyraz smutnym głosem i, nie spojrzawszy nawet na mnie, powrócił na swe dawne stanowisko, w framudze okna.

Nie zrażony tem poszedłem za nim i chwytając go za suche, zdrewniałe ramię, pytałem uparcie:

— Powiedz! Powiedz dziadu: ktoś ty taki, co tu robisz?

Olbrzym spojrział po raz pierwszy wprost w moje oczy; na jego szarej pomarszczonej twarzy błysnął wyraz dumy jakiejś i pewności siebie; wyprostował się przytem ogromnie i dźwięcznie, dobitnie odpowiedział po polsku:

— Jestem Dynys Kurczab, starościński dawniej przybochny kozak; dziś stróż jedyny tego pałacu i grobowców pańskich.

Po tych słowach zwrócił się znowu ku oknu i — najniespodziewaniej, z dziwną lekkością i zgrabnością — zsunął się po niskiej ścianie na sąsiednią murawę. Ja pozostałem w oknie; oczom własnym wierzyć nie chciałem. Deszcz ulewny był już ustał, drobne tylko kropelki tu i owdzie spadały; wśród tego drobnego deszczyku, po oślizłej, mokrej murawie szedł ten niezwykły starzec bosemi nogami, pewnym pospiesznym krokiem ku sąsiednim drzewom.

Bojąc się, żeby mu się co nie stało, bym go wreszcie nie stracił z oczu, wyskoczyłem i ja na murawę i poszedłem za nim.

O jakie trzysta kroków od ruin palacu, pomiędzy starcami, przez burzę ponadłamywanemi drzewami, ujrzałem — szczątki białego, marmurowego pomnika, świeżo przez grom roztrzaskanego na kilkadziesiąt kawałów. Białe odłamy kararyjskiego kamienia, zmieszane z obitym przez burzę liściem drzew i oblamanemi gałęzmi stanowiły niekształtną kupę, hojnie błotem i piaskiem obryzganą.

Stary doszedłszy do nietkniętej podstawy pomnika, runął całym ciężarem swego olbrzymiego ciała na ziemię i począł rozpaczliwie tłuc czołem o gładkie, twarde płyty. Wolał przytem bezprzestannie:

Konec! Ostatok!... Konec! Ostatok!...

Potem nagle zerwał się gwałtownie, wyprężył się nienaturalnie i począł szeptać urywanemi, lecz dziwnie bolesnemi słowy:

— Ha! ha!... Przepowiadali wam to panie starosto... przepowiadali... Nareszcie wam ostatni po hybel przyszedł. Sprzedali wy starosto Polszcę... moskalowi... sprzedali... za marne grosze, za ordery carskie... Teraz Bóg karze... Przyszedł wam koniec... koniec... ostatek... po hybel!

I padł znowu jak długi na rozmokłą ziemią i płakać począł boleśnie, rozdzierająco.

Stałem obok mileząc, wzruszony, zdziwiony bólem tym strasznym, żalem tym olbrzymim. Patrzyłem na siwą głowę starca tarzającą się po ostrych złomach marmuru. Pośród

tych odłamków zwróciły na siebie moją uwagę potrzaskane szczątki pomnikowej tablicy; pomimo uszkodzeń odczytałem jednak wyraźny napis:

..... omski... starosta... hłajski...

Konfederacyi targowickiej konsyliarz...

...ces... general-leite...

...Kawaler orderu...

Stary szlochiał bezprzestannie; chciałem go podnieść, zawieść do jakiejś izby, na pościeli jakiej złożyć. Moje słowa, perswazye, prośby na nic się zrazu nie przydawały! ból widocznie tak srogi ogarnął był starca, że głuchy był na wszystko, co go otaczało. Szeptał tylko ustawicznie:

— *Koniec!... Ostatek!...*

Jednak po jakimś czasie spojrział znowu na mnie i zdziwienie jakieś wypiętnowało się na jego zmęczonem obliczu; spoglądał tak, jakby mnie po raz pierwszy spostrzegł. Patrząc mi badawczo w oczy przemówił:

— Tak!... Ostatek!... Koniec!... I mój już koniec nadchodzi... Jeżeli macie Boga w sercu, to popa mi sprowadźcie... Koniec mój nadchodzi... pańską sławę przeżyłem, nieszczęśliwy... Popa! Na rany Chrysta, popa!

Groza burzy dawno już była przeszła; słońce już znowu jasno świeciło; słowik śpiewał w zaroślach pieśń weselną, życiem kipiała cała przyroda — a ten starzec prawil o śmierci.

Pozostawiłem Maksa przy chorym stróżu ruin, sam dosiadłem klaczy i pojechałem do wsi po popa.

Miejscowego parocha zastałem w domu, zmartwił się bardzo wiadomością, której mu udzieliłem i co rychlej wybrał się wraz ze mną ku ruinom. Gdyśmy tam zdażyli, zastaliśmy Dynysa w tej samej pozycyi, w jakiej go zostawiłem; mój chłopak przerażony, wystraszony stał oparty o drzewo i bezmyślnie przesuwiał w dłoniach cugle, któremi przytrzymywał pasącego się na świeżej murawie konia.

Starzec, gdy popa zobaczył, ukląkł jak zdrowy człowiek, przeżegnał się pobożnie.... Rozpoczęła się cicha spowiedź...

Później z namaszczeniem i skruchą przyjął ostatnie Sakramenta. Potem wstał i odprowadziliśmy go do izby w walcącym się pałacu, którą wskazał mi pop, obznajomiony z położeniem ruin.

Straszną, ponurą noc przeżyłem wówczas; starzec majaczył bez przestanku; straszne obrazy przesuwał przed naszą i tak już wzburzoną i rozbijałą wyobraźnią. Nawet pop prawosławny czuł całą grozę położenia i wsłuchiwał się w majaczenie fantastyczne, łowiąc każde wyrwane słowo, każdą sylabę, każdy dźwięk.

Gdy pierwsze brzaski wschodzącego słońca wtargnęły do wnętrza ponurej izby — Dynys wyzionął ostatnie tchnienie.

— Czas mu już było do dziadów, szepnął z westchnieniem pop — sto dziesięć lat wieku liczył. Polszcę jeszcze pamiętał.

*

*

*

W kilka dni później dowiedziałem się, że w tym samym dniu, starościeński wnuk, ostatni potomek zasłużonego ongi a później schaubionego rodu, zgrawszy się w kijowskim klubie, sprzedał ostatnią rodzinną wieś, wraz z ruinami zamku przodków i grobami rodzinnymi — moskalowi.



SPIS TREŚCI.

	Str.
Kola Rokitin	1
Vacár	29
Ksiądz Jan	75
Jak wielu	221
Ruiny	229





38973

/2